

# KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 07-08 (200) Lipiec-Sierpień 2021

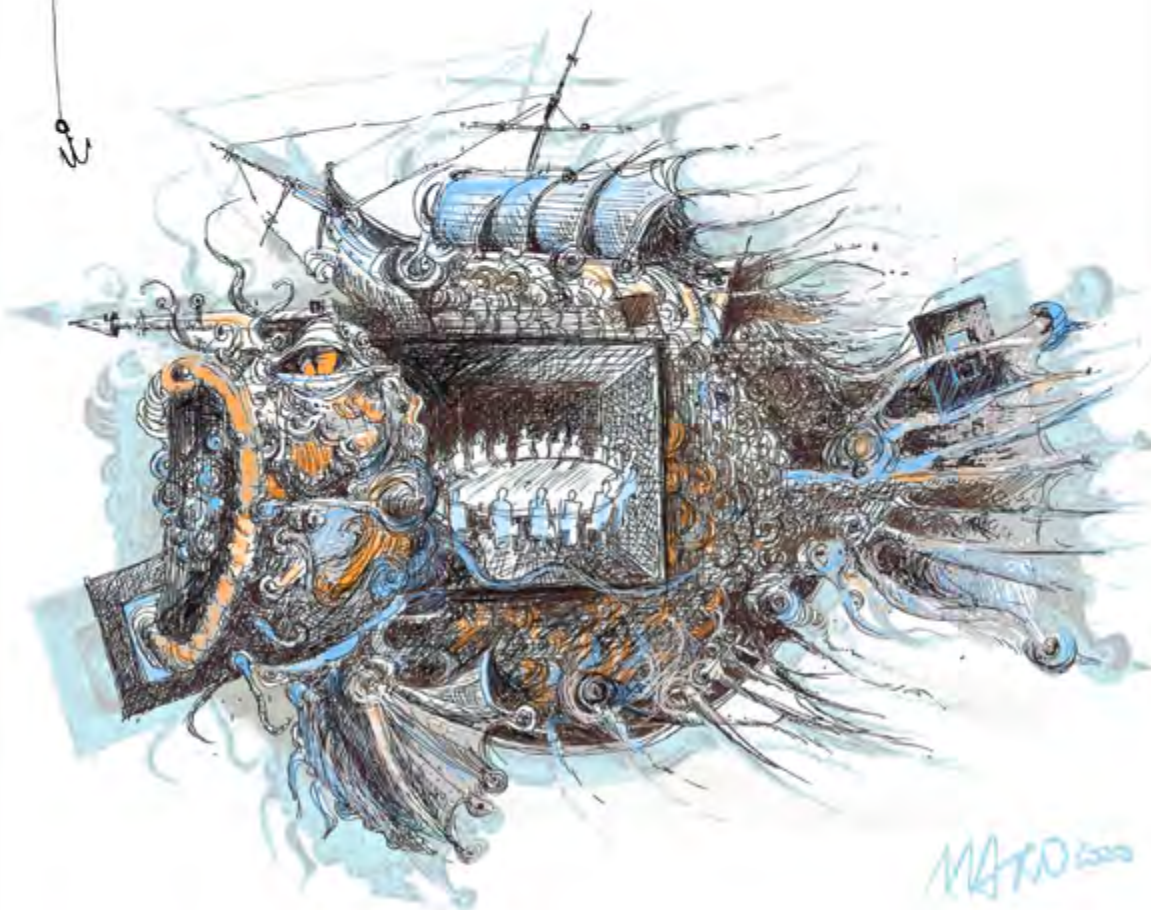


## Co po złych czasach? Polskie problemy z historią

Profesor Dominika Dudek Wszyscy nie zwariujemy

Mariusz Wollny Historia z sensacją

Andrzej Romanowski Moja żydowska kamienica



9 771733 045101 07

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

# KRAKÓW - WARSZAWA WSPÓLNA SPRAWA

w każdą środę - godz. 9.15  
You Tube: kanał Ogląd i Pogląd



Marcina Celińskiego  
(Reset Obywatelski)

i



Witolda Beresia  
(miesięcznik „Kraków”)



rozmowy nie tylko  
o polityce



Jacek Malczewski, *Błądne koło*, 1895–1897, olej na płótnie, Muzeum Narodowe w Poznaniu, Wikimedia Commons

# Dlaczego polityka historyczna jest także demokratom niezbędnie potrzebna

Tekst: Marcin Celiński Ilustracja: Wikimedia Commons

**Odczuwane dziś skutki oddania walkowerem polityki historycznej narracjom partyjnym uzasadniają pogląd, że odzyskanie tego obszaru przez siły prodemokratyczne to dziś element polskiej racji stanu.**

Pojęcie „polityki historycznej” pokoleniu doświadczonemu PRL-em kojarzy się bardziej niż źle. Do 1989 roku stanowiła narzędzie indoktrynacji i ważny element uzasadnienia niedemokratycznego ustroju i najbardziej słusznego sojuszu (czytaj podległości) z sowiecką Rosją. W tej linii narracyjnej od przedszkola do późnej starości karmiono Polaków tezami o „odwiecznym konflikcie z Niemcami”, „głupocie polskich elit” wzdragających się

przed naturalnym i tak bardzo uzasadnionym geopolitycznie sojuszem z Rosją (najlepiej radziecką). W polityce historycznej PRL Katyń był zbrodnią niemiecką, a 17 września humanitarnym gestem Stalina chroniącego ludność wschodnich terenów II Rzeczypospolitej przed Niemcami. Tamta polityka historyczna mieszała prawdę, półprawdy i ewidentne kłamstwa, tworząc często luźno powiązane z faktami historie alternatywne – wszystko to miało służyć

legitymizacji władzy i ustroju, które legitymacji społecznej, demokratycznej nie miały i nawet zbytnio nie próbowały uzyskać.

Jak każde działanie, jak każda polityka – i ta historyczna w PRL nie wpływała na wszystkich. W sposób oczywisty nie była skuteczna w stosunku do resztek przedwojennych elit, tezy o humanitarnej misji Armii Czerwonej w 1939 roku nie mogły dotrzeć do repatriantów zza Buga i tak dalej. Skądinąd

**Kiedy państwo kapituluje, oddaje walkowerem możliwości tworzenia własnych wizji i wartości, puste pole przejmują nosiciele fałszu i antywartości.**

już sama liczba kłamstw w niej zawartych powodowała poszerzenie się kręgu wątpiących w przekazy. Niemniej nawet po 1989 roku i sromotnej klęsce wyborczej komunistów w wyborach wypracowana przez lata wizja historii pozostała głęboko w umysłach większości Polaków.

W zależności od punktu widzenia – szczęśliwie lub na potrzeby tych rozważań nieszczęśliwie – większość nowej klasy politycznej tworzącej się po przełomie należała do grupy mocno odpornej na komunistyczną narrację historyczną, ba, kwitującej ją niezliczoną ilością żartów i podchodzącej do niej z pogardliwym pobłażaniem. Na tym podglebiu wyrosło obowiązujące do dziś w prodemokratycznej części sceny politycznej przekonanie, że polityka historyczna to zło, którego należy unikać i na pewno – powtórzmy to: na pewno – nie kreować i nie uprawiać.

Byłoby pięknie, gdyby tak się dało. Niestety, polityka historyczna jest taką samą częścią naszego życia jak polityka zdrowotna, bezpieczeństwa czy edukacyjna. I tak jak w każdym z tych obszarów, kiedy państwo kapituluje, oddaje walkowerem możliwości tworzenia własnych wizji i wartości, to puste miejsce przejmują nosiciele fałszu i antywartości.

Dosyć szybko, bo już w latach 90. ubiegłego wieku, prawicowa część sceny politycznej, pozostająca wtedy w rozdrobnieniu, najczęściej w opozycji – zauważyła wolne pole i zgodnie z zasadami rynku obowiązującymi

także w ideach zaczęła wypełniać te pozostawione same sobie nisze.

Ofensywa narracyjna połączonych i coraz bardziej zjednoczonych sił nacjonalistyczno-katolickiej prawicy i Kościoła katolickiego wypełniła właściwą im aksjologią miejsce, w którym powinna znaleźć się propaństwowa, wspólnotowa polityka historyczna. Dostaliśmy w prezencie kult „żołnierzy wyklętych”, grupy do której zalicza się, nie różnicując bohatera, jakim był gen. Fieldorf-*Nil*, i wioskowych bandytów z końca lat 40. XX wieku. W ten sposób w dominującej narracji Narodowe Siły Zbrojne stały się ważniejsze i bardziej reprezentatywne dla Polski Podziemnej niż Armia Krajowa, a „rzeź wołyńska” okazała się większym nieszczęściem od zbrodni Hitlera i Stalina.

Dlaczego można było tak łatwo i tak skutecznie zagrać „dziadkiem z Wehrmachtu” Donalda Tuska czy obrażać Ślązaków „ukrytą opcją niemiecką”? Ano właśnie dlatego, że przeciętny Polak żyje we wciąż podgrzewanych fobiach antyniemieckich, narracji mieszającej prawdę z mitami i kłamstwami.

Należy też zauważyć, że w wielu aspektach opisana narracja była spójna z tą wyniesioną z PRL – pełną kompleksów, poczucia krzywdy, resentymentów.

Brak polityki historycznej zbudowanej na aksjologii państwowej, obywatelskiej dał przyzwolenie na budowanie dziwacznych ahistorycznych i antywspólnotowych konstrukcji tożsamościowych.

Odczuwane dziś skutki oddania walkowerem polityki historycznej narracjom partyjnym uzasadniają pogląd, że odzyskanie tego obszaru przez państwo to dziś element polskiej racji stanu.

Zadajmy sobie pytanie: co tak właściwie nas łączy, co może być fundamentem wspólnoty w Rzeczypospolitej Polskiej, jakie elementy są we współczesnym świecie jednoczące, powodujące istnienie narodu politycznego (nie mylić z narodem etnicznym, konstruktem naszej prawicy), który może stworzyć i utrzymać własną organizację państwową?

Wspólnota języka? Nie pomogła Anglikom dominować nawet na Wyspach, nie mówiąc już o koloniach. Nie pomaga libkom, lewakom i prawakom podzielonym na sorty i żyjącym w doskonale już opisanym i zanalizowanym systemie bańkowo-plemiennym.

---

## Redakcja miesięcznika „Kraków”:

Mamy polską smutę. Złe czasy zamętu. I nie chodzi tylko o politykę czy te lub inne rządy – chodzi o stan ducha. Nikt jednak nie ma przecież wątpliwości, że ten czas smuty się skończy. Ale czy ktoś zastanawia się nad tym, jakiej Polski wówczas będziemy chcieli?

Rozpoczynamy dyskusję „Polska po złych czasach”.

Nie szukamy konkretnych rozwiązań. Nie zajmujemy się personaliami i nie szukamy paragrafów dla winnych zła. To zadanie polityków i prawników.

My szukamy rozwiązań w sferze idei. Pomysłów na myślenie. Inspirujących – choćby i kontrowersyjnych – teorii na budowanie nowego państwa.

Wspólnota etniczna? Na terenach nawet małej, teoretycznie jednolitej narodowościowo Polski to zawsze będzie żart, na Nizinie Wschodnioeuropejskiej po przemarszach wszystkich wojsk i dosyć częstym przesuwaniu granic państwowych ktoś, kto zastosuje ulubione przez narodowców kryteria normybernskie, nie znajdzie etnicznie czystych Polaków, no może jakąś garstkę.

Wspólnota interesów? Jakich? Każda dyskusja na temat interesu wspólnego ujawnia pogłębiające się różnice pomiędzy regionami, dużymi a małymi ośrodkami, Szczecinem a Rzeszowem.

Wspólnota terytorium? Któż lepiej od Polaków powinien wiedzieć, jak ulotna jest sprawa terytorium, jak łatwo się zmienia, przesuwa, okresowo zanika.

Wspólnota wyznania? Polak-katolik to przeszłość, reanimacja tej konstrukcji powoduje jedynie podział i wykluczenie.

Jedynie co nas łączy, albo przynajmniej łączyć może, to wspólnota losu, dziejów – historii zatem. Ukształtowaliśmy się jako wspólnota poprzez wspólną historię, wspólne instytucje, wspólnych wrogów i przyjaciół. Przez bardziej lub mniej udanych królów, wodzów, prezydentów – wspólnych. Poczucie wspólnoty Polaków pod zaborami – jeszcze przed erą świadomego nacjonalizmu rodzącą się w drugiej połowie XIX wieku – brało się z historii.

Polityka historyczna jest zasadnicza dla integracji wewnętrznej, przywracania wspólnoty.

Dlaczego piszę o przywracaniu? Wieloletni ostry spór polityczny zaszedł tak daleko, że naruszył poczucie wspólnoty narodu politycznego, kompletnie nas zdeintegrował. Polacy potrzebują wspólnoty, jednocześnie w dyskursie publicznym otrzymują nieustannie przekazy dzielące, podkreślające prawdziwe i wymaginowane różnice. Potrzebujemy stałego punktu odniesienia, który pozwoli nawet po najbardziej zażartym sporze politycznym przypomnieć sobie, że łączy nas tożsamość wyrosła ze wspólnego losu.

To jest głównym celem polityki historycznej, jakiej potrzebujemy. Niepodporządkowanej interesom takiej czy innej opcji politycznej, ale aksjologii państwowej, wspólnoty narodu politycznego. Przypomnienie wspólnoty losu opartego na prawdzie historycznej, kształtowanie tożsamości – to są zadania takiej polityki.

Polityką historyczną nie jest fałszowanie faktów czy indoktrynacyjne interpretacje. Nie jest nią także – przynajmniej w XXI wieku – szukanie wrogów, krzywd i porażek. Jej zadaniem jest budowanie dojrzałego narodu politycznego, świadomego tak swoich błędów, jak i sukcesów. Narodu, który potrafi wyciągać wnioski z przeszłości – tylko taki naród jest gotowy na przyszłość, potrafi budować dobre relacje ze światem, pojednać się z historycznymi wrogami, umie przeba-

Polityką historyczną nie jest fałszowanie faktów czy indoktrynacyjne interpretacje. Nie jest nią także szukanie wrogów. Jej zadaniem jest budowanie dojrzałego narodu politycznego, świadomego tak swoich błędów, jak i sukcesów. Narodu, który potrafi wyciągać wnioski z przeszłości.

czyć i prosić o przebaczenie. Śledząc ścieżki sukcesów i ścieżki porażek w naszych dziejach, będziemy o niebo mądrzejsi politycznie – w decyzjach wewnętrznych, jak i działalności zewnętrznej.

Państwo ma wszelkie narzędzia i możliwości kreowania polityki historycznej. Proces zaczyna się na wczesnym etapie nauczania przedszkolnego, może nawet w żłobkach. Jest kurs historii i literatury w szkołach. To jest potężna machina, oddziałująca dzięki obowiązkowi szkolnemu na wszystkich. Polityką historyczną są święta państwowe, nazwy ulic, placów – ile czytam o tym, jak to niedostrzegany jest wkład Polski w obalenie komunizmu, a jakież elementy z tym związane sami w Polsce doceniliśmy? Świętujemy 11 listopada, 3 maja – a 4 czerwca pozostaje świętem bez właściwości, coś jak Dzień Kolejarza czy Hutnika, dla wtajemniczonych. O 31 sierpnia nie wspomnę – bo tradycją stały się gorszące spory pomiędzy związkiem „Solidarność” a resztą świata o to, kto w którym kącie placu pod stoczną może świętować.

Państwo ma zaplecze w postaci wydziałów historycznych na uniwersytetach i nawet w nieszczęsnym Instytucie Pamięci Narodowej, który bywał przeciętny i mógłby być w przyszłości pożyteczny.

Państwo ma telewizję publiczną i choćby tą drogą wejście w najważniejszy chyba dziś kanał dotarcia, jakim jest popkultura. Filmy, seriale historyczne, które gromadzą wielką widownię – nasza historia jest nie mniej ciekawa, krwista i pikantna od historii Tudorów czy Romanowów, a w tej chwili w polskich kablówkach znajdziemy co najmniej kilkanaście niezłych seriali rosyjskich, francuskich czy brytyjskich. Również teleturnieje czy nawet format „oper mydlanych” potrafią służyć polityce historycznej.

Wspólnotowa polityka historyczna skupia się na tym, co łączy, co integruje, co powoduje, że podzieleni politycznie – co jest normalne w demokracji – mamy wspólną pamięć i wspólną tożsamość historyczną. W 2021 roku wspólnoty potrzebujemy bardziej niż zwykle.



**Marcin Celiński** – publicysta, komentator polityczny, wydawca, redaktor naczelny portalu youtube’owego „Reset obywatelski”

**TEMAT MIESIĄCA:**

**Polska po złych czasach**

Marcin Celiński

**S. 1**

*Kiedy państwo kapituluje, oddaje walkowerem możliwości tworzenia własnych wizji i wartości, puste pole przejmują nosiciele fałszu i antywartości. (...) Polityką historyczną nie jest fałszowanie faktów czy indoktrynacyjne interpretacje. Nie jest nią także szukanie wrogów. Jej zadaniem jest budowanie dojrzałego narodu politycznego, świadomego tak swoich błędów, jak i sukcesów. Narodu, który potrafi wyciągać wnioski z przeszłości.*



**KRAKÓW MÓWI**

**Od folii na musztardę do onkologicznych laserów**

Leszek Piątek i Krzysztof Smolarski/Witold Beres i Krzysztof Burnetko

**S. 20**

**Czy wszyscy zwariujemy**

Dominika Dudek/Ewa Lipska

**S. 28**

**ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA**

**Park Sportowy Juvenia** Krzysztof Jakubowski

**S. 10**

**Wakacyjne strony książki** Marta Gruszecka

**S. 33**

**Pięć wieków z Zygmuntem**

Anna Woźniakowska

**S. 37**

**Podcast Prowincjonalny** Marta Gruszecka

**S. 50**

**Moja żydowska kamienica**

Andrzej Romanowski

**S. 55**

**Hawełka, czyli smaki dzieciństwa**

Mariusz Wollny

**S. 70**

**Kronika kulturalna**

**S. 87, 89**

**Krakowski łącznik**

**S. 90**

**Kraków (Główny)**

**S. 91**

**Linia A-B**

**S. 92**

**REKOMENDACJE**

**Prezydent** Witold Beres

**S. 12**

**Kryminal z miastem w tle** Paweł Stachnik

**S. 27**

**Na wakacje**

**S. 40**

**Przewodnik po emocjach ducha** Witold Beres

**S. 43**

**Medycyna to sztuka** Łukasz Maciejewski

**S. 44**

**Siła Morświna** Krzysztof Burnetko

**S. 45**

**Miłośnikom Pragi czeskiej** Witold Beres

**S. 53**

**OBYWATELE KRAKOWA**

**Miso i serce dla zwierząt (Iga Gręda)**

Marta Gruszecka

**S. 8**

**PORTRETY 2021**

**Portrety bez IPN**

**S. 19**

**HISTORIA**

**Prasa sprzed stu lat** Krzysztof Jakubowski

**S. 63**

**FILM**

**Blisko, jak najbliżej** Maria Malatyńska

**S. 74**

**Śniegu już nigdy nie będzie** Łukasz Maciejewski

**S. 78**

**KSIĄŻKI**

**Pamiętliwy kurz** Paweł Głowacki

**S. 67**

**Nasza biblioteka**

**S. 84**

**Moja Krakowska Książka Miesiąca**

Janusz M. Paluch

**S. 88**

**GALERIA „KRAKOWA”**

**Weronika Świętek** Magda Huzarska-Szumiec

**S. 46**

**FELIETON**

**NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska

**S. 5**

**OKIEM BERESIA** Witold Beres

**S. 6**

**Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko

**S. 7**

**SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma

**S. 81**

**POZA KRAKOWEM**

Magdalena Miśka-Jackowska

**S. 82**

**LUBIĘ LUBIĆ** Agnieszka Kosińska

**S. 96**

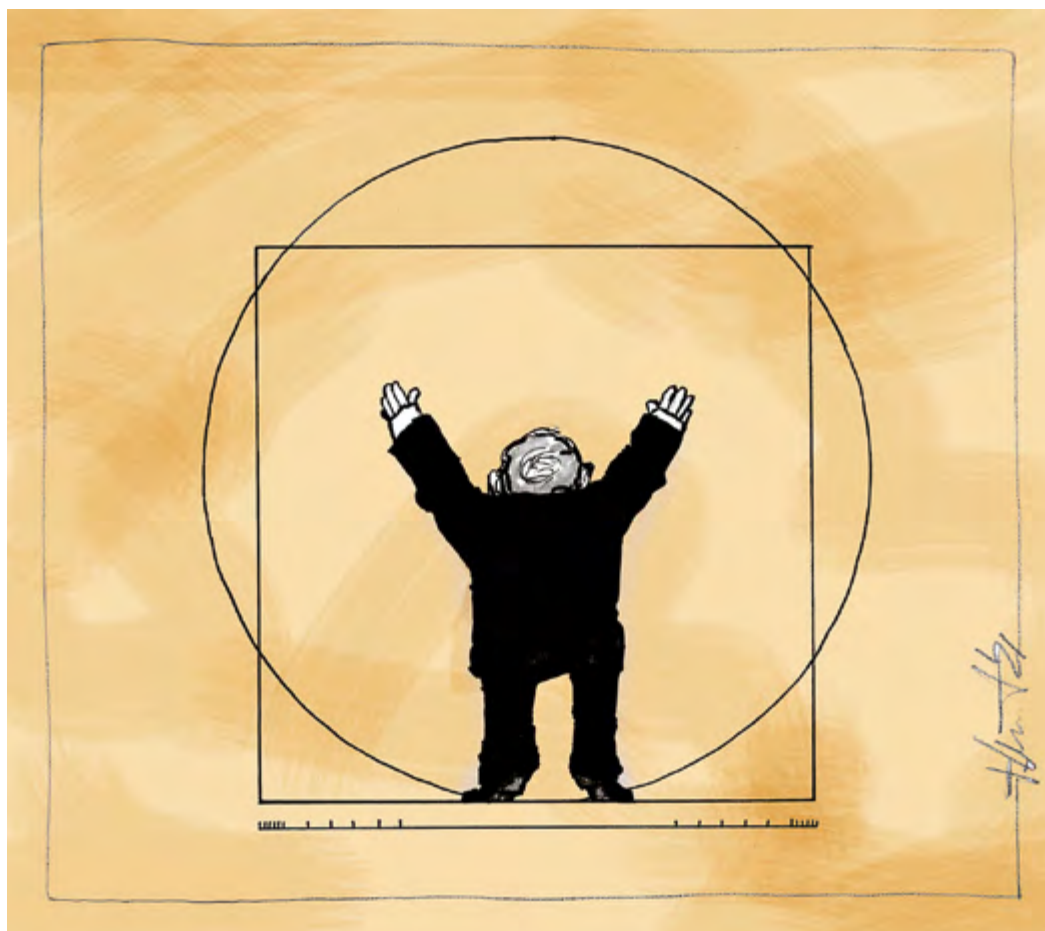
**OKŁADKA**

Rys. Marek Braun

Podobno Historia zatacza koło. Gorzej, kiedy zatacza kwadrat. Historia do kwadratu to już trójkąt bermudzki.



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut

# Historia, książki i wakacje

Tekst: Witold Beres

**Książka w wakacje – marzenie moje i, wierzę, mnóstwa jajogłowych. W skwarne południe poczuć na karku ziąb zbrodni, deszczowym porankiem zanurzyć się w ciekawej biografii, a zimnym wieczorem smakować gorący romans. Ale do tego, najmocniej, polecam historię. Zresztą Historia przez duże H Polaków od wieków studzi, rozpala i upaja.**

Otwieramy więc ten numer tekstem Marcina Celińskiego, który jest za polityką historyczną – rzecz jasna, rozsądnie prowadzoną, niezakłamywaną, pełniącą właściwie funkcję edukacyjną. Autor w jakiejś postaci zapewne akceptowałby nawet istnienie IPN, rzecz jasna nieupolitycznionego,

Chcemy rozpocząć rozmowę o przyszłej Polsce. Bo choć zło może długo jeszcze będzie siedziało nad Wisłą, to czas smuty się skończy. Ale czy ktoś zastanawia się nad tym, jakiej Polski wówczas będziemy chcieli?

Wspólnie z tygodnikiem „Przegląd” i redaktorem Jerzym Domańskim rozpoczynamy więc dyskusję „Polska po złych czasach”. Nie szukamy szczegółowych recept ani wykonawców – lecz idei. Zaczynamy pytaniem: „Jakiej historii Polska potrzebuje?”. A jesienią porozmawiamy o sensie mediów publicznych, o relacjach z Kościołem, o potędze mądrej kultury. Nasze głosy znajdziecie na [www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl) oraz [www.tygodnikprzeglad.pl](http://www.tygodnikprzeglad.pl)

niezakłamanego, nie jako narzędzia propagandowej indoktrynacji społeczeństwa, a po prostu miejsca rzetelnych badań i edukacji.

Ale my w tym samym numerze rekomendujemy doskonałe książki z serii *Historia bez IPN* wydawane przez środowisko „Przeglądu Tygodniowego”. Nie dlatego, aby z tezami głoszonymi przez wszystkich autorów się zgadzać, ale że to nareszcie jakiś inspirowany, inny od dominującego zakłamania punkt widzenia.

Tak, dzisiaj mamy polską „smutę”. I nie chodzi tylko o politykę i te lub inne rządy – chodzi o stan ducha: stan zgody na bezmyślność, akceptację uprzedzeń i marzenia o Silnym Człowieku, który jak nas weźmie za kark, to wtedy będzie nam dobrze.

A my chcemy tematem „historia i edukacja” rozpocząć już dzisiaj rozmowę o przyszłej Polsce. Wprawdzie wygląda na to, że zło długo jeszcze porządzi nad Wisłą, to przecież zasada jest prosta: jak jest dobrze, to będzie źle, a jak jest źle – to na pewno będzie w końcu dobrze.

Więc nikt nie ma wątpliwości, że ten czas smuty się skończy. Ale czy ktoś zastanawia się nad tym, jakiej Polski wówczas będziemy chcieli?

Rozpoczynamy więc dyskusję: „Polska po złych czasach”.

Nie szukamy konkretnych rozwiązań. Tym bardziej nie zajmujemy się personaliami i nie szukamy paragrafów dla winnych dzisiejszego zła. Tym niech się zajmują sztaby polityków, propagandystów i prawników. My szukamy rozwiązań w sferze idei. Pomysłów na myślenie. Inspirujących, a może nawet kontrowersyjnych koncepcji.

Na początek historia i – ewentualnie – polityka historyczna. Choć sam bym wolał powiedzieć: edukacja historyczna.

Niedawno spierałem się z Marcinem Celińskim na temat polityki historycznej. I nadal twierdzę, że wszelkie dekretowanie rozumienia historii źle się kończy. Zakładanie budowania wzorców patriotycznych w kulturze i sztuce zwykle oznacza gwałt na poziomie kultury i sztuki. Utrzymywanie instytucji zajmującej się historią – poza uczelniami wyższymi i PAN – zawsze będzie się kończyło nadużyciami i awansami partyjnych oficerów politycznych. Mówię więc NIE DLA IPN. Ale krew mnie też zalewa na to, że lata rządów polskiej inteligencji nie doprowadziły do tego, aby od pierwszych klas uczyć w szkole współczesnej, nowoczesnej wiedzy o Polsce i o świecie. Aby budować ciągłość wokół rozpoznawalnych wątków historycznych, a także, a dla-czegóż nie – wątków budujących wspólnotę i dumę. Co nie oznacza, że należałoby zrezygnować ze wskazywania złych stron II, III i IV RP.

Trzeba nauczyć się mówić mądrze o PRL – i to nie ukrywając sukcesów tamtej epoki, jeśli nie chcemy, by dzisiaj tandetni populiści zdobywali władzę, czerpiąc z mitu PRL: wszak wiele osób nadal pamięta PRL jako czas prosperity, awansu, nadziei. Trzeba też nauczyć się mówić o powojennej partyzantce – wszak w podziemiu znalazło się wielu pospolitych przestępców. Jak to powiadał dr Marcin Zaremba: „Część »żołnierzy wyklętych« wybrałaby partyzantkę bez względu na panujący w Polsce ustrój”.

Starajmy się zatem już dzisiaj dyskutować – tylko tyle i aż tyle.



**Witold Beres** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „KraKów”.



# Wydawca z misją i odwagą

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Lista autorów, których publikował, dowodzi, że był wydawcą zarówno wierzącym w misję książki, jak i wydawcą odważnym. Był też przyjacielem miesięcznika „Kraków”. Niedawno zmarł na COVID-19.**

Paweł Szwed przez lata szefował Światowi Książki, a ostatnio stał na czele Wielkiej Litery. Do obu tych oficyn umiał przyciągać znakomite nazwiska. Był to efekt profesjonalizmu, ale przede wszystkim erudycji, poczucia humoru i wyraźnie widocznej pasji, czyli książek. Autorzy wiedzieli, że owszem – wprawdzie w kwestii zaliczek wykazuje naturalną dla branży oszczędność, ale na pewno czyta ogłaszane przez siebie tytuły, potrafi o nich mądrze dyskutować (sam chętnie i z wyraźną pasją relacjonował potem takie rozmowy z, chociażby, Hanną Krall, Teresą Torańską czy Jerzym Pilchem) i zadba o możliwie najszerze nagłośnienie dzieła. Więcej: jeśli był przekonany, że rzecz jest wartościowa, to nie zawahał się jej wydać lub wznowić nawet mimo braku szans na oszałamiające zyski.

Lista ważnych tytułów ogłoszonych dzięki wyczuciu i decyzji Pawła jest długa. Poprzestańmy na kilku przykładach rodzimych autorów, całkiem subiektywnie na dodatek wybranych:

Hanna Krall, *Różowe strusie pióra* („Jest to książka o tym, co ludzie do mnie pisali i mówili przez pięćdziesiąt lat”) – i oczywiście wszystkie inne tytuły;

Piotr Czerwiński, *Pokalenie* – prywatne odkrycie Wydawcy: autor o niebywałym czuciu mentalności rodaków i ich współczesnego języka;

Artur Domośławski, *Kapuściński non-fiction* – było jasne, że będą kontrowersje wokół takiej biografii. I były...;

Katarzyna Nosowska, *A ja żem jej powiedziała...* oraz *Powrót z Bambuko* – bestsellery, a równocześnie pozycje mądre i dowodzące u autorki świetnego zmysłu obserwacji rzeczywistości oraz dystansu do niej i samej siebie. Jest „o druzgocącym wpływie portali społecznościowych na nasze życie, o dylematach partnerstwa, o problemach w okiełznaniu nastolatków, o miłości do jedzenia i terrorze rynku reklamowego. O tym, jak kochać i nie kochać”;

Teresa Torańska, *Oni* – i pozostałe tytuły, bo każda z tych rozmów to ważne źródło do zrozumienia najnowszej historii Polski;

Michał Głowiński, *Zła mowa. Jak nie dać się propagandzie* – niby tylko wznowienie tekstów sprzed 1989 roku, ale jakże wciąż niestety aktualnych. Rządzący znów przecież wskazują, kto jest „patriotą”, i szukają rozmaitych spisków „inspirowanych z zewnątrz” oczywiście;

Marek Bieńczyk, *Wszystkie kroniki wina* – wielki i zacy (oraz ważny!) temat w subtelnie błyskotliwym wykonaniu. Wszak przyjemność płynąca z wina polega nie tylko na jego picciu, ale i towarzyszącej temu rozmowie;

Jerzy W. Borejsza, *Ostaniec* – szkice i wspomnienia znakomitego historyka dziejów najnowszych Europy (jednego z najwybitniejszych badaczy fałszyzmu – więc znowu aktualne...);

Antoni Pawlak, *Zapiski na paczce papierosów* – kawał historii polskiej kultury i obyczajowości okresu PRL, brawurowo przypominanej niby tylko przez anegdoty, tyle że każda z nich ma ważne tło i podwójne dno. Bywa śmiesznie, bywa nostalgicznie, lecz zawsze jest mądrze;

Eustachy Rylski, *Człowiek w cieniu* – i inne prozy z racji niepowtarzalnego klimatu, nieoczywistości opowieści i jej klimatu;

Jacek Fedorowicz, zwłaszcza *Chamo sapiens* i *Święte krowy na kółkach* – światowy poziom dowcipu i refleksji;

Janusz Głowacki, *Moc truchleje* – wznowienie przenikliwego, więc wciąż wartego lektury, reportażu o Sierpniu '80;

Krzysztof Varga, *Setka* – felieton jednak, na szczęście, trzyma się mocno;

Jerzy Pilch – zawsze i wszystko.

Paweł Szwed miał ledwie 54 lata.

PS Paweł – jako szef Świata Książki i Wielkiej Litery – wydał też kilka tytułów Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetki. W przeciwieństwie do jednej z krakowskich oficyn nie bał się choćby ogłosić zapisu rozmów ze Staszkiem Musiałem SJ, zatytułowanych z namiennie *Duchowny niepokorny* – bohater z racji swojego zaangażowania w dialog z Żydami i judaizmem oraz walkę z kościelnym antysemityzmem był w konflikcie ze swoimi przełożonymi w zakonie oraz hierarchami. Nie wahał się też opublikować biografii Marka Edelmana, także słynącego z bezkompromisowych – a więc nie wszystkim pasujących – sądów, a także opowieści *Bohater z cienia* o Kaziku Ratajzerze, innym bojowcu powstania w getcie warszawskim (potem w grupie tak zwanych Mścicieli), mało znanym, a wspaniałym człowieku.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



# Miso i serce dla zwierząt

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie: archiwum Miso Place

**Kocha pastę miso i swoją suczkę Bronię. Miłość zainspirowała ją do spełnienia dwóch marzeń – o kameralnej restauracji serwującej kuchnię azjatycką oraz sklepie z akcesoriami dla czworonogów. Iga Gręda ma ledwie 29 lat, a kreatywności i odwagi w podejmowaniu decyzji mogłoby pozazdrościć jej doświadczeni biznesmeni.**

U lubione potrawy z dzieciństwa wymienia bez zastanowienia: zacierka, wątróbka i knedle ze śliwkami. Te robiła zwykle razem z babcią, po której odziedziczyła kulinarną pasję. – Byłam łakomym dzieckiem, lubiłam jeść. I gotować, zwłaszcza z babcią Zosią, moją królową kuchni. Książki kucharskie, które kolekcjonowała, mam do dziś – wspomina Iga Gręda, właścicielka Miso Place, jedynej w Krakowie restauracji serwującej tak bogate menu z azjatycką pastą miso w roli głównej.

Jako dwunastolatka zrezygnowała z mięsa, co więcej, do ograniczenia cierpienia zwierząt namówiła też rodziców. – Moją świadomość zawdzięcam jodze, na którą z rodzinnego Olkusza do oddalonego o 40 kilometrów Krakowa wozili mnie rodzice. Wtedy poznałam kuchnię ajurwedyjską i zafascynowałam się filozofią wegetarianizmu – przyznaje restauratorka.

Z Krakowem związała się na dłużej. Na Uniwersytecie Jagiellońskim obroniła pracę dyplomową na temat kulturowego ujęcia kulinariów w powieściach francuskiego pisarza i poety Michela Houellebecqa. Sztuki kulinarnej doświadczyła też na własnej skórze, podejmując pracę w krakowskiej gastronomii. Choć sama nigdy nie przygotowywała posiłków, z zainteresowaniem przyglądała się pracy kucharek i kucharzy. – Fascynował mnie organizm, jakim jest restauracja. Wiedziałam, że gastronomia to ciężka fizyczna praca, jednak z drugiej strony bardzo ją lubiłam i czułam, że świetnie się w niej odnajduję. Po studiach postanowiłam: założę własny lokal!

Marzeniem było miejsce z oryginalnymi deserami. Finanse pozbawiły jednak Igę złudzeń. – Nie byłam gotowa na taką inwestycję. Ale na rezygnację z planów też! Jednym z dań, które szczególnie polubiłam podczas pracy w gastronomii, była japońska zupa miso przyrządzana z pasty łączącej sfermentowaną soję, jęczmień i sól. Pożywna potrawa i zarazem lekarstwo. Miska miso wystarczy, by człowiek walczący z przeziębieniem, zmęczeniem albo kacem błyskawicznie poczuł się lepiej – zapewnia. Wymyśliła, że stworzy kompaktowe miejsce z menu opartym właśnie na azjatyckiej paście. Zaczęła od poszukiwań lokalu. Łatwo nie było. – Traktowano mnie niepoważnie i sugerowano, że moje plany to kaprys młodej dziewczyny. Owszem, miałam 26 lat i chciałam otworzyć własną restaurację, ale to raczej powód do dumy, a nie podcinania skrzydeł. W podjęciu decyzji oraz sfinansowaniu Miso Place – bo tak, po znalezieniu przestrzeni na krakowskim Podgórzu, nazwałam moje miejsce – pomogli mi rodzice. Ich zaufanie do mnie było bardzo budujące – zaznacza Iga. Podkreśla, że wiele zawdzięcza też pierwszej załodze lokalu – Kasi i kucharzowi Sebastianowi oraz Szymonowi i zespołowi dziewczyn, z którymi do dziś współpracuje.

Miso Place działa od marca 2018 roku przy ulicy Legionów Piłsudskiego 2, tuż za mostem Józefa Piłsudskiego łączącym Kazimierz ze Starym Podgórzem. Wcześniej był tam warzywniak, dziś jest to jasne, estetyczne miejsce, ożywiające nieco zapomnianą przez krakowian dzielnicę. Podstawą wszystkich dań (nawet deserów!) jest pasta miso, zaś ich różnorodność zależy od pory roku. W Miso Place zjemy kilka rodzajów zupy miso, ramen, rollsy czy warzywa w tempurze.

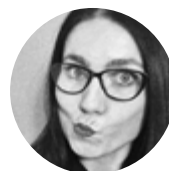
Restauratorka zapewnia, że mile widziani są wszyscy, bez względu na orientację seksualną czy poglądy. – Wspieramy Kampanię Przeciwko Homofobii i Strajk Kobiet, na naszych drzwiach przykleiliśmy naklejkę „Tu jesteś u siebie”. Ludzie nas lubią, piszą, że nie wyobrażają sobie już Krakowa bez Miso Place. Kiedy rząd z dnia na dzień wprowadził lockdown, a my kilka godzin wcześniej zaopatrzyliśmy się w produkty do nowego deseru, które musielibyśmy wyrzucić, pod Miso ustawiła się długa kolejka wsparcia. Zamówieniom nie było końca – wspomina Iga. I uśmiecha się: – Do Miso zapraszamy również czworonogi.

Odkąd została opiekunką Broni, suczki rasy shih tzu, w jej głowie zaczął kiełkować pomysł na kolejny biznes. Razem z koleżanką Anią, opiekunką charta Astona, postanowiła stworzyć miejsce przyjazne psom i kotom. Chien-Chat store, sklep internetowy z oryginalnymi akcesoriami dla czworonogów (choćby ceramicznymi miskami), powstał w grudniu 2020 roku. Obecnie to marka funkcjonująca wyłącznie w internecie, ale właścicielki marzą, by Chien-Chat store znalazł swoją przestrzeń stacjonarną. I już nad tym pracują!

Skąd w Idzie tyle pasji, odwagi i wytrwałości w trudnym dla małych przedsiębiorców czasie pandemii? – Własny biznes to wyzwanie, które trzeba solidnie przemyśleć. Niemniej wielką frajdą jest patrzeć, jak marzenia się spełniają.

Miso Place (Legionów Piłsudskiego 2) jest czynne codziennie od godz. 12 do 20. Menu i informacje o promocjach na Facebooku ([facebook.com/misoplace](https://facebook.com/misoplace)) oraz Instagramie (@misoplace).

Chien-Chat store znajdziemy w sieci pod adresem [chienchat.store.pl](https://chienchat.store.pl), na Facebooku – [facebook.com/chienchat.store](https://facebook.com/chienchat.store) i Instagramie @chienchat.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuhać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



# Park Sportowy Juwenia

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: ze zbiorów autora

W 1906 roku powołano do życia Związek Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej. Jego twórcą był jezuita ks. Mieczysław Kuznowicz, który nadał wówczas nową nazwę i status istniejącemu już w Krakowie od 1897 roku stowarzyszeniu charytatywno-społecznemu, znanemu pod nazwą „Opieka św. Stanisława Kostki nad Młodzieżą Terminatorską”. Z niewielkiego początkowo grona młodzieży korzystającego z siedziby przy ul. św. Tomasza 29–33 oraz przy ul. Krupniczej 29 Związek rozrósł się w prężnie działającą i dobrze zarządzaną organizację. Jego podstawowym, statutowym celem było zrzeszanie młodzieży rzemieślniczej, umożliwianie jej zdobycia wykształcenia zawodowego oraz „dbałość o wychowanie w duchu katolickim”.



Działalność Związku miała obejmować niemal wszystkie sfery życia, prowadzono zatem między innymi bibliotekę, koła muzyczne i teatralne, kursy dokształcające we wszystkich praktycznych zawodach, a nawet pośrednictwo pracy. A w 1911 roku, na przekazanym przez miasto kilkumorgowym terenie przy Błoniach, Związek urządził stadion nazwany Parkiem Sportowym Juvenia. Jego gospodarzem został klub sportowy o takiej nazwie z sekcją piłkarską.

Na fotografii wykonanej w dzień święta Konstytucji 3 maja w 1927 roku za Rudawą i kratowym mostem widać nieistniejące dziś obiekty Juvenii. Duży drewniany pawilon z dwoma wieżyczkami, murowany piętrowy budynek i – najbardziej na lewo – niewielki drewniany domek. Na Błoniach trwają wojskowe manewry z okazji święta. Na pierwszym planie widoczny jest tor kolarski urządzony po drugiej stronie Rudawy. Ujęcie, dziś niemożliwe do powtórzenia, wykonano z jednego z nieistniejących domów przy ul. Królowej Jadwigi.

Po ostatniej wojnie w nowej rzeczywistości politycznej próbowano odgórnie sterować także sportowym życiem miasta. I tak na przykład już w 1946 roku na obiektach Juvenii próbowano urządzić milicyjny klub sportowy. Wkrótce nastąpiła zmiana planów, bo milicja przejęła o wiele poważniejszy klub – Wisłę Kraków.

Niebawem jednak Juvenia otrzymała dość nieoczekiwane towarzystwo w postaci założonego w 1921 roku Zwierzynieckiego Klubu Sportowego. Jego wielki sympatyk, ówczesny premier Józef Cyrankiewicz sprawił, że klub skazany dotąd na nieprofesjonalne (bo za krótkie...) boisko przy ul. Emaus 18 przeniesiono w 1957 roku na rozdzielony obiekt Juvenii. Odtąd na części wschodniej (bliżej miasta) gospodarował Zwierzyniec, a część zachodnia pozostała przy Juvenii. W 1972 roku w miejscu drewnianego baraku klubowego zbudowano budynek murowany.

Na fotografii zwraca nadto uwagę brak połączenia al. Focha – z mostu na wprost – z ul. Królowej Jadwigi. Przejazd ten wykonano bowiem dopiero u progu lat 50. ubiegłego wieku.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Prezydent

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: Wikimedia Commons

**Jeśli Polacy mają okazję coś spieprzyć, to na pewno to zrobią – ewolucja konstrukcji pozycji głowy państwa pokazuje to dobitnie.**

Trzeba tu dopowiedzieć, iż sejm, zdominowany przez prawicę, obrał taką opcję niejako przeciw sobie – prawica opowiadała się zawsze za rządami silnej ręki i koncentracją władzy. Tu względy personalne zdominowały imponderabilia ideowe” – pisze prof. Jacek Majchrowski, opisując budowanie w roku 1921, w pierwszej konstytucji pozycji prezydenta. A czytając jego dalsze rozważania, nie sposób nie zauważyć, że nie był to ani pierwszy, ani ostatni raz, gdy sensowność systemu władzy naginano do osobistych fochów i uprzedzeń. To samo dotyczyło konstytucji

kwietniowej, to samo pozycji prezydenta w okresie przekształceń okrągłostołowych, to samo gdy rządził Aleksander Kwaśniewski i powstawała obecna konstytucja. W ten sposób zawsze coś jest nie tak, choć przecież raz mógłby się znaleźć polityk, który patrzyłby dalej niż perspektywa najbliższych wyborów.

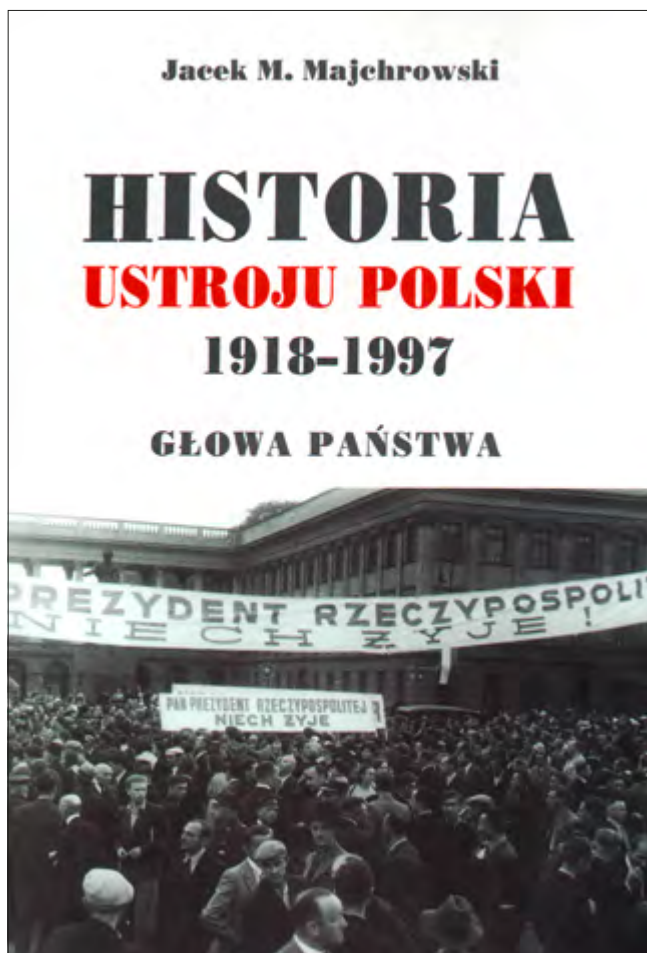
Książka, wyraźnie uszyta na jedną z części przyszłego przewodnika po całości dziejów politycznych Polski po 1918 roku, daje przy tym mnóstwo informacji mało znanych i rozproszonych – a już opis sporów politycznych, kwestionujących prezydenta RP na obczyźnie bije rekordy pomysłów Lema/Mrożka.

Jest też smutek. Szalenie bowiem uderza miałość politycznych elit Polski – właściwie nadzwyczaj szybko, po odsunięciu się Piłsudskiego, rządzące grupy liczyły tylko na sojuszników, jakby nie pamiętając, że państwa nie mają przyjaciół tylko interesy. W 1939 roku Francuzi wymusili zmianę legalnie wyznaczonego prezydenta. W 1945 roku Anglicy zostawili legalnie funkcjonujący rząd polski na obczyźnie swoim kabaretowym rozgrywkom. W PRL Gomułka patrzył na zgodę Moskwy, a w III RP „robiliśmy łaskę Amerykanom”.

A tak w ogóle, to w tej na pozór stonowanej książce historycznej, opisującej przemiany koncepcji głowy państwa w Polsce w ciągu z górą 100 ostatnich lat, uderza kilka myśli. Pierwsza: wszystko już było. Druga: decyduje osobowość jednostki (ale u nas ich nie ma).

Trzecia wreszcie: nie jest historia żadną magister czegokolwiek, a już na pewno – naszego życia.

Jacek M. Majchrowski, *Historia ustroju Polski 1918–1997. Głowa państwa*, Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2020.



# Kraków powieściowym bohaterem

Rozmawiał Paweł Stachnik Zdjęcia: Mariusz Jasnopolski/za wiedzą i zgodą Wydawnictwa Jama

**Mariusz Wollny: Pisanie powieści wzięło się z moich upodobań. Lubię czytać literaturę popularną, sprawia mi przyjemność. Przygotowując się do napisania książki popularnonaukowej, muszę przeczytać około stu pozycji naukowych. Ażeby później odpocząć, sięgam po powieści przygodowe, kryminalne i sensacyjne. Przeczytałem ich sporo i nie uważam takiej literatury za bezwartościową. Lepiej czytać cokolwiek niż nic.**

**Paweł Stachnik: Mariusz Wollny, pasjonat przeszłości Krakowa, zakochany w tym mieście, pochodzi ze Śląska.**

Mariusz Wollny: Urodziłem się we Wrocławiu i mam do niego sentyment. Na tamtejszym cmentarzu Osobowickim spoczywają moja babcia, mama i matka chrzestna.

To ona zwłaszcza wywarła duży wpływ na mnie i na moje umiłowanie książek. Pochodziła z ziemianńskiej rodziny, była osobą światłą, znała kilka języków, w naszej rodzinie (o chłopsko-małomiasteczkowej proveniencji) otaczała ją duży szacunek. Jako moja chrzestna zawsze dostarczała mi lektur. Na dodatek mama zmuszała mnie do pisania listów z podziękowaniami – tyle że ciocia skrupulatnie podkreślała na czerwono wszystkie zrobione wtedy przeze mnie błędy i odsyłała tak poprawiony list, ja dostawałem w skórę i tym sposobem uczyłem się ortografii.

Pierwszą książkę, jaką przeczytałem w wieku pięciu czy sześciu lat, dostałem właśnie od niej. Była to legenda, a więc prawie książka historyczna, która być może zdecydowała o moim życiu. Bardzo poruszająca, utkwiała mi w pamięci. Nosiła tytuł *Wanda leży w naszej ziemi* mistrza Kornela Makuszyńskiego z ilustracjami Mariana Walentynowicza. Opowiadała o dramatycznych losach naszej (wtedy jeszcze waszej – krakowskiej) królowej Wandy, po którą wyciągał szponiaste paluchy jakiś okropny Chińczyk. **Wróćmy do Śląska... Pańską śląskość widać też w nazwisku.**

Rodzina ojca pochodzi ze Śląska Opolskiego, stąd właśnie dwa „l” w nazwisku – efekt wpływów niemieckich. Z Wrocławia przenieśliśmy się do Gliwic i była to dla mnie trudna zmiana. Nie rozumiałem, co ludzie mówią na ulicy, a w pobliskim sklepie panie rozmawiały po niemiecku. Byłem przerażony, bo nazajutrz miałem iść do szkoły. Mama zapewniła mnie, że w szkole wszyscy mówią po polsku. Owszem, wszyscy z wyjątkiem kolegów używających gwary... Rozumiałem ją dzięki wakacjom spędzonym u dziadków i nie miałem problemów z porozumieniem się z kuzynami. Sam jednak „godki” nie używałem (i nie używam), nie chcąc udawać ziomala, skoro byłem inny (przez matkę Kujawiankę). Nigdy nie powiem, że ze mnie szczerzy Ślązak, choć formalnie nim jestem i uznawane za typowe śląskie cechy – pracowitość, rodzinność, solidność – są mi bliskie.

Dla porządku: uważam gwary regionalne za wielce wartościowe. Gdy jestem na Podhalu, to bardzo mi pasuje, że ludzie posługują się tam swoją gwara. Na Kaszubach nie byłem, ale podejrzewam, że

Chętnie sięgam do kultury żydowskiej, romskiej czy tatarskiej. Inność, różnorodność i swojska egzotyka zawsze mnie pociągały. Brak tych wszystkich ludzi to rodzaj ubóstwa, jakie dotknęło Polskę. Sami ze sobą zanudzimy się na śmierć. A jak widzimy na co dzień, jednorodność wcale nie oznacza powszechnej miłości, braterstwa i zrozumienia.

byłoby podobnie. W ogóle brakuje mi tych mniejszości, które kiedyś zamieszkiwały Polskę. Chętnie przeszedłbym się po krakowskim Kazimierzu z jego dawnymi mieszkańcami. Gdy na studiach wędrowaliśmy z żoną po Bieszczadach, żałowałem, że nie słychać tam już mowy łemkowskiej czy bojkowskiej. Zazdrościłem prof. Romanowi Reinfussowi, że przed wojną mógł oglądać prawdziwe Bieszczady z ich mieszkańcami. W swoim pisarstwie chętnie sięgam do kultury żydowskiej, romskiej czy tatarskiej (żona ma tatarskie korzenie). Inność, różnorodność i swojska egzotyka zawsze mnie pociągały. Brak tych wszystkich ludzi to dla mnie rodzaj ubóstwa, jakie dotknęło Polskę. Sami ze sobą zanudzimy się na śmierć. A jak widzimy na co dzień, jednorodność wcale nie oznacza powszechnej miłości, braterstwa i zrozumienia.

**A kiedy w życiu Mariusza Wollnego pojawił się Kraków?**

Zawsze ciągnęło mnie w tę stronę, już od książki *Wanda leży w naszej ziemi* (śmiech). Kiedy skończyłem liceum w Gliwicach, poszedłem na studia do Krakowa, co w rodzinie wywołało spore zdziwienie. Stało się ono jeszcze większe, gdy oświadczyłem, że będę studiował etnografię. Fach taki na robotniczo-rzemieślniczym Śląsku nie był zbyt ceniony, ba! mało kto o nim słyszał.





Studia na Uniwersytecie Jagiellońskim okazały się fantastyczne pod każdym względem. Poznałem na nich przyszłą żonę, świetnych wykładowców i wspaniałych przyjaciół, z którymi do dziś utrzymuję kontakt. Etnografia dała mi szersze spojrzenie na rzeczywistość i przeszłość, niż daje studiowanie historii. Historycy na ogół nakierowani są na wąską tematykę: historię polityczną, gospodarczą, woj-skową. A etnografia to mieszanka kultury, historii, religii, życia społecznego itd. Nie bez powodu nazywa się ją teraz etnologią lub antropologią kulturową. Wartościowe były wyjazdy terenowe w rozmaite ciekawe miejsca, na przykład na Orawę czy w Beskid Niski.

#### **Studiował Pan u wybitnego etnografa prof. Romana Reinfussa.**

Nie pociągał mnie wtedy strukturalizm wykładany przez Ludwika Stommę. Lubiłem za to sztukę ludową, którą *nota bene* do dziś z żoną kolekcjonujemy. Imponowała mi kolekcja rzeźb ludowych prof. Reinfussa, którą miałem okazję oglądać u niego w domu, bo chętnie zapraszał swoich studentów. Seminarium magisterskie wybrałem więc u niego. Łączyła nas prawdziwa relacja mistrz-uczeń, taka, o jakiej czytywałem w książkach. Już po studiach odwiedzałem go w jego domku w Krzywaczce, zawiozłem mu tam moją pierwszą książkę. Gratulował, chwalił piękne wydanie, żałował, że w jego czasach nie było takich możliwości poligraficznych. W zamian dostałem jego pracę o Łemkach, co bardzo mnie rajcowało. Mieliśmy z żoną do niego wielki szacunek i sympatię, wychodzące poza standardowe relacje profesor-student.

#### **Po studiach nie zajął się pan jednak etnografią.**

To prawda. Marzyła nam się z żoną praca w skansenie. Chcieliśmy wyjechać z Krakowa do któregoś ze skansenów, do Szymbarku lub Sanoka, i podjąć tam pracę, być może nawet naukową. Problemem okazał się brak mieszkania, bo żadna z tych placówek nie oferowała lokum dla nowych pracowników. Większe szanse dawało zatrudnienie się w szkole. Objęliśmy więc autobusem górskie, beskidzkie miejscowości. Wszędzie chciano nas zatrudnić już teraz, od zaraz. Tyle że nigdzie nie było owego lokum, na którym nam tak zależało. Wreszcie zdecydowałem się zatrudnić pod Krakowem, bo mogłem codziennie dojeżdżać. Tutaj zadziałał przypadek: szkoła, w której zaproponowano mi pracę historyka, była bliżej Krakowa niż ta, w której chciano, bym uczył geografii. W dodatku miała stołówkę. Tak trafiłem do podstawówki w Mogilanach. Muszę wyjaśnić, że zgodnie z modą nosiłem długie włosy i rozciągnięty sweter, więc przypominałem hipisa i wyglądem raczej nie budziłem zaufania. Natomiast

przemawiało za mną to, że byłem mężczyzną, a faceci nie kwapili się wtedy do podejmowania pracy nauczyciela w wiejskich szkołach. Ta wizyta w Mogilanach wpłynęła na moje życie: na dobre związałem się z historią i przepracowałem tam 28 lat w fajnym towarzystwie.

#### **Chyba więc odnalazł się Pan jako pedagog?**

Nie chciałem być nauczycielem jakich wielu, czyli osobą, która najlepiej zna podręcznik w całej klasie. Zadałem sobie trud przygotowania się z przedmiotu, którego uczyłem: zrobiłem studia podyplomowe z historii, uzupełnione studiami historycznymi na własną rękę. Nie chciałem nudzić uczniów, więc zainteresowałem się sprawami, które omijają zawodowi historycy i badacze, z zasady wyrzucając je do naukowego kosza – zdarzeniami ciekawymi, inte-

Moje książki to literatura łotrzykowska. Nie są to kryminały *sensu stricto*, za dużo w nich przygody. A równocześnie jest mnóstwo prawdy historycznej, więc są też powieściami popularnonaukowymi.

resującymi, zabawnymi, śmiesznymi, choć zawsze prawdziwymi. Takimi, które przyswaja się lekko, łatwo i przyjemnie, ale i dającymi jakąś wiedzę historyczną. Wszystko to jest przydatne w nawiązywaniu kontaktu z odbiorcą. Z lat szkolnych pamiętałem, że historia dla moich kolegów – i to zarówno w podstawówce, jak i w liceum – była przedmiotem nudnym i trudnym. Być może dlatego, że nasi nauczyciele nie potrafili o niej ciekawie opowiadać.

#### **Uczniowie pana lubili?**

Ktoś podzielił nauczycieli na trenerów i przewodników. Trenerzy to ci, którzy nadają się do pracy z uczniami najlepszymi, potrafią ich maksymalnie zmobilizować i dobrze przygotować do olimpiad, matur czy dawniej do egzaminów na studia. Oni sami i ich uczniowie osiągają sukcesy. Z kolei nauczyciele-przewodnicy przede wszystkim starają się zachęcić uczniów, żeby polubili przedmiot i poczuli, że to jest fajna rzecz. Że na przykład historia może być fascynująca, wciągająca i dostarczać rozrywki. Nie tylko rozrywki zresztą, bo gdy człowiek już złapie bakcyła, to potem rozwija zainteresowanie, sam podwyższa sobie poprzeczkę i przechodzi od literatury rozrywkowej do popularnonaukowej, a potem naukowej. I ja starałem się być nauczycielem przewodnikiem. Wydaje mi się, że takie podejście uczniom się podobało. Zdarzają mi się

---

**Mariusz Wollny** (1958) – Ślązak od lat mieszkający w Krakowie, autor książek popularnonaukowych, kryminałów historycznych i historii dla dzieci (między innymi *Kazimierz Wielki*, *Krew Inków*, *Tropem smoka*, *Oblicze Pana*, cyklu o Kacprze Ryksie i jego synu Kacprze Turopońskim). Z wykształcenia jest etnografem, z zamiłowania historykiem i amerykańnistą. W latach 2002–2009 publikował w kwartalniku

ku „Tawacin. Pismo Przyjaciół Indian”, pomysłodawca (wraz z żoną) i współorganizator odbywającego się w Krakowie od 2010 roku corocznego historycznego Jarmarku Świętojańskiego. W 2014 roku uhonorowany Ławeczką Literacką na Plantach. Od 2012 roku prowadzi w Krakowie sklep z pamiątkami historycznymi – Skład Towarów Rarytynnych „U Kacpra Ryksa”.

spotkania z dawnymi wychowankami (choćby na Targach Książki), którzy zwykle miło wspominają lekcje ze mną, a wielu przyznaje się, że polubiło historię. I o taką satysfakcję mi szło, bo o splendorze w tym fachu nie ma mowy, przynajmniej w naszych warunkach.

**Jako nauczyciel zaczął Pan pisać książki historyczne.**

Lata pracy z uczniami dały mi pewną umiejętność operowania słowem, przytrzymywania uwagi i prowadzenia narracji. Chciałem wykorzystać te umiejętności, a także zdobytą podczas własnych poszukiwań wiedzę, w tym wspomniane ciekawostki i anegdoty.

Tak narodził się pomysł książki *Był sobie król...*, opowiadającej w przystępny sposób o dynastii Piastów. Książka się spodobała, miała dwa wydania,

**Postanowiłem stworzyć cykl powieści dotyczących dziejów Krakowa. Uznałem, że będzie to świetna promocja miasta i że Kraków zasługuje na taką serię.**

sprzedała się w całkiem dobrym jak na polskie warunki nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy, więc poszedłem za ciosem i napisałem kolejne części: o Jagiellonach i królach elekcyjnych. W ten sposób powstał poczet królów polskich. Cykl był tak skonstruowany, że zawierał warstwę faktograficzną, warstwę legendarną oraz moje humoreski (również oparte na faktach). Całość miała się dobrze czytać i zatracać o beletrystykę, a ja sobie samowolnie przyznałem tytuł *Jasienica dla początkujących*, bowiem nieskromnie uważam się za duchowego ucznia Mistrza.

**Jak z książek popularnonaukowych przeszedł Pan do powieści?**

Pierwszą książkę historyczno-sensacyjną *Krew Inków*, wykorzystującą wątek legendy o Inkach na zamku w Niedzicy, napisałem pod koniec lat 80. minionego wieku. Mój kolega ze studiów został tam kustoszem działu etnograficznego. Zaprosił mnie kiedyś i pokazał wszystkie zakamarki zamku na co dzień niedostępne dla turystów. Historia zamku i związanej z nim opowieści o szukających tam w XVIII wieku schronienia Inkach zafrapowała mnie. Wpadła mi też wtedy w ręce powieść na ten temat. Niestety, była tak fatalnie napisana, że doszedłem do wniosku – znów nieskromnie – iż chyba bym to lepiej zrobił. Słowo się rzekło – siadłem do maszyny i wystukałem obszerną książkę. Przeczytali ją znajomi i im się podobała. Maszynopis przeleżał w domu wiele lat, co jakiś czas wracałem do niego, by dokonać kolejnych poprawek. Wreszcie w 2006 roku książka ukazała się drukiem i została dobrze przyjęta przez czytelników. Cały nakład rozszedł się w niecały rok.

W 2010 roku napisałem inną powieść sensacyjną – *Oblicze Pana*, osnutą wokół losów zdobytego pod Grunwaldem relikwiarza przechowywanego w krakowskim kościele św. Floriana.

Pisanie powieści wzięło się z moich upodobań. Lubię czytać literaturę popularną, sprawia mi to

przyjemność. Przygotowując się do napisania książki popularnonaukowej, muszę przeczytać około stu pozycji naukowych. Dlatego, by później odpocząć, sięgam po powieści przygodowe, kryminalne i sensacyjne. Lubię te podrzędne gatunki, przeczytałem tego sporo i nie uważam takiej literatury za bezwartościową. Lepiej czytać cokolwiek niż nic. Pisanie powieści spodobało mi się, więc postanowiłem porzucić nauczanie, a zająć się na dobre rozrywką. Mało kto bowiem lubi być nauczany, a wszyscy pragną się dobrze bawić.

**W jaki sposób narodził się najsłynniejszy pański cykl powieściowy o Kacprze Ryksie?**

Zamierzyłem sobie, także dla własnej rozrywki, stworzenie cyklu powieści dotyczących dziejów Krakowa. Zainspirował mnie rozgrywający się we Wrocławiu powieściowy cykl Marka Krajewskiego, którego bohaterem jest komisarz Eberhard Mock. Uznałem, że będzie to świetna promocja miasta i że Kraków zasługuje na taką serię. Ulokowałem akcję *Kacpra Ryksa* w drugiej połowie XVI wieku, bo jest to okres, w którym dużo się w Polsce działo. Między rokiem 1570 a 1590 mieliśmy czterech królów, zmiany ustrojowe, obyczajowe, techniczne. Czasy były barwne, niezwykle i burzliwe. Jedne rzeczy się kończyły, drugie zaczynały. Odchodziła w przeszłość dynastia Jagiellonów, pojawili się królowie elekcyjni. Kraków uchodzi za miasto renesansowe, a to właśnie ten okres. W takim kostiumie moim zdaniem to miasto czuje się i wygląda najlepiej.

**W Ryksowym cyklu plastycznie i barwnie ukazał pan Kraków z jego ówczesną topografią, zabudową, mieszkańcami, zwyczajami.**

Pisanie poprzedziły uważne i pogłębione studia nad historią miasta w tym okresie. Musiałem się zapoznać ze sporą porcją fachowej literatury. Wbrew pozorom nie jest tak, że cała historia Krakowa jest już na wskroś przebadana. Wiele rzeczy musiałem odtwarzać sam. Przygotowałem sobie wielkie plansze, na które nanosiłem poszczególne obiekty miasta oraz informacje o ich wyglądzie. Tam, gdzie brakowało informacji, wspierałem się wyobraźnią, której mi fortunnie nie brakuje. Gdy poczułem, że widzę to miasto sprzed ponad czterech wieków, mogłem przystąpić do pisania.

**Czy tworząc postać głównego bohatera, wzorował się pan na jakichś postaciach literackich?**

Siedzi we mnie mnóstwo motywów i wątków z przeczytanych niegdyś książek i obejrzanych filmów. Czasami nie jestem w stanie kontrolować sam siebie, co i skąd zapożyczam – pojawia się pomysł, a dopiero potem przychodzi refleksja, że to już przecież skądś znam. Chciałem, żeby mój bohater był wyrazisty i wzbudzający sympatię, bardziej niż wspomniany komisarz Mock z powieści Krajewskiego, który bywa postacią odpychającą. Czytelnicy lubią, gdy bohater jest sympatyczny, co nie znaczy, że ma być bez wyrazu.

**Pański bohater zdobył wielu fanów, nie tylko w Krakowie. A władze Krakowa wykorzystują Ryksa w promocji miasta, ma Pan literacką ławeczkę na Plantach, powstał przewodnik po Krakowie śladem Ryksa, gra planszowa i aplikacja na telefon, do której głos nagrał znany dziennikarz Grzegorz Wasowski, skądinąd fan Ryksowej serii. W Krako-**

**wie pojawiło się nawet piwo Kacper Ryx. Mówiło się też o ekranizacji cyklu.**

Mój bohater rzeczywiście jakoś zaistniał. Mam sygnały, że jest to lektura ważna dla wielu ludzi, niekiedy mieszkających daleko od Krakowa – choćby w Australii. Gdy parę lat temu otwierałem w kamienicy Hipolitów sklep z pamiątkami historycznymi z Krakowa, co połączone było z premierą czwartego tomu przygód Ryksa, pojawiły się spore tłumy. A gdy zakończyłem cykl, odezwały się liczne głosy domagające się kontynuacji.

Z tego właśnie powodu napisałem kolejną serię powieści, której bohaterem został syn Kacpra – Kacper Turopoński, a potem jeszcze kilka opowiadań z Kacprem seniorem. Cenię sobie, że czytelnicy – mający na rynku sporą ofertę książek kryminalnych, w tym także kryminałów historycznych – sięgają właśnie po moje powieści.

**Ryksa porzucił Pan jednak definitywnie i rozpoczęł nowy cykl, którego akcja rozgrywa się w XIX-wiecznym galicyjskim Krakowie. Dlaczego?**

Postanowiłem zasadniczo zmienić scenografię historyczną. Kraków z końca XIX i początku XX stulecia to też ciekawe miasto. Nie tak ważne i bogate jak renesansowy, ale znaczące z innych względów. Dzięki autonomii galicyjskiej mogła swobodnie rozwijać się tu polska kultura, nauka i życie polityczne, tutaj przewijały się wszystkie ważne dla ówczesnej historii Polski osobistości. Zagęszczenie wybitnych twórców na metr kwadratowy było w Krakowie większe niż w jakimkolwiek innym polskim mieście i w jakimkolwiek innym okresie – poza wspomnianym złotym wiekiem. Jak zawsze przeczytałem mnóstwo materiałów: opracowań, monografi, pamiętników traktujących o tamtym okresie, by należycie wejść w realia epoki. Przewertowałem z pomagającą mi żoną sporo numerów „Czasu”, który jest nieocenionym źródłem do dziejów Krakowa. Odwiedzałem też Archiwum Narodowe w Krakowie i przeglądałem dokumenty. Wszystko to posłużyło mi do stworzenia w miarę realistycznego obrazu miasta z końca XIX wieku. Bo tak naprawdę to Kraków jest bohaterem moich powieści.

**Główna postać książki to policjant Józef Edward Mohr – osoba fikcyjna, lecz stworzył ja Pan, opierając się na postaciach prawdziwych.**

Tak. Wykorzystałem kapitalne wspomnienia Marii z Mohrów Kietlińskiej. Jej książka to wspaniały obraz XIX-wiecznego Krakowa, z mnóstwem ciekawych wydarzeń, wątków i postaci. Niektóre pozwoliłem sobie wykorzystać. Nowego bohatera – Józefa Edwarda Mohra – skleiłem z Edwarda Mohra, starszego brata Marii, oraz prawdziwego policjanta Józefa Mohra, którego podsunęła mi wicedyrektor Archiwum Narodowego w Krakowie dr Kamila Follprecht. Za przywoływanym Markiem Krajewskim powiem, że Mohr to świetne nazwisko dla książkowego gliniarza: krótkie, mocne, obco brzmiące. Cykl będzie nosił tytuł *Sprawy komisarza Mohra*. Ukazał się już pierwszy tom – *Biały towar*.

**Jak konstruuje Pan intrygę kryminalną – przed rozpoczęciem jest już gotowy schemat czy powstaje on dopiero w trakcie pracy?**

Wiem, jak historia się zacznie i jak się skończy, natomiast zupełnie nie wiem, co będzie w środku. To, jak

rozwinie się akcja, decyduje się podczas pisania. Nie należę do autorów, którzy mają gotowy konspekt albo szczegółowo rozpisany scenariusz i ściśle się go trzymają. Wyobraźnię mam sporą, choć nie lubię fantazjować, a sam gatunek fantasy jest mi obcy. Potrzebuję jakiegoś ciekawego, lecz autentycznego, wydarzenia, by pobudzić wyobraźnię. Wokół niego buduję następnie historię. Zwykle jakieś 90 proc. wartości moich powieści jest prawdziwe.

**Gdyby miał Pan postawić swoje książki na półce obok innych powieści kryminalnych, gdzie by stały?**

Moją twórczość określiłbym mianem literatury łotrzykowskiej. Bo nie jest to kryminał *sensu stricto* – za dużo w nim przygody. A równocześnie mnóstwo prawdy historycznej, tak że nazywam swoje książki powieściami popularnonaukowymi. Elementy kryminału oczywiście w nich występują, ale nie jest to element pierwszoplanowy. Z czyją zatem twórczością mógłbym zestawić *Kacpra Ryksa*? Chyba... z niczyją. Zabrałem się do pisania także dlatego, że brakowało mi w kraju literatury tego typu. Byłem

Akcję *Kacpra Ryksa* ulokowałem w drugiej połowie XVI wieku, bo jest to okres, w którym dużo się w Polsce działo. Między rokiem 1570 a 1590 mieliśmy czterech królów, zmiany ustrojowe, obyczajowe, techniczne. Czasy były barwne, niezwykle i burzliwe.

skazany na autorów francuskich, anglosaskich i hiszpańskich. W Polsce jakiś czas temu ogłoszono koniec takiej literatury, uznając, że jest ona przestarzała i niepotrzebna i że teraz potrzebujemy książek obyczajowych i psychologicznych. Tymczasem na świecie ten gatunek świetnie prosperuje, ma zwolenników i jest chętnie wydawany. Gdy, przykładowo, przeczytałem kilka tytułów Artura Pereza Reverte, byłem nimi zachwycony. Oczywiście nie jest to literatura spod znaku płaszcza i szpady jak w wieku XIX, bo konieczne są bardziej współczesne elementy. Jednak grupa ludzi lubiących książki historyczne i przygodowo-historyczne jest w Polsce całkiem spora.



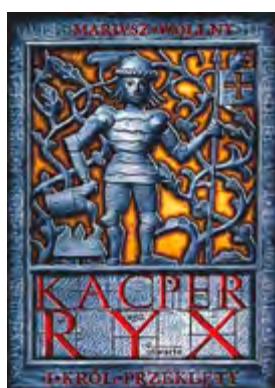
**Paweł Stachnik** – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Krakowskiej”, „Sowińcu” i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fantastyki i dobrego piwa.

# Kraków królów, czyli przygody śledczego Ryxa



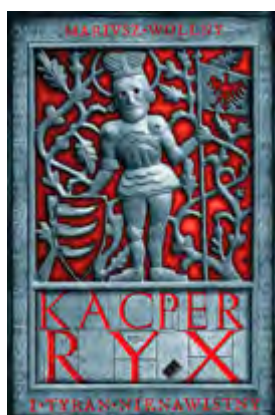
## **Kacper Ryx**

Pierwszy tom przygód Kacpra Ryksa. Bohater jest studentem Akademii Krakowskiej. Akcja rozgrywa się pod koniec panowania Zygmunta Augusta. Fabuła jest osnuta wokół głośnej afery z wywołaniem dla monarchy ducha ukochanej zmarłej żony – Barbary Radziwiłłówny. Na prośbę królewskich dworzan: Jana Kochanowskiego, Jana Zamojskiego i Jana Tomasza Drohojowskiego, 19-letni Kacper Ryx prowadzi w tej sprawie śledztwo. Pomaga mu poeta Mikołaj Sęp Szarzyński. Bo wiele wskazuje na to, że ów seans spirytystyczny był po prostu oszustwem grupy podwładnych, która chce omoć króla...



## **Kacper Ryx i król przeklęty**

Drugi tom przygód Kacpra Ryksa. Rozgrywa się podczas panowania pierwszego władcy elekcyjnego – Henryka Walezego. 25-letni Ryx prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni na tle seksualnym, które mają skompromitować znanego z erotycznych ekscesów francuskiego monarchę. Pomaga mu nowy towarzysz – młody Stanisław Żółkiewski (przyszły hetman). Tropy prowadzą w najmroczniejsze zakamarki Krakowa. Co gorsza, Ryx popada w poważny zatarg z Samuelem Zborowskim, potężnym magnatem i zbrodniarzem w jednej osobie, a ten nie boi się żadnej władzy.



## **Kacper Ryx i tyran nienawistny**

Trzecia część cyklu rozgrywa się za panowania Stefana Batorego. 30-letni Ryx dzięki swoim działaniom zapobiega pogromowi w Mieście Żydowskim w podkrakowskim Kazimierzu. Potem zaś namówiony przez przyjaciół – Jana Zamojskiego i Stanisława Żółkiewskiego – wyrusza na Inflanty na wojnę z Moskwą. Odznaczenie się na wojnie to dla Ryksa jedyna szansa na nobilitację i zdobycie ukochanej, od której dzieli go pochodzenie społeczne. Przy okazji bohater śledzi poczynania banity Samuela Zborowskiego, swojego prywatnego prześladowcy, knującego również przeciwko królowi.



## **Kacper Ryx i król alchemików**

Czwarty i ostatni tom przygód Ryksa. Rozgrywa się w początkach panowania Zygmunta III Wazy, nazywanego „królem alchemików”. Władca jest podatny na manipulacje rozmaitych oszustów-czarnoksiężników, przed którymi chroni go królewski instygator, teraz już prawie 40-letni Ryx. Równocześnie monarcha potajemnie paktuje z Habsburgami, oferując im polską koronę, co grozi wybuchem wojny domowej i obcą interwencją. Znalazienie wyjścia z tej sytuacji spada na barki Ryksa. W dodatku Kraków dotyka epidemia (dżuma), a ktoś zaczyna mordować bogatych chorych...



# Od folii na musztardę do onkologicznych laserów

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

**Leszek Piątek i Krzysztof Smolarski, założyciele i prezesi Consultronix SA, krajowego potentata rynku sprzętu medycznego: Jeśli chodzi o jakość sprzętu w polskich szpitalach, to jesteśmy już powyżej średniej europejskiej. Dlaczego? Bo jeżeli się już coś kupuje, to się kupuje najnowsze i najlepsze rzeczy. Nie ma niczego ze szrotu, a nowe szpitale są bezdyskusyjnie świetne. Na przykład Szpital Uniwersytecki w Krakowie to absolutnie poziom światowy. I Consultronix przyłożył do tego cegiełkę.**

Krzysztof Smolarski: [śmiejąc się] Jak się nam udało z Consultronixem ponad trzydzieści lat temu? A wiecie, co to jest ślepa próba? To eksperyment polegający na utrzymaniu osób przyjmujących lek w nieświadomości, czy przyjmują lek czy placebo. Chodzi o to, żeby wykluczyć efekt oczekiwania sukcesu. Czasami myślę, że tylko dlatego nam się udało, że nie liczyliśmy na sukces... Na zasadzie z *Ziemi obiecanej*: ty nie masz nic, ja nie mam nic, to razem mamy tyle, żeby założyć wielką firmę.

**Witold Bereś i Krzysztof Burnetko: Jak już idziemy tym tropem, to zdaje się, że jest także potrójnie ślepa próba: co jest lekiem, nie wie ani pacjent, ani lekarz, ani nawet ten, kto na koniec opracowuje wyniki! W wypadku Consultronixu na szczęście nie mamy z tym do czynienia – bo wasz sukces jest niepodważalny. Ale trochę nas zaniepokoiło, bo w siedzibie Consultronixu natknęliśmy się też na salę, w której, w ramach walki o dobrą okulistykę, ktoś ciął na potrzeby testów zwierzęce oczy. Oczywiście były to padnięte zwierzęta... Ale czy wy aby na pewno macie do tego kompetencje?**

LP: Tnie się skalpelami. Ja się na tym znam, bo jestem z wykształcenia po fizyce metali. Tam się nauczyłem, że są metale zależne i metale niezależne. Albo żelazne i drewniane? Sam już nie wiem. [śmiech]

KS: A ja jestem geologiem, w związku z tym wiem, gdzie grzebać, żeby znaleźć, jak się nam nie udało. [śmiech]

**Tak, to prosta droga do sukcesu... Z tego, co wiemy, to się znacie milion lat albo i dłużej.**

KS: Poznaliśmy się w połowie lat 80. ubiegłego wieku na obozie windsurfingowym w Rożnowie: byłem tam instruktorem, a Leszek – kierownikiem ośrodka. Gdy się zaprzyjaźniliśmy, to się okazało, że nawet śluby braliśmy z dokładnością do tygodnia. Więc jakaś chemia była między nami zawsze.

LP: Ba, nasze żony miały nawet w tym samym czasie poród. Byliśmy obaj na studiach – wtedy się studiowało, a nie ścięgało jak dziś, więc zaliczywszy czwarty rok, wziąłem urlop dziekański. Pomyślałem: po co się będę spieszył? Dzieci nie było, więc trafiłem do ośrodka żeglarskiego.

**Zaczęło się więc od żagli?**

KS: Zaczęło się od windsurfingu – było całodzienne pływanie, były wieczorne ogniska i wtedy padł po-

mysł, że założymy firmę i będziemy szyli te żagle do windsurfingu – bo ich po prostu nie było.

LP: Pomyśl był twój. Jak zwykle – zapaliłeś się. – Jest windsurfing, fajna dyscyplina, deski są, da się je sprwadzić, ale nie ma żagli. I mówisz: – A może byśmy zaczęli szyć żagle? Zapadła cisza, ale podchwycił to Janusz Gaworek, też instruktor (dziś żegluje w niebieskich, niestety). A ponieważ umiał portki naprawić, wszyć zamek i w ogóle praca mu się paliła w rękach, więc został mianowany żaglomistrzem.

**Windsurfing w tamtej atmosferze to ledwie jakieś biedne początki. Jest PRL, są kartki na kartki i braki braków. Skąd braliście choćby płótno na żagle?**

LP: To było jeszcze przed inflacją. 1984 rok – co prawda wielki bałagan, bo to było zaraz po stanie wojennym, ale jeszcze nie było hiperinflacji.

KS: Bo niczego nie było. Jednak w jakimś sensie było łatwiej niż dzisiaj, bo zakładałeś firmę i jedynym problemem było znalezienie źródeł zaopatrzenia. A sprzedać? Cokolwiek zrobiłeś, to ludzie ustawiali się w kolejce, bo tak był rynek opustoszały. Jako student pracowałem w Holandii na wakacjach i tam zobaczyłem gości, którzy pływali na deskach. Szalenie mi się to spodobało. Wróciłem i dowiedziałem się, że w Spytkowicach ktoś produkuje deski.

LP: To się wtedy nazywało „firma polonijna”.

KS: Ale produkowała tylko deski – chyba wyłącznie na eksport. Nie było natomiast ani masztów, ani bómów, ani żagli. Zdobyłem jednak taką deskę i spróbowałem na tym pływać. Na tyle pływałem, że zostałem instruktorem. Instruktorem zostawał zresztą każdy, kto potrafił na tym ustać. Wtedy w Rożnowie miałem uczyć innych. Przy ognisku uzgodniliśmy, że zaczniemy produkować żagle. Zaczynały się spółki, więc też założyliśmy spółkę.

LP: Materiału jednak nie było. O przepraszam, był producent, firma Silwana w Gorzowie Wielkopolskim, która produkowała materiał na żagle do łodzi. Ale żeby od nich kupić, trzeba było mieć tak zwany wkład dewizowy – czyli jakiś procent płacić im w dolarach. Oczywiście nie wolno ci było tych dolarów kupić na czarnym rynku, tylko najpierw musiałeś legalnie coś sprzedać na eksport i dolary wpłacić do państwowego banku. Tu koło się zamykało. Na szczęście można było kupować tak zwane braki, więc jedyne co mogliśmy kupić, to resztki, bo nagle



Leszek Piątek i Krzysztof Smolarski, prezesi i założyciele Consultronix SA

## Consultronix o sobie:

Specjalizujemy się w dystrybucji aparatury medycznej, przydatnej w okulistyce, mikrochirurgii oka, dermatologii, flebologii, proktologii, radioterapii, onkologii, urologii, elektrofizjologii, diagnostyce obrazowej i ortopedii. Zaczynaliśmy jako firma rodzinna, a teraz w obu spółkach zatrudniamy blisko 100 osób. Od roku 2016 notujemy stały roczny wzrost sprzedaży o 25 procent. W prowadzonym przez nas Centrum Szkoleniowym szkolimy rocznie około 1200 lekarzy. Jesteśmy także producentem – nasze produkty

wysyłamy właściwie na cały świat, głównie do USA, Niemiec, Rosji i Japonii. Jako mecenas kultury utworzyliśmy wspólnie z ASP w Krakowie CX Art – Galerię Młodej Sztuki. Wspieramy także Operę Krakowską i Teatr – Scenę STU. Od dwudziestu lat wydajemy Magazyn CX News (drukowany w 19 tysiącach egzemplarzy i wysyłany do lekarzy w całej Polsce), do tej pory publikowało na jego łamach ponad 400 autorów z 16 krajów, w tym blisko 100 profesorów.

coś za wąskie do planowanej szerokości beli materiału albo było poplamione.

KS: Staliśmy grzecznie w kolejce i łykaliśmy te wszystkie ich resztki. Największym rarytasem była folia na tak zwane okna w żaglu. Wtedy robiło się żagle, w których było okno kryte przezroczystą folią, dziś dostępną wszędzie, a wówczas – będącą marzeniem o Księżycu. Ale nasz żaglomistrz skojarzył, że niedaleko jest wytwórnia musztardy. A musztarda, jak wiadomo, ma wiele wspólnego z folią, bo słoiki przyjeżdżają na paletach zapakowane w folię.

LP: Ona była prawie przezroczysta, ale tak nie do końca. I w tej fabryce musztardy mówią: – Bierzyście tę folię, my ją wyrzucamy.

Wycinaliśmy więc z niej żmudnie okna do naszych żagli. Oczywiście ich kształt i wielkość zależały od tego, jaki był kawałek folii. Bywało, że pływając i jak słońce ci świeciło akurat z drugiej strony, to nic nie było widać. Ale jak już płynąłeś ze słońcem, to miałeś szansę zobaczyć, czy w coś uderzysz czy nie. [śmiech]

KS: Ale najważniejsze, że nasz żaglomistrz miał nieprawdopodobny dar projektowania żagli. Przecież nie mieliśmy żadnych planów, licencji. A on czuł te żagle – wiedział, jak mają być skonstruowane. Zauważył też, że świat odchodzi od prostego masztu z borem i telepiącym się trójkątnym żaglem na rzecz żagla-skrzydła, który dawał większą prędkość i sprawność

manewrowania. Najpierw to były skrzydła materiałowe, czyli z dakronu, a potem już poliestrowe.

#### **Tu już nie wystarczała folia z musztardy?**

LP: Już nie. Teraz to musiał być poliester. Wtedy znaleźliśmy firmę, która była dość tajna, bo produkowała coś dla wojska. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co to było, ale ważne, że z produkcji zostawała im folia. Też chcieli wkład dewizowy, na szczęście też mieli braki. I tak powolutku budowała się technologia. Powolutku, bo połączyć to wszystko razem nie było proste.

#### **Skąd na początku wzięliście pieniądze na rozwój? Pożyczaliście od znajomych, od rodzin?**

KS: Trochę od rodziny. Jeździłem na Zachód do pracy, więc miałem trochę odłożone. I miałem samochód. Poloneza. Mogłem więc do Gorzowa pojechać polonezem i przywieźć materiał. To była poważna przewaga.

LP: To nie było tak, że masz konto i kredyt rozrachunkowy w banku. Wszystko musiałeś robić z własnych środków, z gotówki trzymanej w szafie. I trzeba było sprzedać, żeby kupić.

W każdym razie między rokiem 1985 a 1989, czyli do reformy Balcerowicza, już przeniesiliśmy się z małej firemki, która była w pokoju wielkości połowy mojego dzisiejszego gabinetu, do wyremontowanego kurnika. Albo czegoś takiego. W podkrajowskiej wsi...

#### **Dlaczego pod Krakowem?**

KS: Bo wynajem był tam tańszy. Budynek miał kilkaset metrów kwadratowych, a stoły szwalnicze – kilka poziomów z ustawionymi na nich maszynami. To był majstersztyk sztuki inżynierskiej, autorstwa naszego nieżyjącego współnika Krzysztofa Szalewskiego.

LP: To było nasze mistrzostwo świata, innowacja tysiąclecia. Rzecz w tym, że żagiel musi być sztyty na jednym poziomie, w związku z tym zabiera to mnóstwo miejsca. Wprowadziliśmy patent wielopoziomowych stołów – szwaczki siedziały w takich gniazdach, jedna nad drugą i przekazywały sobie kolejne elementy. I tak szła taśmowa produkcja...

KS: Potem się pojawił drugi problem – hiperinflacja. Gdy się coś wyprodukowało i sprzedało, to nim spłynęły pieniądze, już nie wystarczało ich na kupienie materiałów. Należało tak naprawdę zamknąć budę i nic nie robić. 1988 rok.

LP: Ale daliśmy sobie i z tym radę. Z walizką szliśmy do banku, braliśmy gotówkę, natychmiast kupowaliśmy surowce, produkowaliśmy żagle jeszcze szybciej i od razu je sprzedawaliśmy. Chodziło tylko o to, żeby działać jak najszybciej, bo każda godzina to było kilka procent inflacji.

#### **Ale wszystko diabli wzięli, gdy przysła wolna Polska.**

KS: Tak, przyszedł rok 1990 i myśmy z dnia na dzień zostali bankrutami. Balcerowicz nas załatwił – nikt już nie kupował tych żagli z folią od musztardy i z dakronu. Nagle ludzie zaczęli zarabiać więcej niż 10 dolarów miesięcznie i pojawiły się używane żagle z Zachodu.

LP: Kolorowe!

#### **Wasze nie były kolorowe?**

KS: Białe były. Kto by produkował kolorowo w PRL-u? Białe się robiło – było i na żagle, i na komunię. (śmiech)

LP: Nagle cały magazyn, to wszystko, co się nam udało zgromadzić, mogliśmy wyrzucić do śmieci.

Trzeba było zaczynać od nowa. Maszyny, które mieliśmy, jakieś stare czeskie modele też były do niczego, bo to już były inne wymagania. Zaczęliśmy właściwie od nowa.

KS: Tyle że mieliśmy już sporą wiedzę na ten temat. I jak się okazało, mamy nawet pewną przewagę. Bez tak zwanego wkładu dewizowego, dzięki Balcerowiczowi możemy normalnie w banku kupić dolary i za to nabyć materiał z Niemiec.

Zaczęliśmy więc jeździć za granicę, do Niemiec, po materiały (jeszcze nie funkcjonowały profesjonalne firmy przewozowe). Na miejscu okazało się, że mają też magazyn resztek, w którym za parę marek można kupić piękne, kolorowe materiały – oni na duże żagle do jachtów morskich potrzebowali dużo większe gabaryty.

LP: A pojechaliśmy tam wielkim blaszakiem, fordem scorpio. Więc pakujemy do tego auta, ile wlezie tych resztek. Zapakowaliśmy pod sam dach. Ja za kierownicą, Krzysiek wciśnięty obok. Na autostradzie policja i stop. Z daleka widać, że auto jest przeciążone. Nie, panie oficerze, niemożliwe. Na szczęście, nie mogli znaleźć na fakturze wagi tego materiału. Więc popatrzyli na nas z politowaniem i puścili: – Tylko jedźcie powoli...

#### **Jak wyszliście z tej „balcerowiczowskiej zapaści”?**

KS: Nie potrafię powiedzieć. Po prostu wiedzieliśmy, co i jak robić. Zresztą szybko się okazało, że nasze żagle nawet w skali kontynentu są doskonałe. Ba, na nich zdobyto później dwa tytuły mistrzów świata i jedenaście Europy. Zaczęło się od tego, że drużyna juniorów pod wodzą znakomitego Witka Nerlinga, jadąc na jedne z pierwszych dostępnych dla Polaków mistrzostw, poprosiła organizatorów o prawo używania żagli Vamp – bo tak się firma nazywała. Jest system pomiarowy, żagle sprawdzono: można. No bo to przyjechały jakieś bidoki z postkomunistycznej Europy. Ale jak w pierwszej dekadzie było sześć vampów, to się zrobiła awantura i ich zdyskwalifikowano. Tylko że tydzień później przyjechał do nas wiceszef IBSA – międzynarodowej organizacji deksarskiej, odpowiednika FIFA w piłce nożnej, wielka szucha, i dostaliśmy jako druga firma na świecie autoryzację do robienia tych żagli.

Wtedy już sprzedawaliśmy w świat na całego, a nasi pływali bez protestów.

#### **Skąd w takim razie było przejście na sprzęt medyczny, to, czym dziś się głównie zajmuje Consultronix?**

LP: Nowe wyzwania...

KS: Jeszcze przed Balcerowiczem, w Niemczech, kupując materiał na żagle, poznałem przedstawiciela firmy, która miała wyłączne prawa dystrybucji na Europę amerykańskiego koncernu produkującego lasery. Zaproponował: – Bądźcie naszym agentem w Polsce. Tak powstał Consultronix – jedno biurko, jedno krzesło.

#### **Zaczęliście się od laserów okulistycznych?**

LP: Zaczęło się w zasadzie od laserów w ogóle. Ta firma amerykańska miała lasery wszelakie: przemysłowe, naukowe, medyczne.

KS: Takiego handlu nie mogły wtedy prowadzić małe firmy, bo do tego były powołane tak zwane centrale handlu zagranicznego. Jedna jakiś Mex, druga jakiś Ex. W Mex od zamówień była „pani Wanda”, a w Ex





„pani Krysia”. Myśmy przynosili dobre pończochy i perfumy oraz przyprowadziliśmy dobrego klienta. Klient sprzedawał Mexowi dziesięć laserów, a Exowi jedenaście.

LP: A my dostawaliśmy procent. I stopniowo przechodziliśmy do medycyny. Na początku to były lasery okulistyczne, potem doszła onkologia, mikrochirurgia, diagnostyka obrazowa, urologia, dermatologia itd. W tej chwili właśnie w onkologii, w naświetlaniach onkologicznych jesteśmy dość mocno obecni.

KS: To wszystko szło centralnie. Dokładnie tak, jak w tej chwili próbuje zrobić rząd – w tak zwanym Nowym Ładzie ogłoszono, że będzie jeden podmiot, który będzie kupował dla wszystkich szpitali.

**Czy to był i jest biznes łatwy czy trudny? Służba zdrowia w Polsce potrzebuje sprzętu, ale jest przecież wciąż niedoinwestowana.**

KS: Z jednej strony – łatwy, bo masz do czynienia ze wspianymi ludźmi. Tu nie ma oszustów, tu nie ma przewalek, takich rzeczy...

LP: Lekarze to jest jednak elita.

**Jak oceniacie poziom usprzętowania polskiej służby zdrowia?**

LP: Zmienia się cały czas i to w dobrym kierunku. Chociaż w porównaniu z Zachodem nadal jest za mało tomografów czy rezonansów.

**Dlaczego? Czy to tylko kwestia zamożności. Przecież Polska jest potężnym rynkiem zbytu.**

KS: Tyle że na Zachodzie jest euro, a u nas złotówka. Cena procedury w Niemczech to, na przykład, tysiąc euro, a ta sama procedura w Polsce wyceniona jest na tysiąc złotych. Cztery razy mniej! Jeśli kupujesz

sprzęt, który kosztuje tyle samo tu i tu, to po prostu nie może być go tyle samo.

LP: Ale jeśli chodzi o jego jakość, to jesteśmy już powyżej średniej europejskiej. Dlaczego? Bo ten sprzęt jest nowym sprzętem! Idziemy na skróty, gonimy Zachód. I to już są inne czasy – jeżeli się już coś kupuje, to najnowsze i najlepsze rzeczy. Mało: ustawodawca zadbał, że jeżeli państwowa jednostka coś kupuje, to musi być przetarg i nie wolno kupić sprzętu używanego. Więc nie ma niczego ze szrotu, aktualnie mamy sprzęty absolutnie najnowocześniejsze na rynku.

**A poziom szpitali?**

KS: Jest różnie. Ale te nowe – bezdyskusyjnie świetne. Na przykład Szpital Uniwersytecki w Krakowie. To jest absolutnie poziom światowy. A w Instytucie Fizyki Jądrowej mamy też unikatowy system do terapii protonowej, czyli naświetlania nowotworów. Najczęściej naświetla się je tak zwaną metodą fotonową, czyli promieniowaniem, które przechodzi przez ciało na wylot. Upraszczaając: wpada, przechodzi przez zrakowca tkanki i wychodzi. To oczywiście jest skuteczne, tylko problem jest taki, że po drodze niszczy wszystko od miejsca wejścia w organizm po wyjście. Protony działają troszeczkę inaczej – przy odpowiednim dobraniu energii proton oddaje ją właśnie tam, gdzie chcemy – w nowotworze.

**Consultronix miał udział w tym przedsięwzięciu?**

KS: To jest olbrzymia instalacja, warta kilkaset milionów złotych, lecz w jakimś stopniu faktycznie przy niej pracowaliśmy.

LP: Zrobiliśmy ciekawą rzecz – potrzebowano tam mechanizmu do pozycjonowania nowotworu w oku



i my z dwóch rentgenów pochodzących od dwóch różnych producentów stworzyliśmy jeden sprawny system, który dokładnie to pozycjonowanie przeprowadza. Nasz serwis to spiął elektronicznie i informatycznie. I była to jedyna taka instalacja na świecie.

**Czyli nie jesteście dziś tylko dystrybutorem, ale też placówką badawczo-wynalazczą, pracującą nad technologicznymi innowacjami?**

LP: Trochę w tę stronę idziemy. Staramy się robić coś więcej poza samym handlem sprzętem. I rzeczywiście w naszym oddziale produkcyjnym pojawiają się ciekawe pomysły.

**Skąd bierzecie ludzi? W porfolio firmy widać same młode twarze...**

LP: Kraków to miasto akademickie, więc i baza fachowców.

KS: To po pierwsze. Po drugie – są dwie metody pozyskiwania pracowników. Jedna to kupowanie najlepszych profesjonalistów z rynku – tak robią wielkie, światowe koncerny. My staramy się znajdować najzdolniejszych absolwentów, dla których jest to z reguły pierwsza praca po studiach, i wychowujemy sobie ich sami. Dlatego ludzie u nas pracują po paręnaście lat. A jak odchodzą od nas, to idą do największych za największe pieniądze. Zawsze tego żałujemy, ale też cieszymy się – bo to znaczy, że nasi wychowankowie są naprawdę świetni.

Kiedyś nowa szefowa HR ustalała, jakie są zasadnicze kryteria kadrowe firmy, powiedziałem jej: Nie wolno ci przyjąć nikogo głupszego ode mnie. I wiecie co? Posłuchała. Od tego czasu zaczęło się u nas dobrze dziać. (śmieje się)

LP: To jest po prostu ciągle mała firma. No, może średnia, ale dużo lepiej nam się sprawdza system wychowywania własnych ludzi.

KS: Na początku, jak nas nie było na miejscu, to się wydawało, że wszystko stoi.

LP: A teraz jak nas nie ma, to jest lepiej. (śmiech)

**Czy po latach macie poczucie, że już się nieco znacie także na tych wszystkich strasznych chorobach, które są leczone sprowadzonym przez was sprzętem?**

LP: Nie mamy wyjścia.

KS: Diagnozy oczywiście nie zrobię. Natomiast doradzić, gdzie pójść – to już się mi zdarza. Po prostu wiem, gdzie jest jakie urządzenie i co można nim zrobić.

**Jakoś się dzielicie tą specjalizacją?**

KS: Ja to okulistyka i dermatologia.

LS: A ja – urologia, diagnostyka obrazowa, radioterapia, troszkę ortopedii. A także kardiologia – angiografy, czyli badania oparte na technice obrazowania.

**Niedawno zainwestowaliście w wielką halę produkcyjną. Co tam się dzieje?**

KS: Hala jest bazą ośrodka badawczo-rozwojowego. Sfinansowała go w osiemdziesięciu procentach Unia

Europejska. Realizujemy zresztą wiele innych programów unijnych. Na przykład dotyczących tomografii oka i sztucznej inteligencji. To ciekawy pomysł – chodzi o to, żeby pomóc lekarzowi – by urządzenie stało się przesiewowym i diagnoza była automatyczna. Bo przecież w oku możesz zdiagnozować wszystkie choroby, nie tylko tyjące samego oka, ale nadciśnieniowe, neurologiczne typu Parkinson czy stwardnienie rozsiane. A nawet psychiczne. System więc będzie wstępnie diagnozował – ten pacjent jest zdrowy, tego wyślij do okulisty, a tamtego do kardiologa.

LP: Drugi ciekawy projekt to termometr dla ratownictwa medycznego. Kilka lat temu była taka historia z dwuletnim chłopczykiem, którego znaleziono nad rzeką prawie zamrożonego. Wyciągnięto go z głębokiej hipotermii, ale okazuje się – na co zwrócili nam uwagę lekarze z Centrum Leczenia Hipotermii Głębokiej przy szpitalu dziecięcym w Prokocimiu i dr hab. Tomasz Darocha – anesteziolog, TOPR-owiec i ratownik helikopterowy – że w takich wypadkach niesłuchanie istotne jest precyzyjne określenie temperatury głębokiej pacjenta. Oczywiście, takie termometry istnieją, ale nasz przystosowany jest do używania w ekstremalnych warunkach podczas akcji ratunkowych i ewakuacyjnych, przy silnym mrozie, ulewie bądź w jaskrawym słońcu. I to właśnie udało nam się osiągnąć.

**Czy w Polsce mamy szansę na konstruowanie najnowocześniejszych urządzeń medycznych?**

LP: Jest wiele firm, które prowadzą różnego rodzaju ciekawe projekty – chociażby w Krakowie grupa młodych ludzi stworzyła egzoszkielet do rehabilitacji osób z porażeniem mózgowym. To była ich praca dyplomowa, a powstała z tego poważna firma. Ale jeżeli mówimy o wielkich instalacjach typu rezonanse, tomografy – to nie, nie ma szans. Na to potrzeba gigantycznych pieniędzy. I unikatowych technologii.

KS: Różnica jest taka, jak między zaprojektowaniem zwykłego samochodu a gigantycznego Jumbo Jeta. **Firma firmą, ale dużo robicie dla szeroko rozumianej krakowskiej kultury. Teraz ogłosiliście konkurs CX Art: wspólnie z Akademią Sztuk Pięknych będziecie kilka razy w roku kupować obrazy od najlepszych studentów – a przez to wspierać ich i lansować. To nie jest powszechne podejście ludzi mających na południu Polski mieszka wielu milionerów, ale niewielu z nich coś robi dla kultury. A wy robicie to cały czas. Dlaczego?**

KS: Bo to jest fajne?

LP: Bo jest troszeczkę inaczej? Biznes się z reguły kojarzy z tym, że ktoś trzepie kasę i zastanawia się, czy sobie kupić nowszego jaguara.

**Leszku, ale ty nie jeździsz volkswagenem, prawda?**

LP: Ale moja żona jeździ nim – bo chciała. Więc i ja czasami też z nią jeżdżę. (śmiech) Po prostu mamy w sobie muzy, które w sercu siedzą. Różne muzy. Ja jestem wrażliwy na dźwięki: gdy słyszę dobry jazz, to zapominam o bożym świecie.

KS: Jak odpowiedzieć, żeby nie wpaść w banał? Zaczęło się od Balów Krakowa, które organizowałem od początku i dzięki którym poznałem wielu wspólniaków ludzi: Krzyśka Jasińskiego, Krzycha Piasec-

kiego, Marka Pacułę, Zbyszka Wodeckiego... Przeszedłem wtedy do ówczesnego prezydenta Jerzego Lassoty. Gdy mu wyłuszczyłem, co i jak, to tylko się zaśmiał: – Ale jeśli się nie uda, to Pan weźmie odpowiedzialność! (śmiech) I udało się, a w pewnym momencie była to impreza międzynarodowa – przyjeżdżali tutaj burmistrzowie miast europejskich, Göteborga, Norymbergii, innych, i wszyscy mówili, że pierwszy raz w życiu są na takiej imprezie, gdzie jest taka atmosfera, że o szóstej rano jeszcze 120 osób tańczy na parkiecie! Bo chcą być!

Bywali razem Janina Paradowska i Janusz Korwin-Mikke, profesor Jacek Woźniakowski i ks. Józef Tischner, a Anna Dymna pomagała Andrzejowi Starmachowi prowadzić aukcję. Tak zaczęła się nasza współpraca z krakowską kulturą – a to pójdziemy całą grupą do Teatru STU, a to do opery, a to na festiwal jazzowy czy do Piwnicy pod Baranami. W Krakowie często funkcjonujemy wedle zasady: nie pójdę, bo byłem tydzień temu, więc już mi się nie chce. Tymczasem okazuje się, że dla naszych klientów, na przykład lekarzy z innych regionów Polski, bilety do Teatru STU to nieosiągalny kosmos – bo zwykle są dużo wcześniej wyprzedane!

Nagle się okazuje, że możemy być łącznikiem między elitami kulturalnymi Polski.

**Pytanie do Leszka: jakie marzenie ma Krzysiek? Czym byś mu sprawił przyjemność?**

LP: Ja bym mu chętnie dobrą chałupę postawił w Szczawie.

**Wyjaśnijmy niezorientowanym – w tej miejscowości Krzysztof ma dom, ale i jakiegoś z tym domem co rusz pecha. Rozumiem, że ktoś powinien zadbać o to, żeby ten ktoś mu zbudował dobrze. Taki żart współnika. A ty, Krzysztof, jakie marzenie Leszka chciałbyś spełnić?**

KS: Żaglowy rejs dookoła świata.

LP: Oj tak!

**Słyszeliśmy plotkę, że Leszek jest zwolennikiem słodyczy, a Krzysiek sportu. Czy to prawda? Bo po sylwetce Leszka nic takiego nie widać.**

LP: To tylko legenda. Kiedyś rzeczywiście lubiłem słodycze, przyłgnęła do mnie gęba łasucha i nawet dostałem w prezencie ksywkę ciasteczkowego potwora. Więc cóż robić, ciągnę tę legendę i jak ktoś przynosi ciacho, to biorę, dziękuję i zjadam.

KS: To nie jest żadna legenda – jemu można tylko zazdrościć: pół blachy ciasta wtrząchnie sam i nic po nim nie widać.

LP: Bo też jednak uprawiam sport. Ale jak jedziemy gdzieś razem na rowerach, to Krzysiek zawsze pierwszy. Na nartach też jeździ lepiej. Niestety.

**W przyszłym roku Consultronix będzie miał 35 lat. W roku 2037 będzie miał lat pięćdziesiąt. Pomijając to, że Krzysiek dalej będzie pedził na rowerze, a Leszek tuż za nim, ale niedaleko, to gdzie wtedy będzie firma?**

KS: Pięćdziesięciolecie? Ależ to będzie impreza.

LP: Skoro obchodziliśmy niedawno 50 lat Teatru STU, to i Consultronix dociągnie.

**Bez problemu. Ale co byście chcieli zobaczyć?**

LP: Mamy mnóstwo młodych ludzi łakomych wiedzy, chcących się rozwijać razem z nami.

**Więc?**

KS: *To be continued...*

# MARIUSZ WOLLNY

o r a z   w y d a w n i c t w o  
J A M A   p r e d s t a w i a j ą :



Nowy kryminał retro  
stworcy Kacpra Ryksa

[www.sklep.kacperryx.pl](http://www.sklep.kacperryx.pl)



## Kryminał z miastem w tle

Tekst: Paweł Stachnik Zdjęcie: Mariusz Jasnopolski/za wiedzą i zgodą Wydawnictwa Jama

**Długo czekał czekać Mariusz Wollny miłośnikom swojej twórczości na nową powieść historyczno-kryminalną. Od ostatniego tomu *Kronik dymitriad* minęło aż sześć lat. Tyle czasu potrzeba było, aby autor dojrzał do nowego pomysłu, nowych bohaterów i nowych okoliczności. I oto do rąk czytelników trafia *Biały towar*, osiemsetstronicowy kryminał z cesarsko-królewskim Krakowem w tle.**

Zaczyna się w 1884 roku, gdy trzech nastoletnich przyjaciół wybiera się na krakowski Kazimierz. Nie jest to zwykła wycieczka, lecz ekscytująca wyprawa, bo Kazimierz to dzielnica obca, dziwna i niebezpieczna, od której przeciętny krakowianin trzyma się z daleka. Na miejscu chłopcy – Tadeusz, Edward i Olgierd – wdają się w bójkę, potem spotykają tajemniczego człowieka z rewolwerem w kieszeni, a wreszcie ledwo uchodzą z życiem, odkrywając grupę porwanych i przeznaczonych na sprzedaż żydowskich dziewczyn. Kilkanaście lat później, gdy jeden z bohaterów znika, dwaj pozostali – doktor Tadeusz Żeleński (tak, ten Żeleński!) i syn powstańca styczniowego Olgierd Korsak – podejmują śledztwo, by go odnaleźć. Los styka ich wtedy z ludźmi, których poznali podczas owej młodzieńczej wyprawy na Kazimierz. Okazuje się, że handel żywym towarem kwitnie w Krakowie w najlepsze...

Tyle o fabule, a co dostajemy jeszcze? Jak zawsze u Wollnego niebanalną i nieoczywistą intrygę kryminalną, podaną nie wprost i nie od razu, a także – a może przede wszystkim – obraz Krakowa z końca XIX wieku. Bo miasto gra tu równorzędną rolę obok

kryminalnej zagadki i jej bohaterów. Autor wykonał ogromną pracę, poznając, a potem odtwarzając realia młodopolskiego Krakowa. I nie poprzestał na popularnych banałach o nudnych mieszczanach i kolorowych artystach spod znaku Przybyszewskiego. Kraków u Wollnego jest jak żywy, z jego ulicami, kamienicami, knajpami, kościołami i więzieniami. A także z jego mieszkańcami: tymi z najwyższych sfer i tymi ze społecznych nizin, o istnieniu których nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Znajdziemy też w *Białym towarze* smakowite nawiązania do powieści Aleksandra Dumasa, Eugeniusza Sue i Arthura Conan Doyle’a (autor, jak wiadomo, jest miłośnikiem literatury popularnej), przewijają się hrabia Monte Christo, Król Żebraków i Sherlock Holmes. Są zgrabnie wplecione w akcję postaci historyczne – Brat Albert, Stanisław Wyspiański, Ignacy Daszyński, Antonina Domańska, Adolf Nowaczyński... Są tajemnicze morderstwa, porwania, jest krakowski półświatek i są salony arystokracji. Lektura niegłupia, niebanalna, wciągająca. W sam raz na wakacje.

Mariusz Wollny, *Biały towar*, Jama, Kraków 2020.



**Prof. dr hab. med. Dominika Dudek** – lekarz psychiatra, absolwentka Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum UJ w Krakowie. Od 2017 roku kierownik Kliniki Psychiatrii Dorosłych Katedry Psychiatrii UJ CM, obecnie kierownik Katedry Psychiatrii UJ CM. Prezes elekt Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, członek Rady Naukowej IPiN, przewodnicząca Komisji Bioetycznej UJ, redaktor naczelna czasopisma „Psychiatria Polska”. Autorka

i współautorka kilkuset publikacji naukowych, redaktorka i współautorka książek o tematyce psychiatrycznej oraz popularyzujących psychiatrię (ostatnio nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się zapis rozmów z prof. Jerzym Aleksandrowiczem *Terapia na życie*, które prowadziła wspólnie z Małgorzatą Skowrońską). Uhonorowana wieloma prestiżowymi nagrodami, między innymi Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

# Czy wszyscy zwariujemy

Rozmawiała Ewa Lipska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Profesor Dominika Dudek: Pandemia jest ostrzeżeniem, że człowiek bardziej powinien dbać o naturę i o Ziemię. Pandemia może wzbudzić refleksję, że nie jesteśmy wszechmogący, wszechwładni, wszechmocni.**

**Ewa Lipska: Wszystkie pandemie, kataklizmy, katastrofy żywiołowe są do siebie podobne. Ale skutki tych wydarzeń zależne są już od innych uwarunkowań historycznych.**

Dominika Dudek: Często się zastanawiam, co będzie po pandemii i czy skutki są podobne. I w pewnym sensie są. Będę mówić o nich z punktu widzenia psychiatrii – że jeżeli pojawiają się tak zwane sytuacje graniczne, to one wyzwalały porównywalne skutki w psychice.

Czy tą sytuacją graniczną będzie, na przykład, przeżycie tsunami, czy obóz, czy przeżycie pandemii, to psychiatrycznym skutkiem może być schorzenie, które nazywa się PTSD, czyli zaburzenia stresowe pourazowe. Koncepcja PTSD pojawiła się w klasyfikacji dość późno, bo dopiero w latach 80. ubiegłego wieku, pod wpływem badań psychiatrów amerykańskich nad weteranami wojny w Wietnamie, chociaż objawy opisywano już w starożytności (przykładem wspomnienia wojenne nawiedzające Odysa, które można odnaleźć w dziele Homera). Istotne dla poznania zjawiska były również badania ofiar obozów koncentracyjnych prowadzone po II wojnie światowej. Zajmował się tym problemem zespół profesora Antoniego Kępińskiego i profesor Marii Orwid. Profesor Orwid poszła w trochę innym kierunku, bo się zajmowała ściśle ofiarami Holokaustu, a potem i kolejnymi pokoleniami. Fascynujący w tych badaniach jest wniosek – że stres się dziedziczy, że może on się uaktywnić w kolejnych pokoleniach.

**Rodzaj spadku po rodzicach, po bliskich?**

Dla mnie intrygujące jest to, że dziedziczenie stresu, a może nie tyle samego stresu, ile jego biologicznych skutków, jest nie tylko zjawiskiem psychologicznym, ale też biologicznym. Wpływa, na przykład, na ekspresję genów. Psychologicznie wiele rzeczy jest wytłumaczalnych w taki sposób, że jeżeli, na przykład, rodzic przeszedł piekło Holokaustu, to miał zwichrowaną psychikę i swoje trudne zachowania przenośli na dziecko.

**Nie sprzyjało to atmosferze domu.**

Pamiętam, jak profesor Jerzy Aleksandrowicz opowiadał o swoim dzieciństwie. Jego rodzice stosowali tak zwany zimny wychów. Ponieważ w czasie wojny nie było miejsca na żadną czułość i wyszli z założenia, że w każdej chwili mogą zginąć, więc lepiej, aby dziecko było przygotowane na najgorsze. Ta filozofia życia pozostała też po wojnie.

Pamiętam również pewną opowieść, niezwykle dramatyczną: człowiek z wyższym wykształceniem, profesor, nieudane małżeństwo, trudny kontakt z córką, wyjechał nagle za granicę. Potem tłumaczył, że wyjechał, bo zobaczył, że jest domowym gesta-

powcem, domowym katem. Nie w sensie fizycznym, ale psychicznym. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się dokładnie tak samo, jak wobec niego zachowywała się jego matka. Gdy wspominał swoje dzieciństwo, to mówił, że w domu miał małe Auschwitz, cokolwiek przez to rozumiał. Nigdy się o tym w domu nie rozmawiało. Matka, Żydówka, nigdy też nie wspominała wojny. Dopiero po jej śmierci syn dowiedział się, że była „pacjentką” doktora Mengele i wykonywano na niej jakieś doświadczenia.

**Mamy poczucie, że jesteśmy otoczeni śmiercią, tragediami ludzkimi w większym stopniu niż zazwyczaj. Mamy poczucie braku sprawczości, bo to, co możemy zrobić, to zaszczepić się, myć ręce, nosić maseczkę, ale nie ma to wpływu na to, że ten świat znormalnieje czy się otworzy.**

**Ale nie wszyscy ludzie, którzy przeszli przez wojny czy katastrofy zachowują się podobnie. Ich zachowania uzależnione są pewnie też od cech charakterologicznych.**

Oczywiście, mówimy o pewnym prawdopodobieństwie. U osób, które doświadczyły ciężkiej traumy, istnieje większe prawdopodobieństwo, że będą miały jakieś problemy z psychiką. Szczególnie znaczenie mają traumy społeczne (znęcanie się, nadużywanie, opuszczenie, zaniedbanie) w okresie dzieciństwa. Przeprowadzono wiele badań na temat psychopatycznej osobowości i okazało się, że, na przykład, ostro karane, bite, katowane dzieci wyrastają często na agresorów, mają tendencję do uzależnień. Agresja rodzi agresję – to wiemy nawet intuicyjnie. Ale, co ciekawe, te osoby miały w badaniach neuroobrazowych, w przedczołowych strukturach mózgu poważne deficyty. Tam właśnie mieszczą się ośrodki empatii, sumienia itd.

**W roku 1967 dwóch amerykańskich psychiatrów Thomas Holmes oraz Richard Rahe obliczyło nawet skalę stresu. Trochę mnie to rozbawiło; śmierć małżonka – 100 punktów, rozstanie – 65, ciężka choroba – ileś tam. I tak dalej.**

Na dole skali Holmesa jest nawet Boże Narodzenie. Też uważam, że to śmieszne. Czasami stosowano tę punktację w różnych badaniach psychologicznych. W codziennej praktyce psychiatrycznej takim czymś się nie posługujemy. Wszystko jest bardzo subiektywne. Dla jednego śmierć małżonka będzie stresem absolutnie nie do przeżycia i za chwilę za tym

małżonkiem się zwinie, a drugi odetchnie z ulgą i odorkuje szampana.

**Czy stres związany z pandemią pokrywa się z definicją psychologa Richarda Lazarusa, który uważał, że człowiek nie ma wpływu na to, co się wokół niego dzieje, kiedy ogarnia go lęk, niepokój?**

Taka trochę wyuczona bezradność... Tego braku wpływu i wyuczony bezradności dotyczyły też ciekawe badania Martina Seligmana, amerykańskiego psychologa, robione na zwierzętach: kiedy umieszczono zwierzątko w klatce, w której doznawało ono bolesnych impulsów elektrycznych, to początkowo buntowało się, walczyło. Jeżeli było to przewidywalne, związane z jego zachowaniem, to się uczyło, w jaki sposób uniknąć bólu. A jeżeli było to nieprzewidywalne i zupełnie poza kontrolą tego zwierzątka, to po pewnym czasie wpadało właśnie w taką wyuczoną bezradność, w apatię. Wpadają w nią również ludzie, którzy znajdują się w podobnych sytuacjach. **Obserwujesz je teraz? Kiedy dowiedzieliśmy się o pandemii, wpadliśmy w panikę. Powoli panika przemieniła się w apatię, kapitulację. Wiemy, że nic nie możemy zrobić. Zaczynamy się przyzwyczajając.** To prawda. Nie widać światła w tunelu. Mamy poczucie, że jesteśmy otoczeni śmiercią, tragediami ludzkimi w większym stopniu niż zazwyczaj. Mamy poczucie braku sprawczości, bo to, co możemy zrobić, to zaszczepić się, myć ręce, nosić maseczkę, ale nie ma to wpływu na to, że ten świat znormalnieje czy się otworzy. Po wielu osobach widzę, że tkwią w bezradności, że są zmęczeni przewlekłością tego stresu.

**Powoli się przyzwyczajamy... Pamiętasz, jak na samym początku pandemii umarło 50 osób, to się nam wszystkim wydawało, że to koniec świata. A potem ta liczba brutalnie się zwiększała i nie robiła już na nas większego wrażenia. To niedobrze świadczy o człowieku, ale z drugiej strony to przecież rodzaj samoobrony.**

Ale trochę tak jest. Liczby są mało konkretne. Śmierć jednego człowieka to tragedia, a śmierć stu tysięcy, to statystyka. Przyzwyczajamy się do ekstremalnych sytuacji. Podczas wojny jest podobnie – przytoczę tu wspomnienia Marka Edelmana, który powtarzał, że w getcie też toczyło się normalne życie, ludzie się zakochiwali, rodziły się dzieci.

**Czy w takim razie łatwiej pokoleniu starszemu przeżywać trudną rzeczywistość? Czy gorzej znoszą to młodzi?**

Takich badań nie prowadziłam. Gdy rozmawiam z pacjentami, to starsze osoby rzeczywiście mają większy dystans do tego, co się dzieje. Ale dochodzą inne problemy, których młodzież nie ma: lęk, że będą się dusić, że pozostaną w izolacji, że spotęguje się ich samotność. Niedawno policja wyważyła drzwi na Śląsku u osiemdziesięciokilkuletniej pani, chorującej na COVID, bo nie było z nią kontaktu. Okazało się, że była samotna i tak słaba, że nie była w stanie zadzwonić po pomoc.

**To się może zdarzyć też bez pandemii.**

Oczywiście. Jednak jeżeli ludzie starsi cały czas słyszeli – w tej pierwszej fazie – że właściwie tylko starsi umierają, to budziło u nich lęk. Młodzi na ogół żyją w bardziej komfortowych warunkach i nie mają wyobrażeń śmierci oraz umierania. Przeciwnie, mają

poczucie omnipotencji, nieśmiertelności, świat stoi przed nimi otworem (i dopiero z wiekiem przychodzi świadomość, jaki to „otwór”...). Chcą być tu, to są tu. Chcą wyjechać za granicę, wyjeżdżają za granicę. Właściwie ten świat nie stawia jakichś wielkich barier. A tu nagle ta bariera przyszyła.

**Poza tym ich życie toczy się w wirtualnej przestrzeni, trochę wymaginowanej, baśniowej, co nie chroni ich zresztą przed chorobą samotności.**

Ale to jest inny rodzaj samotności niż ludzi starszych. Samotność starszych jest bardziej realna i sprowadza się do kwestii, że nie ma im kto podać szklanki wody. Natomiast samotność młodych ma charakter bardziej egzystencjalny.

**Jak ma się do tego stresu, w którym żyjemy, sytuacja polityczna? Spotykam wiele osób, które mówią, że ich życie jest przegrane i że z tych dwóch pandemii gorsza jest ta polityczna.**

Tak, skłócony naród, odkopywane demony, budząca się agresja. Niestety, żyjemy teraz jak dwa wrogie sobie plemiona. Przeciwko nienawiści nie możemy się zaszczepić.

**Takie sytuacje kończyły się w historii rozpadem państwa.**

Może nie czekają nas rozbiory, bo to trochę nie te czasy, żeby ktoś nas bardzo chciał rozbierać. To jest rozpad państwa bardziej w rozumieniu pewnych struktur, zaufania społecznego. Żeby państwo się rozwijało, to ktoś musi nim rządzić. Ale musi rządzić na podłożu zaufania społecznego, którego teraz brak. **Jak będziemy wyglądać po pandemii?**

Czy wszyscy zwariujemy? Człowiek jest tak naprawdę silną bestią. Przyzwyczajamy się do trudnych sytuacji, do stresu. Po wielu kataklizmach naturalnych, pandemicznych czy wojennych ludzkość się odradzała.

Może to było tak, że po każdej ekstremalnej sytuacji następowało odbudowywanie społeczeństwa, chcieliśmy, aby było coraz piękniej, coraz sensowniej. To tak jak po latach komuny – kiedy wreszcie osiągnęliśmy upragnioną niepodległość, nadeszła rutyna, jak w tej twojej piosence: „Historia mówi, nuda...” i zaczęło się psuć... I znowu musimy zacząć od początku.

Wracając zatem do pytania, „czy wszyscy zwariujemy”: nie, na pewno tak się nie stanie.

W psychiatrii dominującym paradygmatem jest paradygmat „podatność – stres” albo „podatność – sytuacja zewnętrzna”. Aby wystąpiło zaburzenie psychiczne albo choroba psychiczna, musi być jakaś skłonność. Na przykład podatność genetyczna, niekorzystne czynniki w trakcie życia płodowego czy we wczesnym dzieciństwie lub zmiany w strukturze i funkcjonowaniu mózgu. Na to nakładają się różne stresory zewnętrzne. Osoby bardziej podatne narażone są na większe ryzyko, że zareagują jakimś zaburzeniem psychicznym. To zaburzenie, które klawisznie związane jest ze stresem, to wspomniane PTSD, ale w pandemii obserwujemy wiele innych problemów psychicznych, jak zwiększona liczba zaburzeń lękowych czy depresyjnych.

Koronawirus wpływa na stan psychiczny w wieloraki sposób. Po pierwsze – samo zjawisko pandemii, to że ludzie się izolują, dzieciaki, które nie chodzą do szkoły, starszaki, którzy siedzą sami



w DPS-ach i nie widzą rodzin przez całe miesiące. Ale też ci ludzie, którzy pracują *online* i tracą kontakty społeczne. Praca może trochę w mniejszym stopniu niż szkoła, ale ma też walor socjalizacyjny. Ludzie w swoich miejscach pracy prowadzą jakieś życie towarzyskie, które w tej chwili całkowicie zamarło. Do tego dochodzi u wielu osób lęk o byt materialny, utratę pracy, brak perspektyw. Wszystkie osoby związane z restauracjami, z branżą turystyczną, ale i artyści, którzy są w tragicznej sytuacji.

To, co dla mnie samej jest trudne, mimo że jestem lekarzem, to otaczająca nas zewsząd śmierć. Nie ma dnia, żebym się nie dowiadywała, że zmarł ktoś znajomy, bliski, znajomy znajomego albo ktoś znany... Ofiarami wirusa SARS-CoV-2 są nie tylko osoby, które chorowały i zmarły na COVID, ale pacjenci, którzy nie dostali się na czas do lekarza, mieli złą czy zbyt późno postawioną diagnozę, którzy bali się iść do szpitala i poddać jakiemuś zabiegowi. Wzrosła śmiertelność w udarach, zawałach. Nie dlatego, że nagle zawały zrobiły się cięższe, tylko dlatego, że dla rokowania decydująca jest szybka interwencja i udrożnienie naczyń.

### **Jest też izolacja w szpitalu, brak bezpośredniego kontaktu z personelem.**

Hospitalizacja w odcięciu od możliwości spotkania z rodziną, hospitalizacja, w trakcie której przychodzą jakieś postaci przebrane za kosmitów... Brakuje uśmiechu pielęgniarki, lekarza, który zawsze dodaje otuchę, nadzieję... A tu pochylają się nad nami anonimowe postacie, które jak najlepiej, ale też jak najszybciej, wykonują pewne niezbędne czynności i tyle. To jest ten aspekt psychologiczny.

Inny aspekt – wzrasta liczba osób, które przeszły infekcję COVID-19. Choroba ta bezpośrednio wpływa na stan psychiczny. Bo niewydolność oddechowa, a w rezultacie niedotlenienie, negatywnie odbija się na pracy mózgu. SARS-CoV-2 działa też na śródbłonek naczyń, powodując ryzyko zakrzepów, a co za tym idzie – udarów. Więcej, oprócz dużych udarów, wymagających intensywnego leczenia neurologicznego, w przebiegu infekcji pojawiają się różne mikroudry w mózgu, które będą wpływały na funkcje poznawcze. Do tego sam SARS-CoV-2 jest wirusem neurotropowym i atakuje komórki nerwowe oraz komórki glijowe. Wpływ na mózg, a co za tym idzie na zdrowie psychiczne ma również tak zwana burza cytokinowa, czyli patologiczna, nadmierna reakcja immunologiczna, prowadząca do uszkodzenia tkanek i narządów.

### **Co to są cytokiny?**

To markery stanu zapalnego wpływające na pobudzenie komórek biorących udział w mechanizmach odpornościowych. Co ciekawe, jedna z teorii depresji mówi, że w depresji jest aktywowany przewlekły stan zapalny organizmu, który wyraża się podwyższonym poziomem cytokin. Tych samych, które biorą udział w owej burzy cytokinowej. Oczywiście w innych proporcjach, ale też.

Jest zatem mnóstwo czynników biologicznych, które powodują, że wśród osób, które przeszły infekcję, występują zakłócenia czynności psychicznych – i to ciągnących się w długo... Obserwuje się wiele powikłań neurologicznych, w tym psychiatrycznych. Istnieją już dobrze udokumentowane ba-

dania, opublikowane w dobrych czasopismach, że około 30 proc. ozdrowieńców ma długoterminowo różne zaburzenia sfery psychicznej – lękowe, depresyjne, ale i zaburzenia funkcji poznawczych. Jest to niepokojące. Na przykład u ludzi starszych łagodne zaburzenia poznawcze związane z wiekiem (zwane MCI) mogą nasilić się do poziomu objawów otępiennych. W globalnej perspektywie o tyle to ma znaczenie, że ludzie, którzy przeszli COVID i są ozdrowieńcami, jest coraz więcej. Jeżeli jedna trzecia z nich będzie miała zaburzenia związane ze stanem psychicznym, to powstaje problem. A jeszcze jeden aspekt – wpływ pandemii na osoby, które wcześniej chorowały na różne zaburzenia psychiczne.

### **Ten stan się pogłębia?**

Bywa różnie. U niektórych osób następuje zaostrzenie objawów, a inne obserwują to, co się dzieje, niejako zza szyby i pandemia mało je obchodzi. Są i tacy, którzy błogosławią konieczność izolacji, gdyż w normalnych warunkach wychodzenie do ludzi sprawia im trudność (inna sprawa, że w wielu wypadkach nasze działania terapeutyczne opierają się na aktywizacji

**Młodzi na ogół żyją w bardziej komfortowych warunkach i mają poczucie omnipotencji, nieśmiertelności. Świat stoi przed nimi otworem i dopiero z wiekiem przychodzi świadomość, jaki to „otwór”...**

i poszerzaniu sieci społecznej). Niepokoi mnie dostęp do świadczeń psychiatrycznych – czy pacjenci dotrą do lekarza, czy nie dotrą, oraz zastępowanie kontaktu twarzą w twarz telewizytami. Jest to ogromne ułatwienie jeśli chodzi o zwykłe przedłożenie recepty, ale w sytuacji kryzysu psychicznego rozmowa telefoniczna czy na Skypie może nie wystarczyć. Poza tym zaburzenia psychiczne, zwłaszcza depresja, choć nie tylko, wiążą się z cięższym przebiegiem COVID-19, koniecznością hospitalizacji, ryzykiem zgonu czy gorszej sprawności w okresie rekonwalescencji.

### **Czy tak trudne doświadczenie, jakim jest pandemia, zmieni społeczeństwo?**

Na pewno. Dla mnie socjologicznie jest niezwykle ciekawe, jak zmienią się postawy społeczne, jak sobie poradzimy z dystansem, z noszeniem maseczek. Po pierwsze – przyzwyczajamy się do ludzi bez twarzy. Jak to wpłynie na rozwój małych dzieci, które patrzą na świat, głównie odwzorowując mimikę dorosłych? Jak to wpłynie na relacje interpersonalne, kiedy świat stracił twarz, społeczeństwo straciło twarz? Zwróć uwagę, jak dosłowność tego stwierdzenia zajął się z jego znaczeniem metaforycznym... To, że trochę już zaczynamy się przyzwyczajać do tego dystansu, że przytulenie się, zbliżenie się nie jest do końca bezpieczne. A przecież brakuje nam tego. Łączy się to często z brakiem zaufania do drugiej osoby: OK, zbliżam się do niego, ale czy mogę mieć zaufanie, że on mnie nie zakazi? Może nie wiedzieć, że jest chory. Ale może też wiedzieć i to ukrywa. To musi wpłynąć na relacje międzyludzkie. My, lekarze, przyglądamy się uważnie tym relacjom.

**Pandemia to też teorie spiskowe. One się bez przerwy powtarzają. Szczególnie w sytuacjach ekstremalnych. O hiszpance mówiono, że to broń biologiczna. O firmach farmaceutycznych, że rozpylają wirusy, że płyną nad nami toksyczne chmury, Kościół, jak zawsze, przypomina *Protokoły mędrców Syjonu*, carską antysemicką książkę propagandową. O wirusie mówi się, że pochodzi z Wuhan i jest chińskim narzędziem walki, co się zresztą odbiło na mniejszości chińskiej w Ameryce.**

Mogę podeprzeć się badaniami. Kiedy robiono obserwacje nad skutkami pandemii dla zdrowia psychicznego w jej pierwszej fazie, rok temu, i wyodrębniano grupy ryzyka, to szczególnie narażeni na zły stan psychiczny byli chińscy studenci i migranci zarobkowi. Młodzi ludzie z Chin spotykali się z hejtem jako

**Żyjemy teraz jak dwa wrogie sobie plemiona.  
Przeciwko nienawiści nie możemy się zaszczepić.**

roznościciele zarazy. Może w teoriach spiskowych szuka się prostego i łatwego wytłumaczenia zaistniałych sytuacji? Szukamy kozła ofiarnego, chcemy kogoś uczynić odpowiedzialnym za nieszczęście, jakie nas wszystkich dotknęło.

**Teorie spiskowe nabierają teraz rumieńców. Wystarczy posłuchać antyszczepionkowców.**

Zawsze zaskakuje mnie głupota ludzka, a teraz szczególnie ruchy antyszczepionkowe. Jak słyszę pseudocelebrytki nazywające płatnym statystą chorego piosenkarza w szpitalu, który chciał za pomocą przejmującego nagrania przebiegu swojej choroby przekazać ostrzeżenie i apel, by nie lekceważyć środków ostrożności, to opadają mi ręce. Albo komentarze Kościoła na temat użycia abortowanych płodów w szczepionkach. Przecież w badaniach nad wieloma lekami i szczepionkami są używane linie komórkowe hodowane w warunkach *in vitro*. To są po prostu linie komórkowe, które dawno, dawno temu wyprowadzono z płodów i były one kilkadziesiąt tysięcy razy pasażowane. Jedne są z lat siedemdziesiątych, inne z osiemdziesiątych minionego stulecia. Na tej zasadzie powstają różne leki, które od dawna są w codziennym użyciu. Bez linii komórkowych nie byłby możliwy rozwój wirusologii. Nikt nie przeprowadza aborcji, aby zrobić szczepionkę na COVID, a w szczepionkach nie ma żadnych płodów! Mimo że sam papież Franciszek się zaszczepił, nasze radiomaryjne ugrupowania głoszą swoje „mądrości”. I niby episkopat dopuszcza stosowanie szczepionek, ale wyraża „poważny sprzeciw moralny”. To jest oburzające w sytuacji, gdy codziennie w Polsce na COVID umierały setki osób.

Podczas świąt wielkanocnych widziałam parę zdjęć Grobów Pańskich. Z różnych stron Polski. Na przykład Grób Pański z hasłem „Zabijam Jezusa”. Różne rzeczy położone – alkohol, Matka Boska z tęczą, bo LGBT zabija Jezusa, tak jakby nie miało nic innego do roboty. Ale też lekarские stroje ochronne, szczepionki... Dawać pod hasłem „Zabijam Jezusa” obok narkotyków i pornografii szczepionki na COVID, to jest przerażające. Oczywiście macanie mi-

nistrantów Jezusa nie zabija, bo uczy miłości, a molestowane dzieci pójdą prosto do nieba.

**Na szczęście jest w tym Kościele garstka mądrych i odważnych.**

Kościół to nie jest tylko kościół Rydzyka, ale to jest też Kościół „Tygodnika Powszechnego”, kiedyś księdza Tischnera, a dziś Jacka Prusaka i Michała Hellera. **Dobrze, kiedy wypowiadają się takie autorytety.**

Jest wiele pozytywnych rzeczy robionych przez Kościół. Piękny przykład w pierwszej fali pandemii dawały zakonnice i zakonnicy zgłaszający się na ochotnika do opieki nad zainfekowanymi chorymi w Domach Pomocy Społecznej. To są wysepki dobra i chrześcijańskiej miłości. Niestety, większa część tej instytucji jest paskudna, przeżarta złem do cna. **Czy pandemia ma jakieś dobre strony?**

Tak.

**Chodzi o to, aby potrząsnąć człowiekiem, pogrozić mu paluszkami i powiedzieć: uważaj, nic nie jest pewne...**

Dużo się mówi – w różnych teoriach bardziej czy mniej naukowych, ale może bardziej naukowych – że jednym z powodów, że te wirusy odzwierzęce stają się groźne, jest zakłócenie równowagi ekologicznej w przyrodzie. I pandemia jest ostrzeżeniem, że człowiek bardziej o naturę, o ziemię i o równowagę, o ekologię powinien dbać. Druga sprawa – pandemia może wzbudzić refleksję, że nie jesteśmy wszechmogący, wszechwładni, wszechmocni.

**Czyli trochę pokory?**

Przewartościowanie różnych spraw, priorytetów. Krytyczne spojrzenie na zmiany polityczne, na niepokojące budzenie się różnych brunatności, uzyskiwania popularności przez różne populizmy, dochodzenia do władzy ludzi o skrajnych, faszystowskich poglądach. Ale też ważne jest zwrócenie uwagi na zdrowie i dofinansowanie służby zdrowia.

**Jako stary sceptyk nie liczę na taką pokorę, ale na pewno w popandemicznym czasie, siedząc w jakimś kawiarnianym ogródku, będziemy mogli o tych wszystkich sprawach porozmawiać, trzymając maseczki w kieszeni, na wszelki wypadek.**

Chciałabym już podróżować, wyjść do knajpy, spotykać się z ludźmi. Cieszę się, że pracuję w takim zawodzie, w jakim pracuję, i przez całą pandemię codziennie szłam do kliniki, ciesząc się na spotkanie z pacjentami, pracownikami, kolegami... Nie obrażam sobie innego zajęcia w życiu.

**Bo to piękny zawód. Pozwól, że przypomnę słowa prof. Andrzeja Szczeklika, z jego pięknej książki *Kore: „Chory przychodzi ze swym bólem, cierpieniem, wołaniem o pomoc. A lekarz, nie bacząc na lęk chorego (i swój własny), wiedząc, jak mało wie (zawsze za mało), mówi: Stanę przy tobie. Razem spojrzymy niebezpieczeństwu w twarz”.***



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

# Wakacyjne strony książki

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcia z Nagrody Literackiej Gdynia: Anna Rezulak

**Na łąkę, na spacer, na plażę, na piknik, w góry, na działkę, do ogrodowego hamaka, na wakacje – weźmy ze sobą książkę. Bo co zrobimy, gdy towarzystwo nas zirytuje? Albo będziemy chcieli prędko przenieść się do świata wyobraźni? Zawsze możemy też wybrać się na letni festiwal literacki i powieścić autorowi ulubionej książki, co o niej, a nawet o nim myślimy. Miesięcznik „Kraków” wspólnie z wydawnictwami Austeria, Marginesy i Wielka Litera promuje czytanie w wakacje.**

W wakacjach najpiękniejsze jest to, że po całym roku pracy i stresu związanego z wypełnionym po brzegi kalendarzem, można po prostu odpocząć. Odłożyć telefon, wyłączyć wiadomości, oderwać się od plotek, za to skupić na tu i teraz. Choć żyjemy w świecie pełnym absorbujących bodźców, mistrzynią przykuwania naszej uwagi nadal jest literatura. Dobra książka pozwala przenieść się w czasie i przestrzeni, poczuć emocje zupełnie obcego nam dotychczas bohatera, wcielić się w rolę obserwatora, który prowadzony narracją autora podgląda świat przedstawiony w kolejnych rozdziałach, dać upust wyobraźni i pole do popisu inwencji twórczej. Może, jeśli drzemie w nas duch artysty, jakiś fragment wyjątkowo zainspiruje do namalowania obrazu, skomponowania piosenki czy nakręcenia filmu? Może, sprowokowani jednym jedynym wersem przeczytanym u ulubionego poety, sami coś napiszemy? Wisława Szymborska powiedziała kiedyś: „Czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła”. Czyż lato nie jest właśnie czasem zabawy? Bez troski, która ma pomóc nam w regeneracji zmęczonej *deadline’ami* głowy. A co bardziej zajmie nasze myśli aniżeli inny lub fikcyjny świat? Dlatego na wakacje zabierzmy ze sobą książkę. Ba, nawet kilka książek. Czytajmy je ostentacyjnie, wnikliwie i tam, gdzie nam wygodnie. A gdy wszystko przeczytamy, wyruszmy po nowe. Na przykład na letnie festiwale literackie, których w tym roku, mimo pandemicznych obostrzeń, na szczęście nie zabraknie.

## W Gdyni o Pilchu, chłopach i pańszczyźnie

Odpoczynek nad morzem można połączyć z wizytą na najważniejszej letniej imprezie literackiej w Trójmieście. Festiwal Miasto Słowa i wręczana podczas niego Nagro-

da Literacka Gdynia, która trafi do jednego z dwudziestu nominowanych w czterech kategoriach (esej, poezja, proza, przekład na język polski), to spotkania z autorami i okazje do zakupu najnowszych książek. – Podczas tegorocznej edycji razem z Adamem Leszczyńskim, autorem *Ludowej historii Polski*, i Kacprem Pobłockim, autorem *Chamstwa*, będziemy rozmawiać o pańszczyźnie i chłopach. Z Moniką Sznajderman i Magdaleną Grzebałkowską poruszymy temat innych pamięci, Andrzeja Stasiuka zapytamy o najnowszą książkę *Przewóz*, a Witolda Beresia o jego serdecznego przyjaciela Jerzego Pilcha. Przy twórczości zmarłego przed rokiem pisarza zatrzymamy się na dłużej – nie dość, że Pilch jest laureatem Nagrody Literackiej Gdynia, to jeszcze jego pierwsze po chorobie, a zarazem ostatnie publiczne spotkanie, odbyło się właśnie w Gdyni – wspomina Szymon Kloska, kurator Festiwalu Miasto Słowa.

W ubiegłym roku festiwal gościł w wymuszonym przez pandemię nowym miejscu. Plac Grunwaldzki przed niedawno wyremontowaną muszlą koncertową okazał się strzałem w dziesiątkę. – Na jedno spotkanie możemy zaprosić teraz nawet 2 tysiące czytelników! – cieszy się kurator. Festiwal Miasto Słowa potrwa od 23 do 29 sierpnia.

## Gombrowicz po włosku

Kto będzie w Trójmieście kilka dni wcześniej, a z literatury najbardziej ceni sobie włoską, może śmiało przejrzeć program Literackiego Sopotu. Ideą festiwalu (w tym roku zaplanowano go między 19 a 22 sierpnia) jest wybór jednego z państw, którego literatura staje się bohaterką spotkań i dyskusji. Do skąpanego promieniami letniego słońca Sopotu od 2012 roku przyjeżdżają najwybitniejsi autorzy, poeci, reportażyści i ich czytelnicy, ale



i ci, którzy dopiero chcą poznać twórczość pisarzy zagranicznych. Wśród tegorocznych gości znajdują się między innymi Francesco Matteo Cataluccio – pisarz, redaktor włoskiego wydania dzieł Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego oraz włoskiej i hiszpańskiej zbiorowej edycji dzieł Brunona Schulza (czyż to nie ciekawe, jakie włoskie słowo odpowiada gombrowiczowskiemu „upupianiu”?), oraz Bernardine Evaristo – laureatka Nagrody Bookera 2019 za książkę *Dziewczyna, kobieta, inna*.

#### **Wokół Tatr, wokół książki**

Komu bliżej w góry i po wyczerpujących wędrówkach po tatrzańskich szczytach będzie miał chrapkę na relaks w towarzystwie książki, powinien przejrzeć program Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego (9–11 lip-

ca). – W połowie lipca Zakopane ponownie stanie się literacką stolicą Polski. W tym roku będzie towarzyszyć nam hasło „Wokół książki”. Podczas trzech lipcowych dni na placu Niepodległości swoją twórczość zaprezentują między innymi Joanna Bator, Witold Bereś i Józef Wilkoń. W ramach festiwalu odbędą się spotkania autorskie, promocje książek oraz koncerty – zaprasza Beata Majcher, dyrektor Zakopiańskiego Centrum Kultury w Zakopanem. Wydarzeniem wieńczącym festiwal będzie przyznanie Nagrody Literackiej Zakopanego, które uświetni koncert Renaty Przemyk.

#### **Różewicz w Stolicy Języka Polskiego**

Spływ kajakowy albo biwak na Roztoczu? Magiczna kraina geograficzna łącząca Wyżynę Lubelską i Podole też ma swój

festiwal literacki. Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie (1-7 sierpnia) nie zamyka się na żaden gatunek literacki – spotkamy tu zarówno autorów prozy czy *non fiction*, jak i poezji. – Po raz siódmy, w naszym Szczepieszynie, odległym od wielkich ośrodków punkcie na mapie, będziemy rozmawiać o kluczowych sprawach dotyczących nas wszystkich. O miłości w kontekście książki Małgorzaty Halber i Olgi Drendy, o alkoholu i alkoholizmie Polaków i o wojnie, do której pisarze ostatnio często powracają. Bohaterką naszych spotkań będzie również przyszłość Europy, o której porozmawiają Maciej Zareba Wielawski, Grażyna Plebanek i Jarosław Mikołajewski. Wśród gości również Chris Niedenthal, Anna Dziewit-Meller i Mikołaj Trzaska – wylicza Justyna Sobolewska, kuratorka Stolicy Języka Polskiego w Szczepieszynie.

Patronem festiwalu jest Tadeusz Różewicz. – Wizytę w Szczepieszynie potwierdziła wnuczka poety Julia Różewicz. Będziemy rozmawiać o nim codziennie i to w różnych kontekstach, a aktorzy będą czytać nam jego poezję – zdradza kuratorka.

#### **Pilch na Roztoczu i w Barze Studio**

Podobnie jak Trójmiasto, o Jerzym Pilchu nie zapomni Roztocze. Twórczość Pilcha będzie też obecna w stolicy na symbolicznych urodzinach pisarza. W sierpniu zorganizuje go Grzegorz Lewandowski z warszawskiego Baru Studio pod Pałacem Kultury.

Swoje pięć minut będzie miał też Kornel Filipowicz. – Opierając się na nowo wydanym zbiorze opowiadań *Formikarium*, czyli w *moim świecie mrówek* oraz biografii *Miron, Ili, Kornel*. *Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*, przypomnimy sobie twórczość tego niezwykłego autora – zapowiada Justyna Sobolewska, autorka opowieści o pisarzu. Tradycją festiwalu był przez kilka lat spływ Wieprzem, któremu patronował, ucieszony tym zapewne, Kornel Filipowicz. Niestety, w tym roku pandemia pokrzyżowała plany miłośników kajakarstwa... – Chętni muszą zorganizować spływ indywidualnie – smuci się kuratorka.

#### **W Szczepieszynie chomik brzmi w trzcinie**

Niemal każdy wakacyjny festiwal literacki może pochwalić się osobnym, jakże wyczerpującym programowo pasmem dla dzieci. I słusznie – to właśnie w dzieciństwie zaczyna się przygoda z literaturą, która, jeśli trafimy na dobrego przewodnika, prędzej czy później przerodzi się w pasję. Organizatorzy festiwali dobrze znają najmłodszych, ale i nie-

co starszych, acz jeszcze przed symboliczną osiemnastką czytelników, dlatego doskonale wiedzą, jak zachęcić ich do czytania. Kiedy do zapoznania się z przygodami wilków, psa Lolka czy ptaków z Puszczy Białowieskiej zachęca Adam Wajrak, ten sam, który proponuje dzieciom wyprawę do... chomika (kilka lat temu podczas pobytu na festiwalu literackim w Szczepieszynie przyrodnik odkrył tam dużą populację chomika europejskiego), trudno nie być ciekawym, jakie historie przydarzyły się opisanym przez niego bohaterom. O najmłodszych zadba też choćby Zakopiański Festiwal Literacki i Festiwal Miasto Słowa.

#### **Tylko Miedzianki żal...**

Gdzie jeszcze warto zajrzeć po dobrą lekturę? Najnowsze wydawnictwa znajdziemy na Plenerze Literackim w Płocku (16-18 lipca), a z poetami i poetkami z Białorusi (Julią Cimafejewą, Arturem Klinau i Ewą Wieźnawiec) spotkamy się na Festiwalu Góry Literatury (16-24 lipca) odbywającym się w trzech miejscach: we Włodowicach, na Zamku Książ w Wałbrzychu i Zamku Sarny w Ścinawce Górnej. Kto lato spędza w Krakowie, będzie mógł z bliska przyjrzeć się pracy reportażyistów, którzy przyjadą pod Wawel na festiwal reportażu „Non-fiction” (27-29 sierpnia). Opowieści podróżników i reportażyistów zakochanych w historiach ze Wschodu posłuchamy podczas Festiwalu Literackiego „Patrząc na Wschód” nad Czarną Hańczą (13-16 sierpnia). I tylko Miedzianki Fest żal, która była czymś więcej niż festiwalem poświęconym literaturze. Przygodą, rozmowami do rana przy ognisku albo wstawianiem razem z kurami, byleby wypić kawę przy wschodzie słońca. Zaledwie trzy edycje wystarczyły, by czytelnicy zauroczyli się spotkaniem ludzi słowa organizowanym przez Filipa Springera w dolnośląskiej, ocalonej przez reportera od zapomnienia malutkiej Miedziance. W 2020 roku festiwal odwołała pandemia, w tym roku jego organizacja również jest jeszcze niemożliwa. Trzymajmy za nią kciuki, bo przecież gdzie, jeśli nie w mieście, o którego magii powstanie zapewne niejedna opowieść, słuchać najpiękniejszych historii z wielkiego świata i małego podwórka?



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



**KRAKÓW**  
MIESIĘCZNIK  
[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

oraz wydawnictwa



przedstawiają

## WAKACYJNE STRONY KSIĄŻKI

**DESZCZ?** RADOŚĆ W BIOGRAFII. **UPAŁ?** OCHŁODA W KRYMINALE.  
**NUDA?** EKSCYTACJA W ROMANSIE.

W wakacje wypoczywaj, czytaj i **odwiedzaj kulturalne imprezy książkowe**



„Dobra książka  
to rodzaj alkoholu - też idzie do głowy”

Magdalena Samozwaniec

# Pięć wieków z Zygmuntem

Tekst: Anna Woźniakowska    Ilustracja: archiwum Krzysztofa Jakubowskiego

**Dzwony towarzyszą ludziom od setek, a może i tysięcy lat. Wołają na trwałość i odstraszą pioruny, głoszą chwałę boską i ludzką, wzywają do pokuty. Wpisane są w codzienność, ale mają też znaczenie magiczne. Bez nich trudno byłoby żyć.**

Od czterdziestu lat (czyli od zamążpójścia) mieszkam w miejscu niezwykłym. Na początku Basztowej, wysoko, z widokiem na Planty, często na Babią Górę i nieco rzadziej na Tatry, ale przede wszystkim na wieże Staro Miasta i katedry wawelskiej. Kwadransy i godziny odmierza mi katedralny zegar, którego dźwięk miesza się z nieco bliższym biciem czasomierza z kościoła Mariackiego i z hejnałem. Rodowita krakowianka mam jeszcze w uszach dźwięk trąbki legendarnego Adolfa Śmietany, który mawiał o sobie, że jest „trąbą mariacką”. Nikt z obecnych hejnalistów nie potrafi tak jak on wyczelować brzmienia i melodii.

Dzwony, zegary, hejnał, czasem odgłosy koncertów na Rynku czy okolicznych placach tworzą jedyną w swoim rodzaju aurę muzyczną miasta. Przyjezdnych często ona zadziwia, miejscowym daje poczucie bezpieczeństwa. Zegary odmierzające czas, hejnał, dzwony wzywające na modlitwę wskazują, że życie w mieście toczy się zwykłym, utartym trybem. Jesteśmy tak wtopieni w tę muzyczną otoczkę, że nie zawsze ją słyszymy, wzorem młynarza reagujemy dopiero wtedy, gdy coś w niej się zmienia.

Jest atoli w muzyce Krakowa dźwięk, który niezmiennie mnie porusza. Kilkanaście razy w roku szyby w jednym z pokoiw mojego mieszkania zaczynają drżeć, a gdy łączy się to z południowym wiatrem, w starych framugach po prostu podzwaniają. Wychodzę wtedy na loggię, stoję w prostej linii naprzeciw wieży Zygmuntońskiej, a jestem niemal na wysokości jej zwieńczenia – i z szacunkiem słucham, jak przemawia On, Zygmunt.

Po raz pierwszy świadomie słuchałam go 23 lipca 1951 roku. Nie w Krakowie, w dość odległej podrzywieckiej wsi. Beztroskę wakacyjnego spaceru zmaćnił daleki, posępny

dźwięk. – Bije Zygmunt, pewnie umarł kardynał Sapieha – powiedział ojciec. I tak już pozostało. Charakterystyczny, potężny, ciemny głos najsłynniejszego polskiego dzwonu

**Krakowskie dzwony i hejnał tworzą jedyną w swoim rodzaju aurę muzyczną miasta. Przyjezdnych często ona zadziwia, miejscowym daje poczucie bezpieczeństwa.**

niezmiennie kojarzy mi się z wydarzeniami i wiadomościami poważnymi, z nawoływaniem do zatrzymania się i refleksji. Choćby z ostatnim czasie Zygmunt dzwonił w czasie modlitw o ustanie pandemii czy nieco wcześniej w czasie pożaru katedry Notre-Dame, niszczącego klejnot europejskiej kultury. A przecież pięćset lat temu Zygmunt I Stary fundował go, by dzwonił „nie tylko Bogu Najwyższemu, ale także na chwałę domu Jagiellonów i Królestwa Polskiego”.

I Zygmunt przez wieki wieścił nie tylko zgony i katastrofy, odzywał się też w momentach radosnych i ważnych nie tylko dla krakowian, ale dla wszystkich Polaków, jak choćby 30 kwietnia 2004 roku, w przededniu naszego wejścia do Unii Europejskiej. Od tamtego czasu wyrosło już nowe pokolenie, dla którego obecność w europejskiej wspólnocie jest oczywista. Starsi jednak dobrze pamiętają emocje tamtej nocy. A wcześniej głosem Zygmunta rozpoczynałam w Boże Narodzenie 1980 roku pierwszą po dziesiątkach lat transmisję radiową Pasterki z katedry wawelskiej. Pracowałam wówczas w Krakowskiej Rozgłośni Polskiego Radia, pamiętam do dziś uczucia związane z tym wydarzeniem:



Dzwon wykonał w krakowskiej ludwisarni ludwisarz Hans Beham z Norymbergi w 1520 roku. Na płaszczu widoczne są postacie świętych Zygmunta i Stanisława oraz herby Polski i Litwy. Uroczyste zawieszenie i konsekracja dzwonu odbyły się 9 lipca 1521 roku (widokówka z lat 30. XX wieku, archiwum Krzysztofa Jakubowskiego – dziękujemy!)

W XIX wieku serce dzwonu trzykrotnie pękało, ale było bezzwłocznie naprawiane. W Wigilię 2000 roku stwierdzono kolejne pęknięcie. Uszkodzone serce zastąpiono nowo odlanym, a dotychczasowe oglądać można

przy wejściu na wieżę Zyguntowską. Obecne serce dzwonu waży 365 kg i jest o 42 kg cięższe od starego. Współcześnie Zygmunt bije w najważniejsze święta i uroczystości kościelne oraz narodowe. Rocznie takich okazji jest około trzydziestu, a są to między innymi Nowy Rok, Niedziela Palmowa, Wielkanoc, Dzień Konstytucji 3 maja, Boże Ciało, Wszystkich Świętych, Święto Niepodległości, Boże Narodzenie. Prócz tego dzwon bije w chwilach ważnych dla Krakowa i Polski.

Reprodukcja widokówki z 1935 roku



radość, że to właśnie mnie przypadło takie zadanie, żal, że Zygmunta nie można było „puścić na żywo”, że musiałam jego głos odtworzyć z taśmy. Niestety, dźwięk dzwonu rozchodzący się wysoko, doskonale słyszalny z odległości, na katedralnym dziedzińcu czy w samej katedrze jest żaden.

Niezapomniany był też zimny, deszczowy dzień 16 października 1978 roku, gdy Zygmunt wraz z wszystkimi krakowskimi dzwonami, a bije ich w Krakowie ponad sto trzydzieści, obwieszczał wybór krakowskiego kardynała na papieża. Chyba po raz pierwszy i chyba dotąd jedyny jego brzmienie wydawało mi się pełne blasku, niemal wesołe. Może to była tylko projekcja naszej radości, a może po prostu efekt zestrojenia się jego dźwięku z jaśniejszymi brzmieniami dużo mniejszych od niego, a więc bijących wyższym tonem dzwonów. Na myśl przyszła mi wtedy *Wielka brama w Kijowie* wieńcząca *Obrazki z wystawy Modesta Musorgskiego*. Kompozytor w swoim utworze powoli, a systematycznie ewokował na fortepianie narastające bicie rozmaitych dzwonów, od statecznych basów po jazgotliwe sygnaturki. Jeśli *Wielką bramę* gra dobry pianista, cały fortepian po prostu jest rozdzwoniony. Podobnie rozkołysana dzwonami jest sala koncertowa, gdy *Obrazki z wystawy* rozbrzmiewają w wersji orkiestrowej zinstrumentowanej przez Maurice’a Ravela. Ale i w tej ferii brzmień nie ma tak głębokiej, tak szlachetnej podstawy, jaką grze krakowskich dzwonów daje Zygmunt.

Być może właśnie *Wielka Brama w Kijowie* zainspirowała Marka Stachowskiego, zmarłego przed siedemnastu laty krakowskiego kompozytora, do stworzenia *Campanae Cracovienses*, utworu na 25 dzwonów z ośmiu krakowskich kościołów. W 2007 roku obchodziliśmy 750. rocznicę lokacji Krakowa na prawie magdeburskim i to wtedy właśnie, 10 czerwca, na Rynku Głównym zabrzmiały *Krakowskie dzwony*. Wybór instrumentów nie był przypadkowy. Stachowski sięgnął do kościołów znaczących w historii miasta. W utworze odezwały się więc trzy dzwony z kościoła Mariackiego, dzwony z kościołów: na Skałce, Karmelitów na Piasku, Bożego Ciała na Kazimierzu, podwawelskich Bernardynów, Najświętszego Salwatora na Zwierzyńcu i św. Stanisława Kostki na Dębnikach. Ale

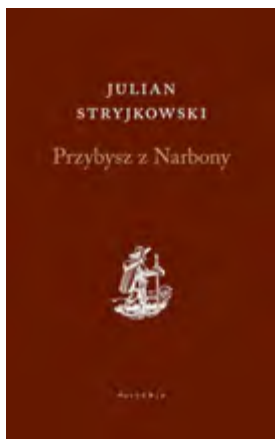
główny materiał dźwiękowy dało pięć dzwonów z katedralnej wieży Zygmuntowskiej: najmniejszy z dzwonów Waclaw zwany też Głównikiem, Kardynał, najstarszy z wawelskich dzwonów Urban, Stanisław nazywany także Półzygmuntem i najmłodszy bo zaledwie pięćsetletni, ale najdosjowniejszy z nich – Zygmunt. Niestety, z różnych względów niemożliwe okazało się zrealizowanie partytury „na żywo”, choć kompozytor stworzył ją z ta-

**Dzwony wzywające na modlitwę wskazują, że życie w mieście toczy się zwykłym, utartym trybem.**

kim właśnie zamiarem. Utwór został zbudowany z wcześniejszych nagrań w studiu krakowskiej Akademii Muzycznej, a jego prezentację na Rynku wzbogacono odpowiednio dobranymi multimediami. Wrażenie było niesamowite. Kompozycja zaskakiwała rozmachem, potęgą i barwnością, w oryginalny sposób streszczała dzieje Krakowa, a jej finałem był głos Zygmunta. Jego wybrzmienie wielokrotnie przez odbicia od okalających Rynek kamienic jeszcze długo po zakończeniu utworu otaczało tłum słuchaczy, jakby przypominając, że od wieków wielki dzwon pełni straż nad miastem. Dopóki On przemawia, możemy czuć się bezpieczni.



**Anna Woźniakowska** – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



AUSTERIA poleca **Julian Strykowski, *Przybysz z Narbony*, Austeria, Kraków 2021.**

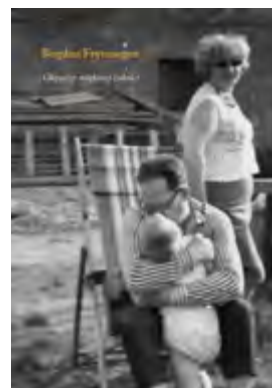
Pytania stawiane przez Strykowskiego, dziś czytane nieco inaczej, dotyczą tych samych ważnych kwestii: stosunku do innych, taktyki wobec opresyjnej władzy, odpowiedzialności za osobiste wybory, zwłaszcza te radykalne, bo choć podejmowane są w imię najszczytniejszych idei, mogą czasem mieć tragiczne skutki.

(Krzysztof Burnetko)

**Bogdan Frymorgen, *Okruchy większej całości*, Austeria, Kraków, 2021.**

Frymorgen pisze o sobie, nie jest to jednak autobiografia, lecz zapis. Album ze zdjęciami, który przeglądamy wraz z nim. Pojawiają się obrazy, które dawno powinny mu umknąć. Spisane nostalgiczne wspomnienia świata, którego już nie ma, a który autor pieczołowicie odtworza, wręcz na nowo stwarza.

(Elżbieta Wojnarowska)



MARGINESY podpowiadają **Anna Kańtoch, *Lato utraconych*, Marginesy, Warszawa 2021.**

Tu wszystko zanurzone jest w sosie kłamstwa, tajemnic sprzed lat, mroku i zbrodni. Gdy czytasz kryminały Kańtoch to niespodziewanie budzisz się w Polsce, o której może słyście, ale w której tak naprawdę nigdy, przenigdy nie chciałbyś się znaleźć.

(Witold Beres)

**Marzena Mróz-Bajon, *Domy pisarzy*, Marginesy, Warszawa 2021.**

Jak poczuć miejsce, które inspirowało największych pisarzy do stworzenia największych dzieł? Ano – pojechać tam. Ale jeśli nie możecie być tam fizycznie, to sięgnijcie po tę książkę. To znakomite połączenie tego, co nieoczywiste, z tym, czego pragniemy.

(Witold Beres)



WIELKA LITERA rekomenduje **Marzena Filipczak, *Poczuj PL. Podróże po Polsce w poszukiwaniu wrażeń*, Wielka Litera, Warszawa 2021.**

Najlepszy sposób na popandemiczną traumę? Ruszyć w Polskę! Filipczak nie tylko pokazuje nam niezwykle miejsca, nie tylko opatruje je szczegółowymi instrukcjami, ale i zachwyca swoimi emocjami, kiedy zbiera bursztyn, śpi w klasztorze, płynnie kajakiem wzdłuż granicy polsko-białoruskiej...

(Krzysztof Burnetko)

**Izabela Kuna, *Klara jedzie na pogrzeb*, Wielka Litera, Warszawa 2021.**

Autorka zauważa, że ludzie w małych miejscowościach mają wielkomiejskie szajby, a w wielkich miastach przeżywają małomiasteczkowe dramaty. Te opowieści czyta się z uśmiechem, łezką, a czasami z bólem.

(Marta Gruszecka)



... a MIESIĘCZNIK „KRAKÓW” zachęca do czytania swoich autorów: **Sebastian Brejnak do Ewy Lipskiej, Ewa Lipska do Sebastiana Brejnaka *Wirujący ogon antylopy*, Austeria, Kraków, 2021.**

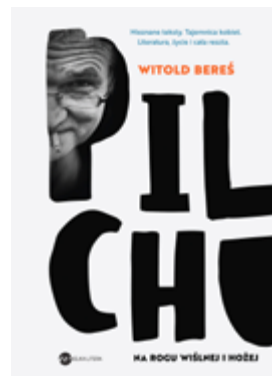
Kiedy piszą do siebie Ewa Lipska i Sebastian Brejnak, słowa wykonują prawdziwe piruety, niekiedy ucieczne podskoki, to znowu skomplikowane akrobacje, by czasem po prostu zawisnąć gdzieś w zadumie i zmienić się w liryczną randkę.

(Magda Szumiec)

**Witold Beres *Pilchu. Na rogu Wiślniej i Hożej*, Wielka Litera 2021.**

*Pilchu* Beresia czyta się – że użyję jednego z Pilchowych epitetów – brawurowo. To zasługa zarówno kapitalnego nagromadzenia celnych i błyskotliwych wypowiedzi tytułowego bohatera, jak i oryginalnej kompozycji.

(Krzysztof Zajas)





Weronika Świętek, *Po linii podobieństwa*, olej na płótnie

30 sierpnia 2021, 20.30  
**EUROPEJSKIE CENTRUM  
SOLIDARNOŚCI**

NA ŻYWO W TVN 24

Wydarzenie uświetni  
koncert polskich artystów  
z towarzyszeniem  
Tarkowski Orkiestra

**MEDAL  
WOLNOŚCI  
SŁOWA**

Fundacja Grand Press ustanawia  
**MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA**,  
by co roku honorować troje Polaków  
zasłużonych dla wolności wypowiedzi.

Wyróżnienie mogą otrzymać osoby angażujące się  
w działalność na rzecz dobra wspólnego, w tym:

- obywatelską, społeczną
- kulturalną, artystyczną, naukową
- dziennikarską i publicystyczną

Wskaż swojego kandydata na: [www.press.pl/Medal](http://www.press.pl/Medal)

ORGANIZATOR

**GRAND  
PRESS  
FOUND.**

MIASTO GOSPODARZ



PARTNERZY



GŁÓWNY PATRON  
MEDIALNY

**PRESS**

PATRONI MEDIALNI



PARTNERZY GALI





## Przewodnik po emocjach ducha

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: materiały promocyjne wydawcy

**Marzena Mróz-Bajon, dziennikarka, podróżniczka, fotografka, redaktor naczelna magazynu „Business Traveller”, która od lat dokumentuje zmieniający się świat – tu się zastanawia, jaki był widok z okna domu, w którym urodził się Miłosz, a w jaki sposób układają się po południu promienie słońca w mieszkaniu Kawafisa w Aleksandrii.**

Dreszcz niepojętego... Bo czy z faktu, że po schodach przy Sadowej 10 wdrapujesz się do mieszkania nr 50., wynika tve inne odczytanie *Mistrza i Małgorzaty*? W dodatku zwykle mieszkanie/muzeum jest suche i pozbawione duszy, a każda strażniczka drze się: „Nie dotykać!”, „Nielzja!” i „Foto verboten!”. Ale jednak czujesz mrowienie przeszłości, potykając się o kolejne wyszczerbione schody.

Bo wielcy pisarze żyją nie tylko w swoich książkach – żyją w artefaktach, które im towarzyszyły. Dotknięcie domu czy jakiegokolwiek przedmiotu zawsze budzi dreszcz wzruszenia. Ten klimat doskonale wyczuwa autorka. Wie, że choć wmawiamy sobie, iż tylko Księga się liczy – że ważne Słowo, które zapisane, że szelest kartki – to przecież doskonale czujemy, że ważne jest też to, co budzi się w naszych trzewiach i sercach, gdy połykamy te litery. I zawsze marzymy o tym, aby tę emocję, czasami dawną i młodzieńczą, w sobie znowu odnaleźć. I rozpaczliwie poszukujemy artefaktów, które mógł On dotknąć – nie po to przecież, aby zrozumieć Mistrza czy aby spłynęła na nas z kosmosu jego siła, lecz aby w sobie odnaleźć zachwyty jego dziełem. Wierzę głęboko, że każdy, kto czyta ze zrozumieniem, a już na pewno – z emocją, tego też poszukuje w swoich książkowych peregracjach.

I wiecie co? My to zwykle odnajdujemy, gdy wąłesamy się – a cóż, że w zgrai turystów? – uliczkami Lubeki, zastanawiając się, czy pod ścianą wywracał

się mały Mann. Albo spacerujemy pustawymi uliczkami Anchiano, by sprawdzić, co widział z okna mały Leonardo. Bądź biegnąc po tej „poezji ze stali” – moście nowojorskim brooklyńskim śladami Trumana Capote.

Niech nikt nie myśli, że autorka idzie tu łatwymi tropami. Jeśli Miłosz – to nie ten z mieszkania w Krakowie na Bogusławskiego, tylko ten z powietrza na Litwie. Jeśli pisarz znany, to nie Shakespeare’a Birthplace, Stratford-upon-Avon, wycieczka nawet w czasach pandemii prosta), tylko miejsce w Japonii, z którego wyruszył na swoją życiową wędrówkę Matuso Bashō, mistrz „lustra wytartego do czysta” – haiku.

No tak, ale jak dotrzeć do miejsca, gdzie przed osiemdziesięciu, powiedzmy, laty patrzył na to samo, ale jednak inne niebo Gabriel García Márquez?

Tu pojawia się kłopot prawdziwy, ale wtedy nadciąga kawaleria z odsieczą: książkowy przewodnik po emocjach ducha poprzez magię miejsc – książka Marzeny Mróz-Bajon.

To znakomite połączenie tego, co nieoczywiste, z tym, czego pragniemy. Tego, co pewne, z tym, czego ciągle jakoś nie wiemy. I wreszcie tego wymarzonego, co jednak – dzięki tej książce – nagle jest nam bliskie i osiągalne.

Dziękuję Ci, Autorko!

Marzena Mróz-Bajon, *Domy pisarzy*, Marginesy, Warszawa 2021.



# Medycyna to sztuka

Tekst i zdjęcie: Łukasz Maciejewski

**Na temat wielowiekowych relacji medycyny i sztuki powstało wiele prac, okazuje się jednak, że na ten temat wciąż można powiedzieć coś nowego i odkrywczego. *Notre Dame de Cracovie. O medycynie i sztuce* pod naukową redakcją Artura Jurczyszyna jest publikacją tego rodzaju.**

Sam profesor Jurczyszyn jest postacią fascynującą i nietuzinkową. Wybitny krakowski hematolog, doceniany na całym świecie specjalista leczenia dyskrazji plazmacytowych, autor wielu publikacji – również książkowych – na ten temat, wzorem innych wielkich postaci krakowskiej medycyny i środowiska lekarskiego, Juliana Aleksandrowicza czy Andrzeja Szczeklika, łączy aktywną działalność lekarską i naukową z propagowaniem innowacyjnych koncepcji pomocy pacjentom. Jedną z takich form jest uwrażliwienie pacjenta na sztukę, malarstwo, rzeźbę, muzykę. W pięknie zatytułowanej pracy *Notre Dame de Cracovie* relacje sztuki i medycyny są odkrywcze i wieloaspektowe.

W eseju otwierającym tom Liliana Sonik wnikliwie wpisuje twórczość artystów w temat szeroko rozumianej choroby – jako naznaczenia prywatnego, ale i stałego motywu prac malarskich czy rzeźbiarskich. Najważniejszym jednak odniesieniem artystycznym dla powstania tej publikacji stał się ołtarz Wita Stwosza w bazylice Mariackiej. Ołtarz Wita Stwosza wciąż zaskakuje nie tylko jako dzieło sztuki samo w sobie, unikatowe odtworzenie symboliki religijnej z realistycznym odtworzeniem codzienności średnio-wiecznego Krakowa, ale i przewrotny rebus dla historyków sztuki, mediewistów, a także, jak się okazuje, lekarzy. W przedrukowanej

w *Notre Dame de Cracovie*, a wydanej w 1933 roku prekursorskiej monografii profesora Franciszka Waltera, wybitnego dermatologa i wenerologa, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wit Stwosz okazuje się „rzeźbiarzem chorób skórnych”.

*Notre Dame de Cracovie* ma przejrzysty układ redakcyjny. Wychodząc od relacji sztuki i medycyny w możliwie szerokim aspekcie, przez omówienie sylwetki profesora Waltera i przypomnienie jego pracy z 1933 roku, kończąc na *stricto* medycznych wątkach opisywania w przystępnej formie, chorób i schorzeń skórnych, sztuka i medycyna tworzą w tym tomie wzajemnie przenikający się żywioł.

Do projektu udało się profesorowi Jurczyszynowi zaprosić wiele lekarskich sław, udowadniających, że nie tylko świetnie leczą, ale i w literaturze, niekoniecznie li tylko medycznej czy naukowej, radzą sobie bardzo dobrze.

Jest jeszcze wzruszający, romantyczny wątek tej historii. *Notre Dame de Cracovie* ukazuje się dokładnie w dwudziestą rocznicę ślubu Barbary i Artura Jurczyszynów. Odbył się w 2001 roku, oczywiście przed ołtarzem Wita Stwosza.

*Notre Dame de Cracovie. O medycynie i sztuce*, redakcja naukowa: Artur Jurczyszyn, Fundacja Centrum Leczenia Spiczaka, Kraków 2021.



Morświn: (od prawej) Paulina Owczarek, Małgorzata Tekla Tekiel i Marcin Świetlicki

## Muzyczna (i polityczna) siła Morświna

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Ola Kania

**To płyta rockowa, a wedle niektórych punkowa nawet. To także płyta jazzowa. To wreszcie płyta polityczna.**

Skład zespołu jest – jak pisze na okładce Marcin Świetlicki – „w zasadzie taki oto”: Paulina Owczarek („ona gra na saksofonie barytonowym” i udziela się w rozmaitych inicjatywach krakowskiej sceny muzyki improwizowanej), wspomniany Marcin Świetlicki („on jest autorem tekstów oraz wokalem męskim”) i Małgorzata Tekla Tekiel („gra na basie ta pani”). Swojej inwencji i dźwięków dodają nadto inni, nazwani Morświn Orkiestrą – wśród nich chociażby mistrz Antoni Ziut Gralak („trąba”), Filip Łobodziński (wokale) i Bunia („psia wokalistka”). Odzywa się też Robert Brylewski – wielka postać polskiej sceny niezależnej czasów PRL, a i III RP.

Rockowy charakter – bo zadziorność i siłę słysząc na *Rewolucji* cały czas. Jego przykładem niech więc stanie się rozpoczynający płytę i utrzymany w stylistyce bliskiej Lechowi Janerze *Nieuf* oraz moc basowych dźwięków Tekli. Rysu jazzowego przydają natomiast dęciaki i *free* szaleństwa improwizacyjne.

Wymiar polityczny przynoszą zaś oczywiście teksty. W pieśni *Polska 9* faktycznie – jak zauważył recenzent pisma „Teraz Rock” – „jest więcej Polski niż we wszystkich programach informacyjnych, dziennikach i kościołach”. Na tle momentami psychodelicznego, a chwilami freejazzowego podkładu Świetlicki powtarza: „Sklepy, mięso, wędliny, drób / kadzidlany dym z grilla / o takim Polsce / Koehler i Wencel, Pereira, Wildstein

/ o takim Polsce / Matka Boska z bocianami w gnieździe / o takim Polsce”.

I jak się tu dziwić, że minister Czarnek chce usunąć wiersze Świetlickiego z listy lektur szkolnych, jako że „nie reprezentują wartości, które wpisane zostały w podstawie programowej”?

*Mowa nienawiści* z kolei opisuje stan świadomości i poziom umysłów tych rodaków, o których od razu wiadomo, na kogo głosowali. Za symbol służy autentyczna zapewne scena z krakowskiej ulicy i usłyszana podczas spaceru z psem fraza: „Kto to widział, żeby człowiek ustępował drogi psu”. Jest jednak i o mentalności poprawnych pozornie elit, które pouczają, że na babę, która ją wypowiedziała, „nie wolno mówić baba” – trzeba mówić „pani”. Bo przecież nikogo nie należy szufladkować...

W innym, bo już nie politycznym, a metafizycznym wręcz wymiarze wstrząsa żałobne *RB* – poświęcone zmarłemu tragicznie Robertowi Brylewskiemu, oraz *Tyk tyk*, w którym Świetlicki śpiewa autoironicznie „o wzmóżonej aktywności tuż przed końcem wszelkiej aktywności”. I bez złudzeń imituje tyk, tyk bezlitośnego zegara.

PS Na początku lipca grupy Morświn będzie można posłuchać na żywo w krakowskim Dworcu Białostradnickim – rozpocznie cykl letnich koncertów plenerowych nazwanych Karrot Białostradnicki.

Morświn, *Rewolucjaa*, Akw Karrot Kommando.





# Pandemiczne lęki leczy natura i sztuka

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Weronika Świętek nie przedstawia estetycznej, przyjemnej wizji natury. Ale może dzięki temu choć trochę uda się jej zmienić świat.**

Kiedy w ciepłe, wiosenne przedpołudnie spotykam się z Weroniką Świętek na Plantach, podejrzliwie przyglądam się jej okrytemu letnią sukienką ciału. Ciekawa jestem, jakimi ozdobiła je tatuażami. W końcu jest autorką obrazu *Wrastanie* przedstawiającego fragmenty kobiecych piersi, pleców, ramion, w które wrosły wytatuowane z koronkową precyzją wzory. Intryguje mnie to tym bardziej, że malarka za ten obraz otrzymała niedawno nagrodę w konkursie CX ART organizowanym przez spółkę Consultronix (o czym pisaliśmy w czerwcowym miesięczniku „Kraków”).

Weronika dostrzega moje spojrzenie i zaczyna się śmiać. – Nigdy się nie wytatuuję, ponieważ jestem nadwrażliwa na ból. A *Wrastanie* jest jedną z moich opowieści o relacji ulegającego popkulturowym trendom człowieka z naturą, o jego potrzebie plemiennego zdobienia ciała. Tatuaż wrasta w tkankę skóry, zostaje na nią nałożony jak kalka, zmienia się na niej w formę organiczną albo w jej cień – tłumaczy, zaznaczając, że w swojej twórczości lubi balansować, tak jak w tym przypadku, na granicy abstrakcji i sztuki figuratywnej.

Lubi też poruszać się wśród czerni i bieli, na co bez wątpienia wpłynął nastrój, który jej towarzyszył w pandemii. Gdy o niej usłyszała, początkowo ucieszyła się, że nie będzie musiała dojeżdżać na Akademię Sztuk Pięknych, gdzie studiuje na Wydziale Malarstwa. Pomyślała, że dzięki temu będzie miała więcej czasu, by zamknąć się w swoim pokoju i malować. Ale szybko przekonała się, jak męcząca może być izolacja i nauka *online*. Tym bardziej że coś kazało jej rzucić pędzel i zacząć tworzyć obiekty z modeliny. Fotografowała je i pokazywała profesorom przez kamerkę. Ich oglądanie na ekranie komputera nie było jednak tym, o co artystce chodziło. Dopiero teraz, kiedy uczelnia została otwarta, może pokazać, jak prezentują się na żywo. To dla niej ważne, bo chce, by stały się częścią jej pracy dyplomowej.

– Inspiracją do jej powstania były spacerunki po moim osiedlu. Mieszkam na Wzgórzach Krzesławickich i od pewnego czasu obserwuję trwające tam przygotowania do budowy obwodnicy. Jest mi przykro patrzeć na wycinkę drzew, jaka się tam odbywa. Zaczęłam się zastanawiać, co w tej sytuacji rośliny mają nam do powiedzenia, co sobie o nas myślą. Słuchałam ich głosu, umieszczając w plenerze moje obiekty. Przypominają one takie narośla na formach organicznych, jakie możemy obserwować w podwodnym świecie. Tu pojawiły się wśród skazanych na zagładę roślin – opowiada Weronika, która ma nadzieję, że jej prace jeszcze mocniej wybrzmia i wstrząsną

odbiorcą, kiedy zostaną umieszczone w gablotach, w wyizolowanym laboratoryjnie środowisku.

Tak jak zdjęcia z cyklu *Czuję podskórnice* przedstawiające połączenie znalezionej na osiedlu kory i budzących erotyczne skojarzenia, choć tak naprawdę bardzo niewinnych części ciała artystki. Widzimy na nich sensualne, intymne zespolenie jej skóry z naturą. – Tematyka ekologiczna zawsze była dla mnie ważna i to nie tylko w twórczości. Nieraz wyjeżdżałam z przyjaciółmi w góry, biorąc udział w akcjach zbierania śmieci. Czego tam już nie znajdowaliśmy? Ktoś był w stanie zostawić w Tatrach nawet dywan. Obrastał on mchem, tak jak inne leżące w jednym miejscu przez długi czas śmieci. Papierosowe pety wrosły w ziemię, tworząc coś pomiędzy organiczną formą a czymś dążącym do rozkładu. Te wszystkie procesy mnie inspirują, pojawiają się na moich obrazach.

Rzeczywiście, niemal na każdym obrazie widać tęsknotę Weroniki za naturą. Tęskniła za nią szczególnie w czasie pandemii, która potęgowała jeszcze bardziej strach związany z tym, co zrobiliśmy i robimy środowisku. Przed lękami uciekała pod Kraków, gdzie jej rodzina ma działkę. Uspokajało ją grzebanie w ziemi, obserwowanie niezagrażonych jeszcze zniszczeniem roślin. Chciała się w nich skryć, zanurzyć się w ich bezpiecznym świecie, jak na obrazie przedstawiającym ludzkie włosy wyrastające z trawy. – Sztuka tak jak przyroda daje mi wytchnienie, zapomnienie. Ale nigdy nie będzie ona dla mnie jedynie estetyczną, przyjemną wizją natury. Chcę, by moje prace budziły głębszą refleksję, zmieniały świat i ludzi – deklaruje młoda malarka, której nagrodzony przez Consultronix obraz *Wrastanie* będzie można zobaczyć jesienią na wystawie prezentowanej w Urzędzie Miasta Krakowa.

\*

Weronika Świętek jest studentką malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Brała udział w kilkudziesięciu wystawach i projektach artystycznych, takich jak *Antropocen* w MOCAK-u, *To nie tak!* w Muzeum Fotografii w Krakowie (MuFo). Jest laureatką konkursu CX ART organizowanego przez spółkę Consultronix.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Odpowiada Weronika Świętek

## **O czym w tym momencie marzysz?**

O długiej podróży w gronie najbliższych, bez koronawirusa z tyłu głowy.

## **Jak określiłabyś obecny stan swojego ducha?**

Lekko i pogodnie rozkołysany z tendencją do stabilizacji, która bywa bierna.

## **Co stanowi dla ciebie pełnię szczęścia?**

Wewnętrzny spokój wywołany poczuciem przebywania we właściwym miejscu z właściwymi ludźmi. Te momenty, kiedy wszystko zdaje się mieć sens i transcendentny wymiar. Albo twórcza praca, bez presji, w samotności.

## **Co jest dla ciebie pełnią nieszczęścia?**

Bezradność wobec cierpienia bliskich i skupianie się na przeszłych niepowodzeniach.

## **Czy wierzysz w to, że rośliny czują?**

Jestem tego pewna, niektóre rośliny reagują przecież na dotyk. Zastanawia mnie tylko, w jakim stopniu jest to reakcja automatyczna, wywołana na przykład potencjalnym zagrożeniem. Intryguje mnie, czy to „czucie” może się przekładać u roślin na ich „świadomość” otoczenia, na rozpoznawanie obecności człowieka.

## **Czy zdarza ci się z nimi rozmawiać?**

Dużo bardziej wolę z nimi milczeć.

## **Co jest twoją największą ekstrawagancją?**

Nie wiem, czy to ekstrawagancja, ale nigdy nie przejmowałam się opinią innych na temat mojego wyglądu i ubioru. To chyba jednak powinna być norma.

## **Gdybyś mogła zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?**

Chciałabym być bardziej odporna na ból i stres, które czasem utrudniają mi normalne funkcjonowanie. Poza tym wolałabym znacznie mniej wszystko analizować.

## **W jakich okolicznościach kłamiesz?**

Kiedy uważam, że jest to konieczne. Staram się przy tym nikogo nie zranić. Nie chcąc skłamać, muszę

przyznać, że zdarza mi się również wyolbrzymiać pewne fakty lub powiedzieć coś, czego nie jestem pewna. Czy to już kłamstwo?

## **Jaki inny talent niż malowanie najbardziej chciałabyś mieć?**

Umiejętności informatyczne znacznie ułatwiłyby mi proces wirtualizacji tego, co robię. Nie mam niestety cierpliwości do technologii. Bardzo chciałabym też w końcu załapać ten wszechobecny język angielski, do którego z kolei nie mam intuicji.

## **Co cię pobudza?**

Zbyt duża ilość cukru, do którego przedawkowania mam skłonności.

## **Co cię przygasza, hamuje?**

Brak zrozumienia ze strony innych, zwłaszcza niezrozumienie mojego poczucia humoru. Nie czuję się swobodnie w towarzystwie ludzi bez dystansu do siebie.

## **Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem.**

Czasem coś odpukam w pobliskie drzewo.

## **Najprzyjemniejsze smaki dzieciństwa?**

Zupa pomidorowa mojej babci, andruty ze szkolnego sklepiku i danonki w formie lodów. I wiele więcej, zwłaszcza słodczy, których smaki regularnie sobie odświeżam.

## **Miejsca z dzieciństwa, o których nigdy nie zapomnisz?**

Mój pierwszy plac zabaw z ukochaną zjeżdżalnią tuż pod rozłożystą wiśnią oraz minisosnowy las pod blokiem, miejsce zabaw obecnie noszące ślady parkujących tam na betonie samochodów.

## **Gdybyś po śmierci miała odrodzić się jako zwierzę, jak sądzisz, kim ono by było?**

Być może ogromnym motylem lub ćmą, by oswoić swój irracjonalny lęk przed tymi stworzeniami, zanim znowu wcielę się w człowieka.



Weronika Świętek, *Wrastanie*, akryl na płótnie

# Radio na własnych zasadach, czyli Podcast Prowincjonalny

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie: archiwum domowe Łukasza Dziedzica

**Jako chłopak był raczej nieśmiały i nie znosił występów publicznych. Kiedy dostał do ręki mikrofon, z którym mógł wyruszyć w teren, poczuł, że radio to jego żywioł. W czasie pandemii Łukasz Dziedzic założył Podcast Prowincjonalny, by przypomnieć małomiasteczkowe historie z początku XXI wieku, które nigdy nie trafiły na antenę. Aż do dziś.**

**W** 1979 roku starsza siostra Łukasza dostała od taty magnetofon szpulowy Uwertura Stereo. Taki sprzęt nie mógł się zmarnować – zachwycone możliwościami techniki rodzeństwo zaczęło nagrywać piosenki i rejestrować „prawdziwe” wywiady. Przed większą publicznością Łukasz nie był już taki odważny – w piątej klasie podstawówki dostał do dzienniczka uwagę o treści: „Syn nie otworzył ust na muzyce od początku roku szkolnego”. Był luty. – Nie lubiłem akademii, każde wystąpienie publiczne bardzo mnie stresowało – wspomina Łukasz Dziedzic, dziennikarz i reporter radiowy, autor Podcastu Prowincjonalnego.

## Oświetlone studio

Po latach serdecznie zaprzyjaźnił się z mikrofonem. Tyle że w radiu, gdzie nikt na niego nie patrzył. Trafił tam, jak wspomina, trochę przez przypadek. – Przyjechałem do Radia Kraków na spotkanie dziennikarzy prasy lokalnej. Pierwszą osobą, którą spotkałem był Stanisław Dziedzic, zmarły niedawno dyrektor Biblioteki Kraków, wówczas wiceprezes rozgłośni. Przedstawiłem się, na co on zapytał z uśmiechem: „Ooo, też Dziedzic?”. Zarówno mnie, jak i jego pytano potem, czy jesteśmy spokrewnieni.

Pytań było sporo, bo Łukasz związał się z Radiem Kraków na dłużej. – Nie miałem doświadczenia, nie byłem pewien, czy w ogóle się nadaję. Ale kiedy wysłałem pierwszą próbną relację, już po kilku godzinach zadzwoniła do mnie szefowa newsroomu. „Masz radioowy głos” – powiedziała i wysłała do Tarnowa na praktyki u najlepszego wówczas reportera Radia Kraków Mirka Biedronia. Wsiadłem w samochód i pojechałem do Tarnowa, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem studio. Kiedy poczułem panujący tam klimat, wiedziałem, że prędzej czy później zwiążę się z anteną. Profesjonalny sprzęt, słuchacze, audycje na żywo... W dodatku nikomu nie trzeba się pokazywać! Długo byłem przekonany, że w radiu jest ciemno, dlatego oświetlone studio bardzo mnie rozczarowało – śmieje się Dziedzic.

## Reporter w terenie

Współpracę z Radiem Kraków zaczął w 2001 roku w charakterze reportera. Przemierzał Małopolskę wzdłuż i wszerz, by telefonicznie relacjonować przebieg wydarzeń. Szybko dostał do ręki mikrofon i magnetofon kasetowy. – To był słynny Marantz, sprzęt reporterski chwalony do dziś. Ruszyłem z nim w teren, zresztą niełatwy – moje początki w Radiu Kraków zbiegły się z powodzią w Małopolsce. Opowiadałem na antenie o jej skutkach, nagrywałem poszkodowanych, relacjonowałem postanowienia polityków. Musiałem błyskawicznie nauczyć się radia – opowiada.

Nie kasował nagranych materiałów, przeciwnie – każdą relację nagrywał na osobnej taśmie. – To na wypadek, gdyby któryś z polityków zapomniał, co powiedział – żartuje. Jako reporter pracował przez dwa lata. – Duże komercyjne rozgłoszenie miały już wtedy dyktafony cyfrowe. Ale gdyby nie mój klasyczny Marantz, nie byłoby podcastu.

## Historie z prowincji

Podcast Prowincjonalny, bo tak nazwał swoją audycję internetową, to powrót do historii z lat 2001–2003, których był świadkiem. Choć po zakończeniu współpracy z Radiem Kraków nie porzucił anteny, wiążąc się między innymi z Radiem Bielsko, Twoim Radiem Andrychów, które pomógł stworzyć od podstaw, oraz RMF Classic, to właśnie materiały z okresu reporterskiego wydały mu się najbardziej interesujące do wykorzystania w podcaście.

– Wiedziałem, że mam w domu pudło z taśmami. Zastanawiałem się, co z nimi zrobić: długo byłem przekonany, że to po prostu nagrania na pamiątkę, które będę odsłuchiwał na emeryturze. Ale przyszła pandemia, a wraz z nią pojawiła się tęsknota za rozmowami z ludźmi, za radiem, za słuchaczami... Postanowiłem, że wykorzystam taśmy i zrobię radio na własnych zasadach. Bez presji czasowej, wydawcy i sugerowanych tematów, za to wtedy, kiedy chcę, po swojemu i wedle własnych zainteresowań. Podcast spełniał moje wszystkie wymagania – mówi.



Zważywszy na bohaterów, okoliczności i miejsca, z których pochodzą nagrania, nazwał go Podcastem Prowincjonalnym. – Przez kilka lat z mikrofonem w terenie zdążyłem się zorientować, że prowincja jest pełna niebywałych zdarzeń, historyjek i pomysłów, a jej mieszkańcy potrafią o swoim życiu i przygodach wspinać się oraz z dumą opowiadać – wyjaśnia reporter.

#### **Pan Tadeusz z Lanckorony**

Podcast Prowincjonalny liczy na razie jedenaście odcinków. Pierwszy, *Myśliwski samochód trzecioosobowy*, Łukasz Dziedzic opublikował 5 stycznia 2021 roku. Jego bohaterem jest Tadeusz Lorenz, właściciel słynnej Willi Tadeusz w Lanckoronie. Jednak to nie historia budynku wysuwa się na pierwszy plan. Dziedzic pojechał do Lanckorony, by poznać losy... skoczni narciarskiej, której pomysłodawcą i budowniczym był właśnie pan Tadeusz. Skocznia powstała w 1948 roku i była czynna do początku lat 80. – Szkolili się tutaj głównie skoczkowie z Lanckorony, moi znajomi. Można było skoczyć około 25 metrów. Sam skakałem na tej skoczni – wybijałem się, leciałem i lądowałem telemarkiem. Bardzo mnie to cieszyło – wspomina bohater audycji. Budowniczy zbudował też specjalne sanki, na których oddał... 46-metrowy skok z zakopiańskiej Wielkiej Krokwi. I oczywiście my-

śliwski samochód trzecioosobowy TALOR 1, który, jak zapewnia w podcaście autor, nadal można zobaczyć w Lanckoronie.

#### **Nie drażnij kierowcy prezydenta**

W drugim odcinku Podcastu Prowincjonalnego reporter zabiera słuchaczy do pałacu w Osieku, po którym oprowadza jego właściciel Maciej Oskar Rudziński. Bohater opowiada o przedwojennym życiu w Osieku, o tym, jak drażnił się z kierowcą prezydenta Ignace-

**Na każdej reporterskiej taśmie można po latach odkryć coś nowego.**

go Mościckiego oraz dlaczego po wojnie nie mógł zbliżyć się do rodzinnego domu na odległość mniejszą niż 30 kilometrów. Opowieść snuje też Anielcia, niania Rudzińskiego. – Odcinek *Nie drażnij kierowcy prezydenta* jest bardzo popularny, wysłuchali go z pewnością wszyscy mieszkańcy Osieka. To dlatego, że zarówno pan Maciej, jak i pani Anielcia byli zasłużonymi i lubianymi mieszkańcami tej wsi – podkreśla Dziedzic.

#### **Słup na drodze**

Reporter wspina się też na Groń Jana Pawła II, by zdać relację z przygotowań do odsłonięcia

papieskiego pomnika, i odwiedza Zygmunta Krausa z Wadowic, który od 30 lat gromadzi pamiątki związane z lotnikami i żołnierzami pochodzącymi z papieskiego miasta oraz z lotnikami amerykańskimi, którzy walczyli w powietrzu nad Polską. We wsi Gorzeń, niedaleko Wadowic, zatrzymuje się na dłużej, by poznać historię dworku Emila Zegadłowicza – i to z ust wnuczki pisarza. Zagląda do dworu w Graboszycach, którego najsłynniejszą właścicielką była Ewa Henrietta Ankwiczówna – wielka sympatia Adama Mickiewicza. Relacjonuje wizytę premiera Jerzego Buzka w dotkniętym powodzią Zatorze, gdzie słyszy jego zapewnienia, że „wszyscy powodzianie niezwłocznie otrzymają pomoc”. Razem z wiernymi wędruje kalwaryjskimi drózkami w czasie Wielkanocy, wspomina Zagórze – miejscowość, którą zalały wody Jeziora Mucharskiego, a z mieszkańcami pewnej małopolskiej wsi zastanawia się, kto i dlaczego postawił na środku drogi słup.

### Wywiad ze skarpetką

Reporter zauważa, że Podcast Prowincjonalny to, niestety, często rozmowa z duchami. – Wielu moich rozmówców, chociażby Tadeusz Lorenz z Lanckorony oraz Maciej Rudziński

## Podcast Prowincjonalny to już, niestety, często rozmowa z duchami.

ski i jego niania Anielka z Osieka, już nie żyje. Na taśmach, których jeszcze nie wykorzystałem bądź nie odnalazłem, mam też między innymi nagranie Lecha Kaczyńskiego oraz rozmowę marszałka województwa małopolskiego Marka Nawary z dyrektorem Zarządu Dróg Wojewódzkich w Krakowie Grzegorzem Stechem i wicestarostą suskim Zbigniewem Koleckim przy okazji odbudowy Budzowa po powodzi w 2001 roku – mówi. Wspomina, że przy okazji tamtego nagrania przydarzyło mu się zabawne *faux pas*. – Do mojej granatowej kurtki z rzepami jakimś cudem przyczepiła się skarpetka. Przez cały dzień nagrywałem rozmówców z niecodziennym kotylionem... Pamiętam minę Marka Nawary – patrzył na mnie dość dziwnie, gładził wąsa i nie przestawał się uśmiechać. Ale nie skomentował tej stylizacji. Dopiero, gdy w drodze do studia zatrzymałem się na stacji benzynowej, zobaczyłem, skąd ten wyraz twarzy.

### Miło znów usłyszeć

Poza znanymi z nazwiska bohaterami Podcastu Prowincjonalnego w nagraniach słyszeć też przypadkowych ludzi. Czy ktoś z nich po latach rozpoznał się w podcaście? – Rodzina pana Lorenza po wysłuchaniu poświęconego mu odcinka napisała do mnie, że miło było znowu usłyszeć ten głos. Mieszkańcy Stronia donieśli z kolei, że poetka Maria Sta-

nowska, z którą rozmawiam w odcinku *Obrotowy święty*, już nie żyje, ale nasze nagranie, o którym nie wiedzieli, sprawiło im wielką przyjemność – opowiada Łukasz.

Co z domowego archiwum czeka na publikację? Relacja z wizyty księcia Karola w małopolskim Stryszowie – brytyjski monarcha 13 czerwca 2002 roku przyleciał tam helikopterem, by wręczyć Jadwidze Łopacie-Wietrzny, założycielce Międzynarodowej Koalicji dla Ochrony Polskiej Wsi, Nagrodę Goldmana, zwaną ekologicznym Noblem. Albo reportaż z przygotowań do pielgrzymki Jana Pawła II czy gigantycznego pożaru rafinerii w Trzebini. Łukasz Dziedzic odnalazł też nagrania, o których nawet nie pamiętał. – Zresztą na każdej taśmie można po latach odkryć coś nowego – zauważa.

### W poszukiwaniu bohaterów

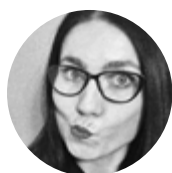
Słuchaczy Podcastu Prowincjonalnego jest coraz więcej i to nie tylko w Polsce. Historii z prowincji słuchają Polacy na dwóch kontynentach – między innymi w Holandii, Niemczech, Francji, Irlandii, Grecji, Anglii i we Włoszech oraz w USA.

Ale czy Dziedzic kiedykolwiek planuje powrót na klasyczną antenę? – Zdecydowanie nie. Nie zniósłbym presji czasu, wydawcy nad głową, tematów, które nie są moje. Podcast jest fajny, bo to radio na moich zasadach – komentuje.

Na wyjście z mikrofonem do ludzi czeka z niecierpliwością. – Niebawem nagrania z taśm się skończą. Nie zamierzam jednak kończyć przygody z podcastem, przeciwnie – znowu wyruszę w teren. Nową serię planowałem zacząć od rozmowy z Bronisławem Cieślakiem, do którego zdaniem wielu znajomych jestem podobny. Chciałem spotkać się z nim i zweryfikować, czy rzeczywiście mamy coś wspólnego. Niestety, nie zdążyłem się umówić, bo aktor zmarł – mówi ze smutkiem. Zapewnia, że ciekawych tematów na prowincji nie brakuje. – Mieszka tutaj wielu oryginalnych ludzi. Dotrę do nich i podzielę się nowymi historiami w kolejnych odcinkach Podcastu Prowincjonalnego.

\*

Podcastu Prowincjonalnego można posłuchać na Patronite, YouTube, Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts i RSS oraz od niedawna na antenie Radia Danielka. Informacje o podcaście znajdziemy na stronie podcastprowincjonalny.pl, na Facebooku oraz Instagramie.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



## Miłośnikom Pragi czeskiej

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: autor anonimowy

**„Ale teraz miał dla Pragi czas i Praga miała czas dla niego! Kroił się cudowny flirt. A może nawet romans. Platoniczny, rzecz jasna”. Jeśli jednak kochasz Czechów i Czechy – wiesz dobrze, że *laska* nawet *nebeska* jako miłość wolna od seksu i zmysłowości – to niepotrzebna strata czasu. I autor czytelnika w tym poczuciu umacnia.**

Debiutancka powieść Pomorskiego to – pozornie – sensualny przewodnik po czeskiej Pradze. Martin Pollack pisze w swojej pochwalie tej książki: „(...) olśniewająca fantasmagoria, pisana z ironią i dowcipem. Świetna lektura pachnąca wielką miłością do Pragi i jej mieszkańców. Nie wyobrażam sobie lepszego i zabawniejszego przewodnika po stolicy Czech i jej cudownych knajpach”. Wielki pisarz Europy Środkowej ma swój ton i jest bezsprzecznym autorytetem. Ja jednak zauważyłbym tu coś więcej niż tylko Pragę.

Najpierw jest więc gra z czytelnikiem.

Czyta się szybko, bo autor lekko układa literki, a trzyma wdzięk frazy i urok obrazu: „I marzyłyby o podniesieniu kufła, bo chciałby sprawdzić, przez jego słoneczny pryzmat, jak się miewa praski barok kościoła św. Mikołaja na Małej Stranie”.

Jest to jednak szybkość zwodnicza – nie jest to bowiem powieść łatwa. Ba, wymaga uwagi. Kilka razy wywaliło mnie na manowce, w ciemną głuszę. Ot, nagle się zgubiłem. Zaraz, gdzie się podział narrator? O co tu chodzi, zapyta zirytowany czytelnik, wciągnięty owym lekkim słowem – przed chwilą byłem w Warszawie z panem Kapuścińskim, a teraz jestem w czeskiej Pradze? Mieszają się czasy, porządki i obyczaje. Mozart pisze wiersz kończący *Requiem*. Hrabal z praskiego muralu ożywa niczym kamienny Komandor. Albo: autor zaczyna od pieczonych kurczaków, przechodzi w *Don Giovanniego* i Hrabala, a potem funduje popisową arię wielkiego praskiego trio, w któ-

rej Hrabal, Mozart i Kafka siadają nad piwem w Żłotym Tygrysie.

A ty, czytelniku, płyniesz, płyniesz strumieniem pilsnera dzielnicą Libeň i już nie wiesz, czy jesteś w teatrze czy też może na Pradze (tyle że warszawskiej), gdzie wszyscy się schlali.

Na koniec, choć nie najmniej ważny to wątek – tak naprawdę to opowieść o lęku przed końcem romantycznej miłości („... którą musiało zabić zatrudnienie się u kobiety na całym etacie, z towarzyszącym mu harmonogramem i regulaminem pracy”), a potem paniczna ucieczka przed nią i przed tymże lękiem. Kto wie, czy jednak nie kluczowy jest cytat – za Hrabalem i Holoubkiem – iż sala barowa nie jest salą główną, zaś sala teatralna – poboczną. „I nie tylko tego wieczoru, ale i w całym życiu”.

Upajając się pilzneńską lekką dziesiąteczką w robotniczym barze na pobrażkach Pragi czy ciężkim żywcem w centrum Pragi warszawskiej, warto o tym pamiętać

PS Autor ukrywa się pod pseudonimem – wiemy o nim, że wpisał w tekst błyskotliwe sceny teatralne, stąd podejrzenie, że coś z tą branżą ma wspólnego. I że cechuje go pęd do czeskiego piwa oraz pęd za spódniczkami. Mnie to wystarcza. Bo w sumie to książka dla wszystkich, którzy kochają Pragę czeską, Hrabala i parę innych fajnych sensualnych spraw świata tego.

Jacek Pomorski, *Praskie święta radości*, czyli zasada *Don Giovanniego*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021.



Weronika Świętek, *Czuję podskórnice*, fotografia cyfrowa na papierze fotograficznym



# Moja żydowska kamienica

Tekst: Andrzej Romanowski Zdjęcie: © Wikimedia Commons oraz Eugeniusz Ostafin, ok. 1950/domena publiczna

Rzeźbioną fasadę tej kamienicy, jej masywność i solidność, zarazem zaś – jeśli patrzyć z oddali – jej lekkość pamiętam z dzieciństwa. Klatka schodowa była wąska, schody drewniane. Gdy po tych stromych, skrzypiących stopniach szło się na trzecie piętro, widziało się przez okna smutne podwórko – studnię kamienną bez cienia zieleni...

Kamienica w Krakowie przy ul. Dietla. Sądziłem, że wiem już o niej wszystko...

Tymczasem jesienią ubiegłego roku napisał do mnie z Zurychu nieznany mi Ami Toren. Nienaganną angielszczyzną informował, że w wychodzącym w Tel Awiwie piśmie „Nowiny Krakowskie” przeczytał mój apel o przysyłanie danych o tej kamienicy i pytał, dlaczego mnie ona interesuje.

Domyśliłem się, że to Lili Haber, przewodnicząca Koła Krakowian w Izraelu, powiadomiła o moich poszukiwaniach. Odpisałem panu Torenowi: „W tym domu się urodziłem i tu spędziłem pierwszych siedem lat życia”. Odpowiedział: „Ten dom zbudował mój prapradziadek”. „Szaja Gutter!” – wykrzyknąłem. Moja wiedza musiała go zaskoczyć. Wkrótce przysłał tablicę genealogiczną swej rodziny. Nagle otwarła się między nami przestrzeń wspólnoty.

Nazwiska z tablicy genealogicznej znałem niemal wszystkie. A jednak coś się nie zgadzało. Przypomniałem sobie, że przed laty, w trakcie moich kwerend w krakowskim Archiwum Państwowym, kładziono mi na stole teczki dotyczące domów przy ul. Dietla, jednak z różną – choć zbliżoną – numeracją. Tłumaczono, że numeracja domów się zmieniała. Czy jednak na pewno? I czy zawsze? Czy teczki były opisane prawidłowo? Czy archiwista nie pomylił kamienic? A może pomyłki dokonałem ja sam? Czy mówimy więc o tym samym budynku? Napisałem Amiemu, że kamienica, która mnie interesuje, ma trzy piętra i znajduje się na lewym rogu Dietla i Wrzesińskiej. Przesłał fotografię: na tle błękitu nieba widniała ONA. Nie było już żadnych wątpliwości.

Kto mieszkał tu przed wojną? „Musisz zapytać mojej mamy – napisał Ami – ona żyje, ma 93 lata, mieszkała tam”. Zdało mi się, że śnię – czyżbym rzeczywiście nawiązał łączność z zaginionym światem? „Moja mama ma świetną pamięć – napisał Ami w kolejnym liście – Zadzwoń do niej. *She is perfectly fluent in Polish*”.

Zadzwoniłem. Bałem się, że Ewa Toren może potraktować mnie chłodno. Wszak byłem kimś, kto, chcąc nie chcąc, wtargnął w przestrzeń jej rodziny, kto – nieproszony – zamieszkał kiedyś w jej współwłasności. Ale

radosne okrzyki, które usłyszałem w słuchawce, rozproszyły wszelkie obawy. Czyż mogłem jednak się dziwić? Przecież oboje byliśmy s t a m t a d.

## Miejsce

Rzeczywiście, mówiła po polsku *perfectly* – był to jej język ojczysty. Ale – rzecz jasna – jej pamięć sięgała tylko do początku lat 30. A co było wcześniej? Prehistorię kamienicy kiedyś już przedstawiłem. Tu więc pokrótce

Kto mieszkał tu przed wojną? „Musisz zapytać mojej mamy – napisał Ami – ona żyje, ma 93 lata, mieszkała tam”. Zdało mi się, że śnię – czyżbym rzeczywiście nawiązał łączność z zaginionym światem?

ją powtórzę, opowiadając na nowo dopiero dzieje po roku 1909 i prostując popełnione kiedyś własne błędy.

A zatem: dwieście czy nawet sto pięćdziesiąt lat temu nie było oczywiście w tym miejscu żadnej kamienicy. I nie było też żadnej ulicy. To miejsce leżało poza miastem. Rozciągały się tu pola uprawne, pastwiska i ogrody. I płynęła rzeka – odnoga wiślana, Stara Wisła. Ale od roku 1856 wyglądało to już inaczej: wysokim nasypem i drewnianym mostem biegła tu „kolej żelazna galicyjska Karola Ludwika”; tory prowadziły na wschód, do Lwowa.

Siedem lat później, w roku 1863, most drewniany zastąpiono ceglanym. A u schyłku 1866 roku, na lewym brzegu Starej Wisły wytyczono ulicę. Gdy jednak w latach 1878–1880 Starą Wisłę zasypano, powstał w jej miejsce olbrzymi bulwar: miał kilometr długości, dwa pasma jezdnie i zieleniec pośrodku. Tyle że nie miał nazwy: tylko odcinek między Stradomiem a ulicą św. Sebastiana nazwano ulicą Dietlowską, natomiast miejsce, o którym mówimy, określano najczęściej mianem Tandyty (Tandety), ulicy Rzeźniczej, ewentualnie placu Dietlowskiego; jedynie z rzadka mówiono,

że to też ulica Dietla. Tak czy inaczej, miasto nadal tu się kończyło: perspektywę zamykał masywny most kolejowy, będący już teraz, po zasypaniu rzeki, wiaduktem.

Lewy, bliższy Krakowowi brzeg dawnej Starej Wisły zaczął się zabudowywać. Przećcinała go, gęściej już zabudowana, ulica Wałowa (biegnąca „do wału kolei Karola Ludwika”), która w latach 80. zyskała miano Starowiślnej. Natomiast na prawym brzegu zasypa-

... w budynku cyrkowym u zbiegu Dietla i Wielopola, otwarto w roku 1907 pierwsze w Krakowie stałe kino – Cyrk Edison. Tymczasem trwał wokoło żydowski Kraków: w roku 1905, przy ul. Jasnej 5 (obecnie Bogusławskiego), zamieszkał rabin Ozjasz Thon, od ośmiu już lat słynący z kazań wygłaszanych po polsku w synagodze postępowej Tempel.

nej rzeki nadal panowała zieleń sadów i łąk. I dopiero z czasem tu także zaczęły wyrastać podmiejskie wille, domy i domki.

Właściciel jednej z tutejszych parceli, profesor gimnazjalny Józef de Rogala Rozwadowski, zwrócił się 22 sierpnia 1882 roku do magistratu Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa z wnioskiem o zezwolenie na zbudowanie domu piętrowego „na parceli pustej, przy ulicy Dietla położonej”. 13 września 1882 roku magistrat wyraził zgodę, a Rozwadowski powierzył budowę Nachmanowi Kopaldo- wi. Był to pierwszy w Krakowie renomowany architekt żydowski. Pochodzący z Borzęcina, miał od roku 1877 koncesję na roboty murarskie, a od roku 1882 pracował jako budowniczy. Jeżeli zdamy sobie sprawę, że dopiero parę lat później zostali budowniczymi młodszy od Kopalda Zygmunt Luks (w roku 1884) i Wilhelm Apter (w roku 1887), przyjdzie uznać dom Rozwadowskiego za jedno z pierwszych dzieł grupy architektów żydowskich, działającej od tego właśnie czasu w Krakowie. Zrazem był to pierwszy dom, który Kopalda zbudował na Dietla – zamówienia otrzymywał z czasem zwłaszcza na tej ulicy.

Jesienią 1883 roku Rozwadowski wprowadził się do swego domu; był to wtedy adres Dietla 95. Ale koszty utrzymania tej nieruchomości przerosły zapewne możliwości profesora gimnazjalnego – po dziewięciu latach, 14 grudnia 1892 roku sprzedał ją małżeństwu

Józefowi i Ryfce Zweigom. Jednak oni też nie gościli tu długo: już 18 lutego 1894 roku sprzedali dom docentowi położnictwa i ginekologii Stanisławowi Braunowi. Dom miał stać się zakładem położniczym, a to oznaczało konieczność nadbudowy pierwszego piętra na całej już części parterowej. Na parterze bowiem miały się pomieścić poczekalnia pacjentek i pokój przyjęć, a na piętrze – „pokoje dla rekonwalescentek I klasy”, „pokoje separowane II klasy”, „pokój separowany I klasy” oraz sala operacyjna. Dzieła przebudowy podjął się Leopold Tlachna, kolejny architekt żydowski działający w ówczesnym Krakowie.

Dotąd znany był on głównie jako twórca (w roku 1876) żydowskiego domu modlitwy przy ul. Dietla 38. Teraz jego dziełem stał się dom z dwiema skromnymi werandami przy ulicy Dietla 95. Zakład położniczy zaczął funkcjonować pod koniec roku 1895, w domu jednak wciąż jeszcze nie było wody bieżącej – na podwórku stała studnia. Czy to właśnie z powodu nie najlepszych warunków higienicznych Braun zbankrutował? Tak czy inaczej, 19 kwietnia 1898 roku sprzedał on nieruchomości bogatej żydowskiej rodzinie Rittermannów, z sąsiedniej kamienicy przy Dietla 93.

Głową tej rodziny był Salomon, rodowity krakowianin. Jego żoną była Helena z Foersterów, rodem z Kongresówki. Dwaj synowie, Joachim i Aleksander, trudnili się kupiectwem. Jednak Rittermannowie również trzymali nieruchomości krótko: 5 lipca 1900 roku dom ponownie kupił docent Braun. Nie odważył się już teraz wznawiać swego zakładu i poprzestał na czerpaniu zysku z czynszów. Rittermannowie natomiast, handlując stale kamienicami, zabudowali w tym czasie niemal całą, wtedy właśnie wytyczoną, beziemienną uliczkę wiodącą od prawej strony naszej kamienicy do pobliskiego nasypu kolejowego, równoległe do Starowiślnej.

Dopiero w roku 1902 Braun zaprowadził w swym domu wodę bieżącą. Tymczasem otoczenie kamienicy szybko się zmieniało – sady i ogrody znikwały. Choć już od roku 1887 całość trasy aż do Wielopola określano mianem ulicy Dietlowskiej, kalendarz Czecha wielokrotnie informował, że domy w tym rejonie leżą przy „ulicy nowo otwierającej się”. Natomiast ulicze przyległej do kamienicy nadała Rada Miejska w roku 1903 miano Wrzesińskiej – ku czci „dzieci z Wrześni” sprzed dwóch lat. Naprzeciwko, w budynku cyrkowym u zbiegu Dietla i Wielopola, otwarto w roku 1907 pierwsze w Krakowie stałe kino – Cyrk Edison. Tymczasem trwał wokoło żydowski Kraków: w roku 1905, przy ul. Jasnej 5 (obecnie Bogusławskiego), zamieszkał rabin Ozjasz Thon, od ośmiu



już lat słynący z kazań wygłaszanych po polsku w synagodze postępowej Tempel. W tym właśnie czasie pojawił się na Dietla chasyd z Chrzanowa Szaja Gutter.

### **Budowano kamienicę...**

Miał on ponad pięćdziesiąt lat, mówił na co dzień w jidysz, a utrzymywał się z handlu drzewem. Żonaty był z Gitlą Rosenblum, córką właściciela ziemskiego spod Bochni. Gdy 22 października 1908 roku docent Braun sprzedał dom ponownie, nabyli go Adolf Schlesinger i Leiba (Leon) Schönfeld. Schlesinger ożenił się z młodszą córką Guttera, Dorą, a pochodzący ze Stryja Schönfeld poślubił córkę starszą, Franię. Rodziny zamieszkały po drugiej stronie Plant Dietlowskich. Zapewne już wtedy, wzorem innych krakowskich rodzin żydowskich, mówiły na co dzień po polsku.

W roku 1909 współwłaścicielem kamienicy został teść obu nabywców Szaja Gutter. 19 lipca 1909 roku przedłożył plan rozbudowy budynku na „dom trzechpiętrowy”. Tydzień później, 26 lipca, przedstawiciele magistratu odbyli wizję lokalną. W protokole zapisano: „Staje p. Leon Schönfeld (...) i oświadcza: nie sprzeciwiam się zamierzonej budowie, zastrzegam tylko nienaruszalność mej granicy – wszelkie otwory, okapy i ścieki nie mogą być w stronę mej realności zwrócone, a szkody, jakieby w mej parceli skutkiem budowy wynikły, ma mi budujący wynagrodzić albo własnym kosztem usunąć”. 15 sierpnia 1909 roku plan zatwierdzono. Autorem tej, zleconej przez Guttera kolejnej przebudowy okazał się jeden z najbardziej wziętych architektów żydowskich Krakowa, koncesjonowany budowniczy Benjamin Torbe.

Był on rodowitym krakauerem, niewiele młodszym od najsłynniejszego wówczas żydowskiego architekta Józefa Sarego, pracującym w Krakowie od roku 1889. W latach 1893–1894 przebudował wspomnianą synagogę Tempel, potem jednak poświęcił się przede wszystkim architekturze mieszkaniowej, tworząc wiele kamienic (między innymi przy ulicach Karmelickiej, Krupniczej i Dietla) o charakterze eklektycznym, zwłaszcza neobarokowym. Szczególnie dużo zamówień realizował po roku 1905, a w roku 1909 nastąpiła w jego działalności prawdziwa erupcja. Wznosił równocześnie trzy sąsiadujące ze sobą kamienice przy ul. Zielonej (obecnie Sarego), ponadto jedną przy Mogiłskiej i jedną, „naszą”, przy Dietla. Na podstawie planu dodatkowego z 8 kwietnia 1910 roku budowę tej ostatniej zakończono jeszcze chyba w tym samym roku. Powstała trzypiętrowa

kamienica w stylu zmodernizowanego historyzmu, złączonego z elementami secesji. Dwoma pismami, z 25 czerwca i 2 lipca 1910 roku, zatwierdzono ostatecznie budowę domowej kanalizacji. Prawdopodobnie dopiero wtedy zniknął na tyłach budynku ogród. Kamienica była gotowa – jej kształt przetrwał do naszych dni. I wtedy Gutter sprowadził się tu wraz z rodziną.

Według kalendarza Czecha na rok 1911 Szaja Gutter figurował tu jako główny najemca. Ale mieszkań był już wtedy dostatek, a co za tym idzie, namnożyło się lokatorów. Spis mieszkańców z roku 1910 informuje, że przeważali wśród nich Żydzi, między innymi lekarz Samuel Lustig z żoną Franciszką oraz dziećmi Juliuszem i Stefą (Stefanią) Gizelą. Leon Stechler i jego żona Klara deklarowali się jako Polacy wyznania mojżeszowego. Natomiast syn Szai, Leon Gutter, tak jak on handlujący drzewem, uznawał się za Żyda, ale używał stale języka polskiego. Oprócz służących i dozorców jedynymi katolikami w kamienicy byli Kazimierz Krzysztoń i jego żona, lwowianka Stanisława. Pochodzący z Nawojowej koło Nowego Sącza, a wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim, był Krzysztoń lekarzem pracującym w Kasie Chorych i Szkole Położnych. Działacz Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska, pełnił w niej funkcję sekretarza Komitetu Wykonawczego.

W roku 1912 zmieniła się na Dietla numeracja domów: nasza kamienica otrzymała numer 101. Akurat w tym czasie Aleksander Rittermann znajdował się u szczytu znaczenia. Zakupiwszy w roku 1910 kamienicę przy ul. św. Jana 32, zamówił u wziętego architekta Zbigniewa Odrzywolskiego budowę w tym miejscu hotelu. Dom wyburzono i po dwóch latach, 1 czerwca 1912 roku, otwarto Hotel Francuski – najnowocześniejszy w Krakowie, mający między innymi centralne ogrzewanie i ciepłą wodę, oferujący też automatyczne budzenie. Jednak Rittermann niemal natychmiast hotel sprzedał, by pięć lat później kupić koło dworca kolejowego hotel Belvedere, zmieniając mu nazwę na hotel Polonia. W Polsce międzywojennej zostanie Rittermann członkiem zarządu Naczelnej Organizacji Polskiego Przemysłu Hotelowego (mieszczącej się w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 42) oraz prezesem elitarnego Gremium Właścicieli Hoteli i Pensjonatów; w latach 1931–1933 będzie w Krakowie radnym miejskim. A jego bratanek, syn Joachima, Izidor Rittermann będzie w latach 30. dyrektorem kawiarni Feniks na krakowskim Rynku. Ale rodziny tej nic już wtedy nie będzie łączyć z naszą kamienicą.

W tym samym też czasie Chaja, córka Hercela Naftalego Rubinsteina i Augusty Gitel Silberfeld z Kazimierza, która zbuntowała się przeciw rodzicom i wyjechała do Wiednia, rozpoczynała już produkcję kosmetyków w Stanach Zjednoczonych. Po jakimś czasie stanie się jedną z najbogatszych kobiet świata. Jej nazwisko będzie brzmiało: Helena Rubinstein. I mało kto będzie ją kojarzył z Krakowem.

W obliczu nadciągającej w roku 1914 pod Kraków armii rosyjskiej Szaja Gutter schronił się z rodziną w Wiedniu. Wrócił niebawem, po przełamaniu w maju 1915 frontu pod Gorlicami. W roku 1916 jego kamienica ponownie zmieniła numerację: po raz pierwszy otrzymała liczbę 99. Zakończenie wojny i powstanie państwa polskiego niczego na tym terenie nie zmieniło. W roku 1921 w domu oznaczonym czasem jako „róg Dietla 99 i Wrześnińskiej 2” mieszkali nadal głównie Żydzi.

### **Żydowski Kraków**

Właściciel, Szaja Gutter – wtedy już wdowiec – zajmował pierwsze piętro. Mieszkająca z nim wnuczka Irena (Renia) Schönfeld wyszła za mąż za lekarza ginekologa Tadeusza Hellera i w roku 1928 urodziła córkę Ewę. Odtąd na pierwszym piętrze mieszkały trzy pokolenia, bo też każde z pięter stanowiło jeden lokal. Z czasem jednak Frania i Leon Schönfeldowie wynajęli osobne mieszkanie, w pobliżu, również przy ulicy Dietla. Babcia Schönfeldowa nieustannie zwracała uwagę wnukom, by mówiły poprawnie po polsku.

Leon Gutter z żoną Rozią (Rachelą) z domu Storch oraz dziećmi Ireną (Renią) i Henrykiem zajmował drugie piętro. W roku 1924 rodzina powiększyła się o córkę Lusię. Z czasem Henryk Gutter wykształcił się na inżyniera, lecz w Wolnym Mieście Gdańsku. Ale i po powrocie do Krakowa nie mógł znaleźć pracy, toteż u schyłku lat 30. wyemigrował do Palestyny.

Na trzecim piętrze mieszkała trzecia córka Szai, Tonka (Tauba, Teofila), która wyszła za mąż za Abę Pinelesa. Był to zamożny bankier z Horodenki; w Krakowie, oprócz działalności bankowej, angażował się w ruch syjonistyczny, był tak zwanym szeklowcem. Pinelesowie mieli dzieci – syna Munia i córkę Lubę. W latach 30. oboje studiowali, jednak Muniu – ku zgryzocie ojca – zmienił nazwisko na Pilicz. W roku 1932 ożenił się z Welą Falter i wyprowadził się z mieszkania rodziców. Luba została, a trzecie piętro rozbrzmiewało huraganem dźwięków – Luba mistrzowsko grała na fortepianie. Wszystkie piętra utrzymywały ze sobą rodzinne kontakty – ciotki, wujkowie i kuzyni często się odwiedzali.

Pozostałe cztery młodsze córki Szai nie mieszkały już w rodzinnej kamienicy. Rozia (Rachela) i Luba (Lieba) wyszły za braci Siegfrieda Seliga i Bernarda Deligdischów, przedsiębiorców w Czerniowcach. Jednak spisy lokatorów z lat 20. notują jeszcze – może przejściową – obecność w kamienicy Bernarda i Luby Deligdischów. Z kolei Dora po ślubie z Adolfem Schlesingerem zamieszkała w Budapeszcie, a najstarsza, Mania, wyszła za

**W istocie planty Dietlowskie były najszacowniejszą ulicą dzielnicy żydowskiej.**

mąż po raz trzeci – za brata Adolfa, Brunona Schlesingera – i osiadła w Wiedniu.

Tymczasem spisy lokatorów z lat 20. wykazywały obecność w kamienicy także innych osób. Mieszkał tu nadal Leon Stechler, mieszkały wdowy: Maria Celnik z córką Karoliną oraz Regina Weindling, agentka handlowa – wyznania mojżeszowego, uważająca się jednak za Polkę – mieszkała też pielęgniarka Róża Schächter. Pośrednik handlowy Ignacy Bross uważał się – podobnie jak wdowa Weindling – za Polaka; miał żonę Reginę oraz dzieci Alfreda i Stefana, mieszkał zaś także ze szwagierką, krawcową Eleonorą. Polską tożsamość wykazywał również urzędnik Juliusz Luft. Z kolei handlarz Herman Schmerle uznawał się za obywatela polskiego narodości żydowskiej i mówił w jidysz. Jeśli nie liczyć służących, jedynymi katolikami byli wtedy w kamienicy: dysponent handlowy Ferdynand Schnapka z żoną Anną i dziećmi Fryderykiem (późniejszym dziennikarzem „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”) i Ottonem, a także dozorca Franciszek Kowalczyk, który z żoną Anną mieszkał w suterynie. Bez względu jednak na pochodzenie czy wyznanie niemal wszyscy w kamienicy (łącznie z Deligdischami z Czerniowiec, choć z wyjątkiem Schmerlego) mówili na co dzień po polsku.

Szaja Gutter, od niedawna powtórnie żonaty, urządził u siebie w wieczorne piątki przyjęcia szabasowe dla całej rodziny – zarówno najbliższej, mieszkającej w kamienicy, jak i dalszej, osiadłej w różnych miejscach Krakowa. Zmarł w swym mieszkaniu w roku 1932. Jakiś czas po jego śmierci młodzietka Ewa Hellerówna rozpoczęła na pierwszym piętrze naukę gry na fortepianie. Tymczasem w roku 1933 ulica przybrała oficjalnie już miano: nie „Dietlowska”, lecz „Dietla”. Rafał („Felek”) Scharf (pamiętny dla mnie z rozmów, które z nim toczyłem w latach 90.), urodzony tu w roku 1914 pod nume-

rem 95, wspominał: „Ulica Dietla, po obu stronach tych »gorszych« Plant, miała ponad sto kamienic – od Wisły aż po wiadukt kolejowy. Tutaj gnieździło się parę tysięcy żydowskich rodzin (w pewnym okresie i moja). Kiedy przechodzę tą ulicą, wydaje mi się, że pamiętam tych wszystkich ludzi z twarzy i imienia – Einhornów, Johanesów, Luftglasów, Lipschützów, Bloederów, Sonntagów, Fallmannów, Ohrensteinów, Rakowerów, Weisbrodów, Holzerów – aż po Schneidrów, tych od »Makkabi« i wody sodowej”. W istocie – komentował Jan Błóński – „planty Dietlowskie były najszacowniejszą ulicą dzielnicy żydowskiej”. Jakie miejsce zajmowała w tym świecie narożna kamienica przy Dietla 99 i Wrzesińskiej 2? I co się stało z ludźmi zamieszkującymi ją w roku 1939? Takie pytania zadawałem sobie do ubiegłorocznej jesieni.

Dwudziestowieczne totalitaryzmy przejechały się jak czołg także przez dietlowską kamienicę. Jej społeczność została przez nazizm i komunizm unicestwiona. Wszak nawet ci, co ocaleli, osiedli tysiące kilometrów od Krakowa. Doświadczyli zatem wciąż tego samego, polskiego losu. Gdy jednak ci, co wrócili, napotykali ze strony nowych lokatorów zatrzaśnięte drzwi, musieli uznać, że Polacy raz jeszcze (choćby mimowolnie) stali się sojusznikami komunistów i nazistów. Los wracających nie był już więc polski. Był to los żydowski.

### Migracje

Schönfeldowie uciekli pierwsi. Schronili się na wsi, na wschód od Stryja, rodzinnego miasta Leona. Tam zastała ich okupacja sowiecka. Deportowani na Syberię, zostali, ze względu na wiek i chorobę, uznani za niezdolnych do pracy i porzuceni na stacji Asino, 100 kilometrów na północny wschód od Tomsku. Byli bez środków do życia i w roku 1942, wyniszczeni przez głód, zmarli tam na tyfus.

W ślad za nimi uciekli na wschód Pinelesowie. Ich córka Luba obrała zrazu kierunek na Warszawę, potem jednak przedostała się przez Lublin, Lwów i rumuńskie Czerniowce do Palestyny. Tutaj, obarczona wojennymi przeżyciami, nabawiła się choroby nerwowej i popeł-

niła samobójstwo. Przez Lwów i Czerniowce udało się przedostać do Palestyny również Muniowi, natomiast jego żona Wela utknęła w Polsce; ze swą matką i z córeczką Wandą schroniła się we Lwowie, gdzie wycieńczona matka niebawem zmarła. Weli uda się pod koniec wojny dotrzeć do Palestyny. Natomiast jej teściowie, małżeństwo Pinelesów, wpadło w ręce NKWD. I także oni zostali deportowani na Syberię. Zwolnieni, znaleźli się u kresu wytrzymałości. Aba Pineles po drodze zmarł.

Również Leon i Rozia Gutterowie wraz z 15-letnią córką Lusią uciekli do Lwowa. W czasie okupacji niemieckiej mieszkali, ze względu na bezpieczeństwo, oddzielnie. Po nadejściu Niemców w roku 1941 Rozia udała się na cmentarz żydowski, aby zakopać tam swoje kosztowności. Została zatrzymana, wywieziona ciężarówką z gromadą innych Żydów i razem z nimi rozstrzelana. Leona ukryto w piwnicy, w stojącym tam starym kredensie, a córka Lusia przynosiła mu codziennie coś do jedzenia. Gdy jednak w roku 1942 przyszła pewnego dnia, kredens był już pusty. Starsza córka Gutterów, Renia, wraz z mężem Ryszardem Augenblickiem przedostała się natomiast na Litwę; oboje wyjadą potem do Hiszpanii i Brazylii, a ostatecznie osiedlą się w Nowym Jorku. Lusia przeżyje we Lwowie sama: na aryjskich papierach i w ustawicznym strachu.

Zięć Schönfeldów, Tadeusz Heller został w roku 1939 powołany do Wojska Polskiego. Uwięziony przez NKWD we Lwowie, a następnie zesłany na daleką Północ, został w roku 1941, w wyniku tak zwanej amnestii, uwolniony, lecz po dotarciu do armii Andersa zmarł w Kermine w Uzbekistanie – z wycieńczenia. Żona Renia z córką Ewą ewakuowały się w roku 1939 do Międzyrzecza Podlaskiego, stamtąd na Kresy Wschodnie, lecz po wkroczeniu Armii Czerwonej zawróciły na zachód, osiadły pod Radomskiem, po czym przeniosły się do Warszawy, gdzie trafiły do getta. Szczęśliwie uniknęły transportu do Treblinki.

A pozostali – ci, co już wcześniej wyemigrowali z ulicy Dietla? Dora z mężem, synową i dwiema wnuczkami została przez Niemców wywieziona z Budapesztu i osadzona w obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen. Szczęśliwie przeżyje – umrze potem w Izraelu. Mania zaraz na początku wojny została z mężem deportowana z Wiednia do getta w Łodzi. Następnie przeniesiono ją do getta w Terezynie (Theresienstadt) i tam słuch po niej zaginął.

Tymczasem w Krakowie, 5 grudnia 1939 roku, kordon gestapowców otoczył część Kazimierza, łącznie z nieparzystymi numerami ulicy Dietla (Dietlring), od Starowiślnej (Alte

Weichselstrasse) do wiaduktu. „Zabroniono wówczas mieszkańcom zablokowanych domów opuszczania mieszkań – wspomina Aleksander Bieberstein. – Do podchodzących do okien Niemcy strzelali. Przed każdym domem przy bramie stał żołnierz z karabinem zwróconym do wejścia”. Mieszkania przeszły gruntowną rewizję, „grabiono wszystkie wartościowe przedmioty”. Stan oblężenia trwał do następnego dnia.

Rok później, na początku grudnia 1940 roku, pozostali na miejscu żydowscy lokatorzy kamienicy przy Dietla zostali stłoczeni w forcie przy ul. Mogilskiej (Mogilaerstrasse) pod numerem 1 (w „obozie Lubicz”). Osadzono ich „w warunkach anty-sanitarnych, bez łóżek, bez sienników”, byli „pozbawieni rzeczy osobistych” (Bieberstein). Na spisie Żydów przeznaczonych do wysiedlenia, a mających zgłosić się przy Mogilskiej 5 i 6 grudnia 1940 roku, ale także 4 i 17 lutego oraz 24 i 31 grudnia 1941, pojawiły się nazwiska: Leib Schönfeld, Rachela Gutter, Henryk Gutter... Spisy nieaktualne czy zbieżność nazwisk przypadkowa? Faktem jest jednak, że druga żona Szai Guttera, deportowana do getta warszawskiego, została zamordowana w Treblince. Na liście ludności przeznaczonej do przesiedlenia do getta krakowskiego (a więc w marcu 1941) widnieje też Aleksander Ritterman. Ale tu również brak danych identyfikacyjnych. Podobno Aleksander Rittermann, dawny bogacz, umarł w getcie, ale warszawskim; przyczyną śmierci miał być głód.

Kamienicę przy Dietla 99 zasiedlili w tym czasie nowi lokatorzy. W przekazach pojawiają się nazwiska aresztowanego przez gestapo hr. Lasockiego, po którym, jesienią 1943, miał tu osiąść niejaki Gołębiowski-Taubman – czyżby tożsamy z agentem gestapo Ignacym Taubmanem? Opuszczona nieruchomość doczekała się też szybko nowych właścicieli. 23 kwietnia 1942 roku zarządzono zajęcie trzech czwartych realności przy Dietla 99 na rzecz Generalnego Gubernatorstwa. Fakt ten odnotowano w księdze wieczystej 10 maja 1942 roku.

Wkrótce po wyzwoleniu wróciła w roku 1945 do Krakowa Tonka Pinelesowa. Miała już 65 lat. Próbowała odzyskać dzieło życia ojca, w tym zwłaszcza swoje dietlowskie trzecie piętro. Ale widząc bezskuteczność tych działań, szybko wyjechała do Palestyny. Irena Hellerowa i jej 17-letnia córka Ewa też wiosną 1945 roku zapukały do drzwi swego mieszkania na pierwszym piętrze. Pozwolono im oglądnąć jeden pokój, i tylko przez pięć minut, po czym zostały wyproszone. Również one wyjechały zaraz potem do Palestyny. Wróciła też do Krakowa Lusja Gutterówna: w roku

1946 podała w żydowskiej ankiecie, że przed wojną mieszkała przy Dietla 99. Ale oświadczenie to nie miało żadnych następstw. Do Palestyny wyjechała więc także ona. Tam wyszła za mąż za Mietka Bizberga i w roku 1949 urodziła syna Ilana, późniejszego politologa i ekonomistę, profesora uniwersytetu w Meksyku. Ale już w roku 1954 umarła na raka.

Ze sporządzonej w Izraelu *Dokumentacji żydowskich cmentarzy w Krakowie* można się dowiedzieć, że Stefa (Stefania) Lustig (niewątpliwie wspomniana córka doktora-stwa Lustigów) zmarła w latach 1942–1945. Nic natomiast nie wiadomo, kiedy i gdzie zginął jej starszy brat Juliusz. O innych mieszkańcach kamienicy tym bardziej słuch zaginął. A potomkowie Szai Guttera rozproszyli się po świecie.

Bo też dwudziestowieczne totalitaryzmy przejechały się jak czołg także przez dietlowską kamienicę. Jej społeczność została przez nazizm i komunizm unicestwiona. Wszak nawet ci, co ocaleli, osiedli tysiące kilometrów od Krakowa: w krajach Europy, Azji, Ameryki Północnej i Południowej. Doświadczyli zatem wciąż tego samego, polskiego losu. Gdy jednak ci, co wrócili, napotykali ze strony nowych lokatorów zatrzaśnięte drzwi, musieli uznać, że Polacy raz jeszcze (choćby tylko mimowolnie) stali się sojusznikami komunistów i nazistów. Los wracających nie był już więc polski. Był to los żydowski.

### **Korzenie**

Rzeźbioną fasadę tej kamienicy, jej masywność i solidność, zarazem zaś – jeśli patrzeć z oddali – jej lekkość pamiętam z dzieciństwa. Klatka schodowa była wąska, schody drewniane. Gdy po tych stromych, skrzypiących stopniach szło się na trzecie piętro, widziało się przez okna smutne podwórko – studnię kamienną bez cienia zieleni – oraz płataninę schodów zewnętrznych, żelaznych, prowadzących przez rząd niezgrabnych balkonów na strych. A na balkonach, w zależności od pory roku, widniała susząca się na sznurach białizna bądź stały wiadra wypełnione bryłami czarnego, lśniącego węgla. I stale, bez względu na porę roku, rozbrzmiewało na podwórku gruchanie gołębi.

Gdy dochodziło się wreszcie na trzecie piętro i stawało się w progu mieszkania nr 7, otwierała się przestrzeń wąskiego, ciemnego przedpokoju, właściwie korytarza, z którego drzwi na lewo prowadziły do łazienki z zawsze zimną wodą, a drzwi na wprost – do kuchni, spiżarki i balkonu wychodzącego na podwórko. Ale wspianiałość mieszkania kryła się za zamkniętymi drzwiami po prawej

stronie. Tam, wzdłuż ulicy Wrzesińskiej, ciągnęła się amfilada pokoi: gdy otworzyło się wszystkie drzwi, powstawała olbrzymia, stumetrowa przestrzeń: jak w pałacu. Parkiety zaś, pucowane suknamy przez mamę, lśniły jak lustro, zachęcały do ślizgania.

Wtedy piętra już były podzielone. A w mieszkaniu nr 7 osiadła po wojnie rodzina Stankiewiczów. Lecz już w roku 1948 zamieszkała tu brat mojej mamy, Zdzisław Bytnar, początkujący wówczas dyrygent i pianista, wraz z żoną, Krystyną z Wołoszynowskich. Tym samym, po niespełna dziewięciu latach wróciła na trzecie piętro muzyka fortepianowa. A w ślad za Bytnarami, w roku 1949 osiedli w mieszkaniu nr 7 moi rodzice. I dwa lata później tutaj się urodziłem. Po mnie zaś, po kolejnych trzech latach przyszła tu na świat moja siostra Maria. To tu spędziłyśmy najwcześniejsze dzieciństwo.

Nikt z tych nowych lokatorów nie był rodowitym krakowianinem: przybyli oni z Łodzi (matka i wuj) oraz Lwowa (ojciec). I nikt z nich nie wiedział, że wkroczył w przestrzeń żydowską. Przecież dopiero co, w tych samych pokojach, na parkietach, na których rozkładaliśmy nasze lalki i misie, Aba Pineles pochylał się nad rachunkami bankowymi i nad sprawozdaniami z ruchu syjonistycznego, a w pokoju narożnym, z oknami wychodzącymi na Wrzesińską, szalała na fortepianie Luba Pinelesówna. A zatem moja przyjezdna rodzina wchodziła w Kraków za pośrednictwem krakowskich Żydów – ludzi, którzy tak niedawno opuścili to miejsce. To przecież nie my, lecz oni, mieszkający tu od dziesięcioleci, byli prawdziwymi krakowianami. My zajęliśmy ich własność. I nawet nie zachowaliśmy pamięci.

Ale nie wiedzieliśmy jeszcze jednego: żyliśmy w domu, który był własnością Generalnej Guberni... Orzeczenie Sądu Powiatowego dla Miasta Krakowa dopiero 31 sierpnia 1960 roku skasowało tę własność, a do ksiąg wieczystych zostało to wpisane 2 marca 1961. My jednak wyprowadziliśmy się z Dietla w kwietniu 1958 roku. Czyli całe nasze PRL-owskie dzieciństwo przeżyliśmy nie tylko w dawnym mieszkaniu rodziny Pinelesów, ale też na ostatnim skrawku Generalnego Gubernatorstwa. Czy to dlatego nie mogliśmy usłyszeć szeptów duchów, które zapewne zachowały się w tych murach?

\*

Od ubiegłorocznej jesieni ucinam sobie pogawędkę z Zurychem. I za każdym razem słyszę w słuchawce zawsze ten sam okrzyk radości. Ewa z Hellerów Torenowa już tylko ze mną może porozmawiać w ojczystym języku: „Jest tu jedna pani – opowiada – która

mówi po polsku, ale ona już jest bardzo stara”. „Wiesz – wspomina (mówimy sobie po imieniu) – gdy na naszym pierwszym piętrze otwierało się wiosną pokoje, to do pokoju wlatywały chrabąszcze. Czy w twoich czasach też na plantach były chrabąszcze?” „Nie, tego nie pamiętam” – mówię. – Może moje trzecie piętro to było dla nich za wysoko?” „Chrabąszcz brzmi w trzcinie” – śmieje się Ewa. I dodaje: „Ale po wojnie nas, Żydów, w Polsce nie chciano”. Milknę, zawstydzony. „Pozostały duchy – mówię niepewnie – Czy mogły do mnie mówić?” „Ależ naturalnie – odpowiada Ewa – mogły przychodzić także od nas, z pierwszego piętra. Duchy mogą się przemieszczać. Ty je słyszałeś”.

„A w twoich czasach... – podejmuje znów – w twoich czasach koni na ulicach Krakowa już nie było, prawda?” „A nie, konie były – odpowiadam. – Z mojego dzieciństwa nie pamiętam taksówek, natomiast jeździły konne dorożki. Z pasażerami i bagażami. A wozami zaprzężonymi w konie przyjeżdżali z okolicznych wsi chłopci. Stawali na Wrzesińskiej i krzyczeli: »ziemniaki!« Albo: »drzewo w kółkach!«. Bo w każdym pokoju naszego mieszkania był piec – węgiel taszczyło się w wiadrach z piwnicy, a do rozpalenia używało się kawałków drewna wyjmowanych z wiązki okręconej metalowym kółkiem. Na Wrzesińskiej stawały też czarne, usmarowane sadzą, wozy z węglem”.

Wzajemnie słuchamy swych opowieści. „Błogosławiony zbieg okoliczności, że mogliśmy nawiązać kontakt” – pisze w mailu Ewa. A w rozmowie dodaje: „Wiesz, ja myślałam o tobie, gdy cię jeszcze nie znałam!” „I ja o tobie, Ewo – odpowiadam. – Szukałem cię. Odnaleźliśmy się wśród milionów istot ludzkich. A zawdzięczamy to Lili Haber i Amiemu”. „Tak. Oni są wspaniali. A my musimy się spotkać”. Odpowiadam: „Przyjedziecie do Krakowa z Amikiem. Siądziemy na Rynku, posłuchamy hejnału mariackiego”. „Tak! – krzyczy Ewa – to znakomicie! Niech tylko ta korona się skończy!” (Ewa tak mówi o wirusie). „A wiesz? – dodaje po chwili – mam nagrany w komputerze hejnał mariacki. Zanim przyjadę, to go sobie już teraz posłucham”.

Tekst jest rozbudowanym rozdziałem z książki Andrzeja Romanowskiego *Pamięć gromadzi prochy. Szkice historyczne i osobiste*, która ukazuje się nakładem wydawnictwa Universitas.



# Lipiec i sierpień 1921 roku

Zebrał Krzysztof Jakubowski

Tego lata odnotowywano w Krakowie kolejne rekordy temperatury. 13 sierpnia termometry wskazały 37,6 stopni. „IKC” relacjonował: „Upał straszny, duszący, wżerający się w mózg. Chodniki asfaltowe od żaru słonecznego rozmiękły, parzą nogi. Woda wyrzucana z beczkowozów na ulicę znika momentalnie”.

✎ **2 lipca.** „Głos Narodu” podał komunikat Teatru im. Juliusza Słowackiego: „Wobec niezwykłego zainteresowania sztuką S.I. Witkiewicza *Tumor Mózgowicz* dyrekcja daje dziś jeszcze jedno przedstawienie tej oryginalnej nowości dla tych, którzy nie mogli otrzymać zaproszeń i biletów na premierę. Więcej przedstawień *Tumora* nie będzie”.

✎ **3 lipca.** Prasa powitała z zadowoleniem wznowienie zaniechanej wraz z wybuchem wojny tradycji tak zwanych Wianków na Wiśle. Z inicjatywą tą wyszedł oddział wioślarski Towarzystwa „Sokół”.

✎ **4–5 lipca.** Dzienniki relacjonowały wizytę w mieście Wincentego Witosa. Premier odwiedził między innymi klinikę chirurgiczną prof. Maksymiliana Rutkowskiego przy ul. Kopernika.

✎ **7 lipca.** Z kroniki „Czasu”: „Szkoła Dramatyczna przy Instytucie Muzycznym (ul. św. Anny 2) zostanie otwarta 15 września. Obejmie ona dwuletni kurs teorii i praktyki teatralnej. Wpisy od 15 bm., od 11 do 12 i od 5 do 6 wieczór”.

✎ **10 lipca.** Wiadomości policyjne „Czasu”: „Wczoraj w miodosytni Wójcikiewicza przy ul. Krakowskiej zdarzyła się krwawa awantura. Oto między Wojciechem Obodzińskim (lat 32), Janem Rymarczykiem (lat 31), robotnikami, przyszło do ostrej sprzeczki, w czasie której Obodziński ugodził Rymarczyka nożem w lewe przedramię, a następnie wbił mu nóż w nos. Rannego zaopatrzyło Pogotowie Ratunkowe, Obodzińskiego zaś aresztowano”.

„Pod Krzyżykiem” nawiązywała do świetnych tradycji krakowskiego miodosytnictwa. Założona w 1570 roku (sic!), przy ul. Krakowskiej 9, prowadzona od połowy XIX wieku przez rodzinę Wójcikiewiczów, przetrwała do 1950 roku. Zachowała się jej sala z XVII-wiecznym belkowym stropem i oryginalną polichromią ścian.

✎ **12 lipca.** Dzienniki zapowiedziały uroczystość wojskową z defiladą i mszą na Rynku Głównym dla uczczenia święta niepodległości Francji. Organizatorem było prezydium miasta wraz radą z oraz Towarzystwo Przyjaciół Francji.

✎ **13 lipca.** Jak podały dzienniki, 97 radnych miasta wybrało dwóch wiceprezydentów: Emila Bobrowskiego z PPS (65 głosów) i Piotra Wielgusa z Klubu Mieszkańskiego (63 głosy). Trzeci kandydat, Józef Muczkowski uzyskał 30 głosów.

✎ **15 lipca.** „Wczoraj rano na dworcu przywitani mieszkańcy Krakowa grupę powstańców górnośląskich w liczbie 180 osób, przybyłych z obozu pod Chrzanowem. Powstańcy uformowani w oddział poprzedzony orkiestrą tramwajarzy pomaszerowali na Rynek Główny, witani entuzjastycznie przez publiczność” – relacjonował „Głos Narodu”.

✎ **18 lipca.** Z kroniki „IKC”: „Człowiek i małpa, przepiękny i niezwykle zajmujący dramat awanturniczy – cieszący się niezwykłym powodzeniem tak u starszych, jak i u młodzieży – wystawiany będzie jeszcze tylko dwa dni w kinoteatrze Sztuka, ul. św. Jana 6, Hotel Saski”.

Kino to założył w 1916 roku kupiec Agenor Lisowski, właściciel składu herbat w Sukiennicach, a wykorzystano dawną sień przejazdową hotelu Saskiego. Drugie niejako narodziny „Sztuki” (w roku 1963) wiązały się z utworzeniem – dzięki staraniom filmoznawcy Zbigniewa Wysznińskiego – kina studyjnego. Sztuka przetrwała w tej postaci aż do remontu rozpoczętego w 1980 roku. Reaktywowane później kino działało jeszcze w latach 1995–2012.

✎ **24 lipca.** Dzięki interwencji „IKC” wygosparowano lokal na drugą w mieście tanią kuchnię dla inteligencji. Kuchnia, prowadzona przez sekcję gospodarczą Związku Inteligencji, mieściła się odtąd w pałacu Krzysztofora. Zaopatrywała ją w żywność Amerykańska Misja Ratunkowa.

✎ **24 lipca.** Jak donosił „Głos Narodu”: „Pan Erazm Barącz podpisał w tych dniach akt notarialny, w którym przekazał swe cenne zbiory na rzecz Muzeum Narodowego. Ze zbiorów wyłączył p. Barącz cztery obrazy, które przeznaczył jako dar dla Muzeum miasta Lwowa. Są to portrety p. Barącz pędzla Wysockiego oraz dwa pejzaże Stanisława Wyspiańskiego. W zdrowiu p. Barącz nastąpiła w ostatnich dniach korzystna zmiana. Gorączka spadła do normalnej granicy”.

Erazm Barącz (1859–1928) był inżynierem górnikiem, naczelnikiem kopalni w Wieliczce. Był też kolekcjonerem, głównie malarstwa, broni i zegarów. Ofiarowane miastu zbiory ekspozowane były do 1939 roku w należącym do Barącz domu przy ul. Karmelickiej 51. Ich grabież przez Niemców sprawiła, że po wojnie nie wrócił tam już oddział Muzeum Narodowego.

✎ **25 lipca.** Wiadomości policyjne „Czasu”: „Wczoraj po południu zawezwano Pogotowie Ratunkowe na Prądnik Czerwony, gdzie



Szkola Przemysłowa przy al. Mickiewicza 5, fot. ok. 1918, Muzeum Krakowa



Anda Kitschmann, śpiewaczka, kompozytorka, dyrygentka, fot. ok. 1920, domena publiczna



Maria Piłsudska, zwana przez konspiratorów „Piękną Panią”, pierwsza żona Józefa Piłsudskiego



Jacek Malczewski, *Portret Erazma Barączy*, olej na płótnie, 1907, Muzeum Narodowe w Krakowie

37-letni wyrobnik Władysław Koson przebił się nożem w okolicy serca w zamiarze samobójczym. Powodem tego rozpaczliwego kroku było podejrzenie Kosonia, że żona go zdradza. Pogotowie po udzieleniu pomocy odwiozło Kosonia w stanie groźnym do Szpitala św. Łazarza”.

✦ **26 lipca.** Dzienniki przyniosły wiadomość o mianowaniu pierwszego komendanta policji w Krakowie. Został nim prawnik dr Kazimierz Szczepański. Starostą Grodzkim mianowano Jana Rękiewicza.

✦ **29 lipca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „W parku Krakowskim w pływalni od kilku dni odbywają się wspólne kąpiele kobiet i mężczyzn. Mimo że magistrat dopiero wczoraj uchwalił godziny na rodzinne kąpiele od 6 do 8 wieczór, zarząd pływalni już uprzednio wprowadził system rodzinny na cały dzień. Zwraca się uwagę policji, aby odpędzała od parkanu tłumy gapiów, w tym przeważnie młode panienki i uczniów gimnazjalnych. W parkanie znajdują się szpary i wyłomy. Spodziewamy się, że zarząd pływalni poczyni tu naprawy”.

*Pływalnia w parku Krakowskim przetrwała do jesieni 1937 roku. Obejmowała spory teren, który zajęłyby dziś także zachodnią jezdnię al. Mickiewicza.*

✦ **31 lipca.** „IKC” przedrukował komunikat krakowskiego obserwatorium meteorologicznego: „W piątek 29 bm., o godz. 4 po południu termometr umieszczony w cieniu wskazywał

temperaturę powietrza 36,5 stopnia Celsjusza. Tak wysokiej temperatury nie było w Krakowie od 88 lat, dokładnie od 1 lipca 1833 roku, kiedy odnotowano temperaturę wynoszącą 38 stopni”.

✦ **31 lipca.** Dzienniki odnotowały ze smutkiem ostatnie przedstawienie w Miejskim Teatrze Powszechnym działającym dotąd przy ul. Rajskiej 12. Równocześnie trwały prace nad adaptacją budynku dla opery i operetki.

✦ *Scena teatralna w dawnej ujeżdżalni przy ul. Rajskiej działała od 1907 roku początkowo pod nazwą Teatr Ludowy, później MTP. W miejscu wyburzonego w 2009 roku budynku stoi obecnie Małopolski Ogród Sztuki.*

✦ **5 sierpnia.** „IKC” zawiadomił, że zebrał na pomoc dla powstańców górnośląskich ponad 3,5 mln marek.

✦ **5 sierpnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Jak się dowiadujemy, właściciele hoteli krakowskich, na skutek interwencji Prezydium miasta, odstąpili znaczną ilość pokoi dla potrzeb urzędników województwa, zniżając ceny pokoi o 50 proc.”.

*Nie tylko z mieszkaniami, ale i z lokalami biurowymi był wówczas kłopot, choć Urząd Wojewódzki zajął część gmachu Starostwa Grodzkiego przy ul. Basztowej 22. Roztropny zabieg zastosowała policja, lokując swych oficerów z rodzinami w czterech istniejących jeszcze jawnie domach nierządu przy ul. Starowiślniej 76, Kamiennej 19, św. Wawrzyńca 30 oraz al. Słowackiego 29. W ten sposób właściciele*

pozbawieni zostali pokus kontynuacji tradycji i udało się wreszcie wyegzekwować postanowienie ustawy z listopada 1919 roku zabraniającej działalności lupanarów.

✎ **10 sierpnia.** „Jak się dowiadujemy, dotychczasowy wydział artystyczny w Państwowej Szkole Przemysłowej w Krakowie przemieniony został na samoistną Szkołę Przemysłu Artystycznego, która będzie otwarta już z początkiem nadchodzącego roku szkolnego” – odnotowała „Nowa Reforma”.

Państwowa Szkoła Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego – tak brzmiała pełna nazwa – mieściła się przy al. Mickiewicza 5 (nie miała statusu akademickiego). W 1938 roku przekształcono ją w Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych. Podczas okupacji (1940–1943), przeniesiona do gmachu ASP na placu Matejki jako Średnia Szkoła Przemysłu Artystycznego – obrosła legendą Kunstgewerbeschule. Po wojnie reaktywowana, z czasem włączona do ASP.

✎ **12 sierpnia.** „Dziś w czwartek zagości na scenie Teatru Bagatela Anda Kitschmann, która wystąpi nie tylko w swym oryginalnym repertuarze, ale także w grotesce Jabłońskiego pt. *Przedstawienie amatorskie*” – zachęcał „Czas”.

Zapomniana dziś śpiewaczka, pianistka i kompozytorka Anda Kitschmann (1895–1967) była pierwszą Polką-dyrygentką. W latach 30. ubiegłego wieku pracowała dla warszawskich teatrów i kabaretów. Po ostatniej wojnie związana ze scenami krakowskimi.

✎ **14 sierpnia.** Dzień wcześniej odnotowano kolejny rekord temperatury w Krakowie – 37,6 stopnia. „Upał straszny, duszący, wżerający się w mózg. Chodniki asfaltowe od żaru słonecznego rozmiękły, parzą nogi. Woda wyrzucana z beczkowozów na ulicę znika momentalnie” – relacjonował „IKC”.

✎ **19 sierpnia.** Tytuł tekstu z „Głosu Narodu” jest wielce wymowny: *Kto sprzedaje w Krakowie domy Żydom?* Poniżej następowała gruntowna egzegeza problemu i kilka przykładów takich transakcji, uznanych przez dziennik za wysoce naganne.

✎ **19–20 sierpnia.** W dziennikach pojawiły się nekrologi i wspomnienia po Marii Piłsudskiej, zmarłej w krakowskim szpitalu garnizonowym na skutek sercowych powikłań po przewlekłym zapaleniu opłucnej. Maria Piłsudska została pochowana w rodzinnym Wilnie. Choć pisano, że zmarła towarzysząca pracy konspiracyjnej i żona Naczelnika Państwa, prawda była bardziej złożona. W rzeczywistości związek Piłsudskiego z Marią z Koplewskich, primo voto Juszkiewiczową, rozpadł się już w 1907 roku. Poznał on wówczas Aleksandrę Szczerbińską, która w 1921 roku została jego drugą żoną. Wcześniej Maria nie wyrażała zgody na rozwód, nawet po narodzinach obu córek Piłsudskiego.

✎ **24 sierpnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Krakowskie Towarzystwo Muzyczne dzięki usilnym zabiegom swego prezydium uzyska-

ło od gminy m. Krakowa z powrotem dawną swą siedzibę w Starym Teatrze, dokąd się już sprowadziło. Mieścić się tam będzie konserwatorium muzyczne, które staraniem Towarzystwa już z początkiem września rozpocznie swą działalność”.

✎ **24 sierpnia.** Notatka z „Głosu Narodu”: „W ub. sobotę dokonały organa sanitarne obławę, podczas której przytrzymały 34 kobiety lekkich obyczajów. Kobiety te odesłano do szpitala celem zbadania ich stanu zdrowia”.

✎ **24 sierpnia.** „Policja aresztowała Juliana Hausnera rzeźnika, Mariana Piątka ślusarza oraz Bolesława Iglickiego i Mariana Sarnę bez zajęcia, którzy onegdaj o godz. 3 rano dopuścili się nad Wisłą zbrodni zgwałcenia na osobie Wandy O., żony funkcjonariusza akcyzowego. Aresztowani tłumaczą się, jakoby do tego czynu namówił ich mąż Wandy O., za zapłatą 10 tys. marek, by mieć pretekst do rozwodu” – relacjonował „IKC”.

✎ **25 sierpnia.** „W niedzielę 28 sierpnia zostanie otwarta w Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim nowa wystawa obrazów i rzeźb. Osobną salę (świetlicę) zajęły oryginalne kwasoryty Rembrandta w liczbie około 60 i oryginalne miniatury flandryjskie z XV wieku (56. wystawa ze zbiorów Feliksa Jasieńskiego)” – awizował „Głos Narodu”.

✎ **26 sierpnia.** Prasa omawiała złożenie mandatów radnych miasta przez siedmiu członków PPS: Kazimierza Czapińskiego, Zygmunta Klemensiewicza, Zygmunta Marka, Leona Misiółka, Jana Malinowskiego, Wilhelma Topinka oraz Józefa Wardęgę. Poza Malinowskim i Wardęgą, wszyscy – aktualnie bądź później – zasiadali w polskim parlamencie.

✎ **26 sierpnia.** Wyjaśnienie z „Głosu Narodu”: „Odnośnie do notatki *Zażydzenie w adwokaturze*, dowiadujemy się, iż wspomniany wśród długiej listy nazwisk p. Erazm B. Orski nie jest żydem, tylko Polakiem, adwokatem w Tłumaczu”.

*Dziennik ten uprawiał tego rodzaju retorykę aż do końca 1930 roku. Zaniechał jej dopiero po zmianie właściciela i przetasowaniach po niepomysłnych dla opozycji wyborach parlamentarnych – gazeta przeszła wówczas na pozycje prorządowe.*



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Pamiętliwy kurz

Tekst: Paweł Głowacki

## Wtorek

Kto?... Nie wiem, jak było, dlatego piszę, jak było. Witold Bereś długo patrzył na starą fotografię przyjaciela i pytał w myślach: Kto? Po czym wracał do słów. Dalej – znów zdjęcie, po nim zaś słowa znów. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze... Bez końca tak.

## Środa

Kto? Przecież wiadomo! 29 maja 2020 roku, który wypadłoby nazwać rokiem pańskim, zmarł w Kielcach Jerzy Pilch. Tak, niewątpliwie, błąd wykluczony. Kropka. Albo kurtyna ostatnia, chwila ciemności, a później światło nagłe i owacja na stojąco. Zatem – wiadomo. On – Pilch. Dobrze, jak najbardziej: Pilch, ten Pilch. Ale – kto właściwie? No, pisarz z Wisły, urodzony tamże 10 sierpnia roku 1952, tak samo pańskiego jak rok jego odejścia. Stokrotne dzięki. I co? To już wszystko? Ot i cała historia? Ludzkie życie w miękkiej zielonej ramce? A jednak, jeśli można prosić o odpowiedź – kto, dokładnie, kto urodził się tam i wtedy, po czym odszedł w miejscu precyzyjnym i ściśle w porę? No, prozaik, powieściopisarz, momentami dramaturg i scenarzysta filmowy, i, rzecz jasna, felietonista legendarny wielu prasowych tytułów, i laureat literackich nagród, w tym Nike – największej polskiej. Świetnie, lecz czy coś jeszcze da się powiedzieć, napisać? Coś precyzyjniej słowem detalicznym odmalować da się? No, świetny druh był z niego, lubił, co wszyscy lubili i wciąż lubią, tylko że on lubił to, by tak rzec, do ciemności. Smakosz więc, ale – kto? Czy słówka: „smakosz”, „pisarz”, „laureat”, „legenda”, „druh” – wyczerpują wszystkie moce słowa „Pilch”? Przyjaciel. To znaczy – kto? Kto zniknął tak naprawdę? Tylko przyjaciel czy aż przyjaciel? Ktoś więcej niż przyjaciel? Mniej niż przyjaciel? Nie tylko przyjaciel? Kto ubył? Co zostało utracone? Kto zostawił puste krzesło? No, kto? Pilch. Czyli? Pilch. Więc? Pilch. Tak, on. Wiadomo przecież, że on. Tak, tak, tak. Wiadomo? Czy rzeczywiście wiadomo i dalej pytać już nie ma potrzeby? Jednak zapytam, ale inaczej.

## Piątek

Komponując majestatyczną, przez Wielką Literę w Warszawie wydaną, bez mała ośmiuset stronicową księgę *Pilchu. Na rogu Wiślnej i Hożej* – ile razy Witold Bereś pytał siebie,

czy naprawdę wiadomo, kto odszedł zeszłego maja w Kielcach, oraz czy to, co wiadomo, to jest rzeczywiście wszystko? I jak wiele razy otwierał Bereś powieść *Śmiech w ciemności* Vladimira Nabokova, jednego z kilku ulubionych bajkopisarzy Pilcha, aby nie zapomnieć bezlitosnej lekcji tych oto akapitów prologu:

„Żył sobie raz w niemieckim mieście Berlinie mężczyzna imieniem Albinus, bogaty,

Snuje Bereś pamiętliwą o Pilchu, dobrym swym druhu, opowieść, snuje ją z niewątpliwą przyjemnością i z uporem egiptologa wydłubującego z piachu na światło dnia coraz drobniejsze łupiny przeszłości, okruchy, włókienka, pamiętliwy kurz.

szanowany, szczęśliwy; pewnego dnia porzucił żonę dla młodej kochanki; kochał, lecz nie był kochany; i życie jego zakończyło się katastrofą.

Ot i cała historia, moglibyśmy więc postawić kropkę, gdyby ze snucia opowieści nie płynęła korzyść i przyjemność; a choć na kamieniu nagrobnym bez trudu pomieści się skrócona wersja ludzkiego życia w oprawie z mchu, szcegóły są zawsze mile widziane”.

## Niedziela

Snuje tedy Bereś pamiętliwą o Pilchu, dobrym swym druhu, opowieść, snuje ją z niewątpliwą przyjemnością i z uporem egiptologa, wydłubującego z piachu na światło dnia coraz drobniejsze łupiny przeszłości, okruchy, włókienka, pamiętliwy kurz. Jest tak, jakby w każdym z wielu dotykanych przez siebie aktów życia Pilcha – schodził Bereś coraz niżej, w regiony coraz gęściej wypełnione szczegółami, odrzucając po drodze każdą z odpowiedzi na pytanie – „Kto to właściwie był?” – jako odpowiedź ułomną, niepełną, taką, pod którą, niczym palimpsesty, majączy wiele jeszcze innych odpowiedzi.

Wędruje tak Bereś przez stron prawie osiemset, schodami zawsze w dół. Księga *Pilchu. Na rogu Wiślnej i Hożej* – co to jest wła-



Zdjęcie: © Wikimedia Commons (autor: Adam Kumiszczka)

ściwie? Gigant jakiego rodzaju? Którego gatunku zwierzę? Solenna biografia? Reportaż bezdennej? Pamiętnik? Mozolna kronika jednego życia? Coś niby zielnik intonacji, wypełniony wieloma egzemplarzami? Albo katalog pchlego targu? A może wyczerpujący dowód na nieusuwalną bezradność pamięci, która – jak w *Stu latach samotności* uczy Gabriel García Márquez, kolejny arcy mistrz Pilcha – tak naprawdę nie zna dróg powrotu? Co skonstruował Beres?

#### **Wtorek**

Max Ernst, malarz, w dzieciństwie dzień w dzień przez długie lata patrzył na udającą mahoniowe drewno tapetę w swym pokoiku. Obraz wżarł się w mózg. Grubo później, w połowie życia, w przydrożnej gospodzie spojrzął na śmiertelnie znużoną podłogę z desek – i było tak, jakby mignęły, aby znów przepaść, dni dzieciństwa, mahoń, marzenia. By uporać się z podobnym mgnieniem, zrodzonym ze smaku ciastka maczanego w herbacie, Marcel Proust stworzył siedmiotomową baśń. W przydrożnej gospodzie Ernst położył na chropawej podłodze kartkę, zaczął ją delikatnie pocierać ołówkiem – i tak stworzył technikę plastyczną zwaną frotą-

żem. Było to, jest to komponowanie własnej opowieści na kanwie kawałków rzeczywistości codziennej. Deski, znużone drewno, pełne drobnych śladów czasu przeszłego: pęknięcia różnej cienkości, wyżłobienia, wystające drzazgi, sęki, dziury po sękach, wklęsłe słoje, mrowie innych różności, cała ta chropawa faktura. I wyczarowywanie z tego ołówkiem na kartce zupełnie innych światów, perspektyw, kształtów. A przy okazji, jak rzekłby Borges, w ostatecznym rachunku tworzenie nieoczywistego portretu twarzy własnej.

#### **Środa**

Księga Beresia jest czymś na podobieństwo opasłego albumu frotaży, tyle że nie robionych na kanwie biednych rzeczy, stareńkich przedmiotów, a na podstawie kawałków dawnych opowieści i łupin pamięci. I nie przez pocieranie kartek ołówkiem, lecz przez ciepłe pokrywanie ich własnymi zdaniem. Jeśli ktoś woli inny gatunek plastyczny, inną technikę, której wirtuozem Ernst był także, niech zamieni frotaż na kolaż. Tak, mówiąc o księdze Beresia, można myśleć o kolażu, ale nie barw i kształtów wyjętych z różnych plastycznych światów, a wielu intonacji przybyłych z wielu przeszłości.

Wielość tę widać w czcionce. Są kawałki drukowane literami tłustymi, są drobiny na tych szarych prostokątach, są też na wielkich szarych prostokątach objawione spore akapity, są opowieści zamarte w literach cienkich niby włos i rzucają się w oczy fragmenty wyróżnione długą pionową linią, narysowaną przy krawędzi kartki. Jest intonacja Beresia, nazwijmy ją oficjalną, a obok także jego intonacja, lecz przez niego samego zwana prywatną. Krótkie aforyzmy Pilcha i całe jego teksty. Wspomnienia przyjaciół bądź tylko znajomych, bliższych i dalszych. Oznajmienia krytyków i fragmenty rozmów – z Pilchem o wszystkim, z różnymi ludźmi o Pilchu. Kawałek filmowego scenariusza, cząstki wierszy, drobiny prozy Pilcha, no i to, co nieuchronne: czarno-białe fotografie, wiele tych prostokątów z nieruchomymi podobiznami duchów wewnątrz. Słowem – są głosy. Piętrowa polifonia. Wiele głosów we wszystkich tonacjach i wszystkich nastrojach. Sopran, alty, barytony, basy i kilku kastratów. Wesołe piski i powłóczyście mruczanda. Brzdęki natchnione i mało ważne, tony banałów i tony znaczenia głębszego, tromtadracje, elegie i odpustowe przyspiewki. Głosy, które nie dbają o chronologię życia, za to wielbią anachronizm przestrzenny.

Wiślana to ulica w Krakowie, Hoża zaś – w Warszawie. Niby gdzie indziej miałyby one znaleźć swój róg jak nie jedynie na okładce i pierwszej stronie gigantycznego, buczonego froto-kolażu Beresia, księgi, która rządzi się starą Pilcha zasadą: „Nie jest ważne, jak było, ważne jest tylko to, jak się napisało”. Wiele więc, wiele, wiele głosów, które z epokami i przestrzenią czynią, co chcą. Tyle ich jest, co telefonicznym dzwonków, których niesłyszalnym brzęczeniem Bereś otwiera swą meandryczną opowieść o jednym życiu.

### Sobota

Żona Pilcha dzwoni do córki Pilcha, by przekazać wieść. Czy mówi: „To już”? Dzwoni – i tak to się zaczyna. Po chwili narasta w Polsce i na pierwszej stronie Beresia upiorny chór komórkowych melodyjek, jakby trącały się kostki dźwiękowego domina, ułożone w rozwidlające się ścieżki. Pilchu nie żyje. Swoją komórkę Bereś słyszy, stojąc w ogonku po gorzałę. I tyle.

Taki jest początek zdarzeń dziejących się w niemożliwym punkcie spotkania lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych, na widmowym zbiegu miast Pilcha: Wisły, Krakowa, Warszawy i Kielc, w końcu na rogu Wiślnej i Hożej. Czyli, jedyną prawdę mówiąc – na kartkach prawdopodobnej bajki Beresia. Zaczyna się ona od trupa głównego bohatera, nad którym zaczyna bućć pamięć tych, co zostali. Zaczyna się niczym *Śmierć Iwana Iljicza*, opowiadanie Lwa Tołstoja, kolejnego z arcy mistrzów Pilcha. W bajce Tołstoja, sportretowane na

pierwszej stronie początku istnienia tytułowego bohatera sięgają jego śmierci – tej chwili, gdy nic innego już nie zostało do zrobienia, jak tylko pozwolić bohaterowi przeżyć własne jego życie w cudzej bajce o jego życiu. Snuje ją więc Tołstoj – Iwan żyje, aby w finale znów być trupem. Myślę, że podobnie istnieją deski podłogi we frotażu Ernsta. Nade wszystko zaś myślę, że pytanie: „Kto?”, które w trakcie lepienia księgi Bereś być może sta-

Mówiąc o księdze Beresia, można myśleć o kolażu, ale nie barw i kształtów wyjętych z różnych plastycznych światów, a wielu intonacji przybyłych z wielu przeszłości.

wiał, patrząc na zdjęcie przyjaciela, pozostało bez odpowiedzi. Stało się lekcją klasycznej, dobrej bezradności i zarazem przypomnieniem sedna pisania. Bo czy mordowałyby się ktoś czernieniem papieru, gdyby wiedział na pewno? Jeśliby nie miał wątpliwości – po cóż w ostatnim rozdziale swej bajki o życiu przyjaciela, ale też swoim, zwoływałyby Bereś na pomoc widma i kilku żywych, którzy są coraz bardziej jak widma?

### Niedziela

„Scena. Krakowski Rynek, czerwiec 2020, popołudnie”. Tak Bereś tytułuje finałowy rozdział. Wszystko już zostało powiedziane i znów nic nie zostało uchwycone. To dobrze, gdyż jutro znów będzie można zacząć pisać od początku. Na razie – oto drugi raz w księdze Beresia Pilchu nie żyje. Nie szkodzi, przewidział to Pilch. Dwie strony przed finalnym rozdziałem, gdzie drugi raz nie żyje, na szarym prostokącie widnieje jego funeralna ironia. „Wielkie rzeczy, że niedługo mnie nie będzie, przecież raz już mnie nie było”. Po czym wpuszcza Bereś na swe kartki duchy zmarłych i kilkoro coraz węższych żywych. Jest podobnie jak w pożegnalnej powieści Nabokova *Patrz na te arlekiny!*, do której Nabokov sprosił widma swych poprzednich dzieł. I podobnie jak w *Nigdy tu już nie powrócę*, ostatnim dokończonym seansie Kantora, seansie-spotkaniu starych widm z niegdysiejszych jego przedstawień. A gdy na płycie Rynku zejda się już wszyscy – i Turowicz, i Kozłowski, i Tischner, i reszta na amen wiotkich – otwiera Bereś ekskluzywny raut na nieludzko długie „do widzenia”. Przybył też Pilch. Kto? On. Ale kto?



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

# Hawełka, czyli smaki dzieciństwa – dodatkowe, nieznane fragmenty książki *Biały towar*\*

Tekst: Mariusz Wollny



O ile plac Szczepański był najmłodszym z placów handlowych Krakowa, to Mały Rynek – najstarszym, starszym nawet od Rynku Głównego. Pierwotnie zwany Starym Rynkiem, potem Rynkiem Rzeźniczym albo Wendetą *vel* Tandetą, obecną nazwę nosił od niedawna.

Od zawsze był centrum handlu mięsem, jako że po sąsiedzku, na Mikołajskiej, mieszkali rzeźnicy, a dawniej tuż za nieistniejącą już bramą Nową u wylotu Siennej, na Kotłowym, stał dom cechu rzeźników i ubojnia, dopóki nie zbudowano nowej rzeźni na Grzegórzkach nad Starą Wisłą. Nawet ulice sąsiadujące z Mikołajską niegdyś nosiły nazwy Świnia i Krowia, bo tędy pędzono na rzeź bydło i trzodę.

Mały Rynek, mniejszy o połowę od placu Szczepańskiego, wydawał się jeszcze mniejszy, a to dlatego że z trzech stron otaczały go wysokie kamienice, a z czwartej bryła kościoła świętej Barbary, kolegium jezuickie i wikaarówka kościoła Mariackiego. Nie mówiąc o tym, że nad wszystkim górowała strzelista sylweta bazyliki Mariackiej. Za Wolnego Miasta pozbyto się jatek mięsnych (a przy okazji nieustannego fetoru i milionów szczurów), czyli dwóch rzędów zbutwiałych bud drewnianych, przenosząc je do porządnym kramów dominikańskich na pobliską ulicę Stolarską, przez co Mały Rynek zyskał na urodzie, gdyż na miejscu masarzy rozgościły się przekupki z owocami i kwiatami. Od strony Siennej, w miejscu wyburzonej starej szkoły Marii Panny, postawiono drewniany pawilon w stylu góralskim, w którym na przemian sprzedawano nabiał lub owoce morza z całego świata, a w okresie wielkanocnym można tam było nawet nabyć świeże ostrygi i homary. Od pawilonu ciągnęły się podwójnymi szeregami zadaszone stragany miejscowych przekupek, równie pyskate i kłótlive jak te z placu Szczepańskiego lub Kleparza, stąd przysłowiowe stało się określenie każdej takiej kobiety „kleparzanką” lub „przekupką z Małego Rynku”.

Pośród całego mnóstwa bud, budek, straganów, daszków, parasoli, koszów, beczek z owocami przewijał się ruchliwy, hałaśliwy ludzki tłum.

(...) Z „Barberem” konkurował sąsiedni sklep wraz z handelkiem śniadankowym kupca korzennego Fritscha na rogu z Mikołajską, opodal na rogu Szpitalnej podobny handelek prowadził restaurator Zegadłowicz, naprzeciw od strony Stolarskiej mieściła się traktiernia Miedniaka, zawsze pełna ludzi z powodu dobrej kuchni i niskich cen, podobnie jak delikatesy i szynk Michała Karasia na rogu Małego Rynku i Siennej, gdzie spotykali się rzemieślnicy.



Przeciskając się pomiędzy pełnymi nadziej chłopami w sukmanach i wysokich kapeluszach, babami opatulonymi w chusty i robotnikami w kaszkietach oblegającymi kolekturę loterii umieszczonej w narożnej kamienicy Fritscha, by obstawić jedną do trzech liczb spośród dziewięćdziesięciu dziewięciu, Karcz przez chwilę rozważał, czy nie postawić najniższej stawki – za dziewięć centów. Rozmyślił się jednak z powodu długiej kolejki oraz myśli, że musiałby w sobotę w tłumie podobnych naiwniaków szukać najbliższej trafiki, gdzie pod szyldem z dwugłowym czarnym orłem, na czarnej blaszanej tablicy zawieszanej na okiennicach malowanych w czarno-żółte pasy wypisywano kredą szczęśliwe numery.

Dwie niemłode przekupki skoczyły sobie do oczu. I to jak! Tłukły się nawzajem koszykami, aż szły z nich drzazgi, obrzucały najobelżywszymi słowami, szarpały za kudły i okładały pięściami po twarzach i drapały pazurami, aż tryskała krew. Tłum otoczył awanturnice i zagrzewał je do walki, której kres położyła dopiero interwencja mundurowego policjanta, który powłókł obie krewkie niewiasty do aresztu Pod Telegrafem na Kanoniczą. Jedna z nich wyrwała się i wykrzykiwała na cały głos:

*Ludzie, chcą mnie zamknąć*

*Policjanty zbójce,*

*Niechże mnie pan frajter*

*W dupę pocałuje!*

– Zamilknij, kobieto, bo posiedzisz dłużej za dopuszczenie się obrazy publicznej moralności! – usiłował ją mitygować czerwony na twarzy z konfuzji policjant.

Korzystając z tego, że fiakra, jak większość zgromadzonych na placu, zainteresowała awantura, Janek Bodyński postanowił bez zbędnych pożegnalnych ceregieli rozstać się ze swymi opiekunami. Bezszelestnie i zręcznie jak piskorz ześliznął się z pojazdu i właśnie miał dać nura w ludzką ciżbę, gdy nagle silna ręka pochwyciła go za kołnierz dziurawej kapoty i postawiła na stopniu karety.

– Chciałeś rozprostować kości? – spytał współczującym tonem Olgierd. – Cierpliwości, już niedługo będziemy na miejscu.

Pchnął chłopaka na siedzenie, podał mu jabłko i usiadł obok. W tej chwili wrócił Karcz.

– Widzieliście to? – spytał, sadowiąc się w dorożce. – Ta diaboliczna wcielona i nałogowa złodziejka Petronela Pokludowa, jak zwykle pijana, znowu pobiła się z Koterbską. Co to za niepoprawne babsko! Wczoraj było zgłoszenie, że ukradła komuś ze spiżarki garnek pełen szmalcu, a teraz wysypała Koterbskiej śliwki z koszyka. Już się bałem, że będę

musiał interweniować, na szczęście frajter Blik mnie ubiegł.

– Ruszamy, panie Bezdek – polecił Olgierd. – Tym razem prosto do schroniska księdza Siemaszki na Długą, bez zatrzymywania.

\*

Firma Antoni Hawełka „Handel pod Palmą”, od 1886 roku mieszcząca się Pod Krzysztoforami na prawo od głównego wejścia do kamienicy, miała witrynę nieproporcjonalnie skromną w stosunku do sławy, jaką się cieszyła. Wnętrze składało się z dwóch pomieszczeń. Od frontu znajdował się sklep kolonialny i delikatesy zarazem, dlatego na szerokiej ladzie, na której z przodu królowała palma – znak towarowy firmy, stała nadstawka z półkami wypełnionymi przeróżnymi wiktuałami. Klientom gustownie pakowali je grzecznymi i kompetentnymi, służący radą subiektami, w pętelkę sznurka wsuwając drewniany kołeczek, ułatwiający noszenie pakunku przez eleganckiego klienta. Ustawiono także dwa odlewane, malowane na biało stoliki z takimiż krzesłami dla klientów mających ochotę na miejscu skonsumować nabyte łakocie. Bo też czego tu nie było! Pod marką ochronną „Palma” sprzedawano importowaną cejlońską herbatę Rangalla Ceylon Tea, a oprócz niej herbaty rosyjskie i chińskie, wyborne pasztety strasburskie oraz z gęsich wątróbek i dziczyzny, rolady z kapłonów – galantyny, czarny kawior astrachański, raki, tłuste i delikatne młode śledzie – matiasy, sardynki francuskie i włoskie, pstrągi, makrele, anchois, ostrygi, homary, wędliny westfalskie i krajowe, konserwy mięsne angielskie i krajowe, nadziewane kwiczoły. Polecano miód alpejski w plastrach, trufle, ananasy, szparagi, pumpernikiel i wiele innych łakoci.

Przesławny lokal „śniadankowy” – ulubione miejsce spotkań solidnego mieszczaństwa i inteligencji – któremu firma zawdzięczała rozgłos i renomę bardziej niż skądinąd wyśmienitym wyrobom delikatesowym – mieścił się za sklepem, z dodatkowym wejściem z kamienicznej sieni. Za długą ladą aż pod samo sklepienie wznosiły się półki szczególnie wypełnione różnymi trunkami we flaszkach z barwnymi etykietami, zaś na bufetowej ladzie pod szkłem widniały słynne Hawełkowe *canapés* – kanapki, małe arcydzieła sztuki kulinarnej, wymyślone przez założyciela firmy ku zawstydzeniu lorda Sandwicha, kilkupiętrowe, „piramidalne”, obłożone góralską bryndzą z papryką, łososiem, czerwonym kawiosem i serem szwajcarskim, surową szynką i kawałkami homara, jajkami na twardo i ogórkami oraz majonezem nakładanymi na oczach klienta (improvizacja na życzenie

w zakresie składników była dopuszczalna) na wydrążonej połówce centowej bułki, suto posmarowanej śmietankowym masłem. Taka kanapka lub dwie niejednemu wystarczały za śniadanie i obiad zarazem.

Konsumpcji dokonywano na stojąco przy bufecie lub pod oknem przy kilku małych, nakrytych szarym papierem stolikach dla amatorów przekąsek, boskiego śledzika faszzerowanego po żydowsku albo flaczków, i oczywiście alkoholu. Zarówno miejsca siedzące, jak i stojące były wiecznie zajęte. Zdziwiałe, że zawsze było tu pełno, lecz nie tłoczno. Co chwila ktoś wołał:

- Kelner! Jeszcze jedna halba! - Halba *vel* bomba oznaczała pół litra w dużym kuflu, były też półhalby i półbombki, czyli małe piwa albo sznyty *vel* sznyciki - piwo nalane z szumem tak, że zawierało więcej piany niż płynu.

- Dwie bomby z czapką w grubym szkłe!

- Sznyt jasnego w wysokim!

- Dla mnie duże z kołnierzem w tulipanie!

Pikolaki w zielonych fartuchach uwijali się jak w ukropie, roznosząc złocisty płyn. Łało się strumieniami piwo angielskie, w tym porter londyńskiej firmy Barklay Perkins & Co. oraz piwa czeskie z Pilzna i niemieckie *Spatenbräu* z Bawarii, ale także okocimskie i miejscowe z krakowskiego browaru Johna na Lubicz. Panowie doktorzy, docenci, profesorzy, radcy - w Krakowie każdy bowiem dysponował jakimś tytułem i nigdy nie wahał się go użyć (nazwisko niepoprzedzone choćby najskromniejszym tytułem wyglądało goło, samotnie, niesmacznie i wręcz nieprzyzwoicie, jak obnażona do rosołu ślubna małżonka w małżeńskim łożu) - spijali te specjały, wysysając pianę z obfitych wąsów i bród. Ze ścian wystawały małe palniczki z płomykami gazu do zapalania cygar i cygaretek.

Od kilku lat, Olgierd wiedział to z listu matki, po śmierci bezpotomnego założyciela, który scedował firmę na swego zaufanego pomocnika, prowadził ją Franciszek Macharski, bez zmiany nazwy rozwijając interes i chlubnie kontynuując tradycję i działalność zapoczątkowaną przez swego dobrodzieja i filantropa, który w zapisie testamentowym nie zapomniał o głodnych dzieciach krakowskich. Jego godny następca cieszył się europejską sławą i był w świecie bardziej znany (i bez porównania bardziej szanowany) od kardynała Puzyny. Udzielał się społecznie, działał charytatywnie i przyjaźnił się z wieloma krakowskimi znakomitościami, zwłaszcza z kręgu uniwersyteckiego.

- Pan Olgierd Korsak! Miło po latach znów ujrzeć pana w naszych skromnych progach!

- zaskoczył Olgierda nowy właściciel, wyra-  
stając przed nim jak spod ziemi.

Pan Franciszek, postawny i zażywny, z wciąż gęstą czupryną nieco *à la* Paderewski i przyczerinionym wąsem, krzątała się nieustannie, krążąc między obu swoimi lokalami i osobiście witając stałych klientów. Przebywał w każdym miejscu naraz i nic nie uchodziło jego bystrym oczom. Zawsze elegancji, w jasnym garniturze w paski z kwiatkiem w butonierce, przyciasnym słomkowym kapeluszu nasuniętym ku przodowi, w białych getrach oraz nieodłącznych kanarkowych rękawiczkach, w których jak pastorał dzierżył laseczkę ze srebrną rączką.

- Nie spodziewałem się, panie Franciszku, że rozpozna mnie pan po tylu latach.

- Panie Olgierdzie, jeśli wolno mi tak mówić do jaśnie pana hrabiego, czy raczej eks-celencji...

- Proszę się do mnie zwracać po dawnemu, inaczej się obrażę.

- Jak wielmożny pan sobie życzy - kupiec skłonił się lekko. - Gdyby nawet pan doktor Tadeusz Żeleński, nieustająco nas frekwentujący amator kanapek, nie uprzedził mnie o pana przyjeździe, to dowiedziałbym się o tym z gazet. Nie każdy mieszkaniec Krakowa wraca do rodzinnego miasta cesarską salonką. Z miejsca stał się pan sławny w mieście.

- Po prostu trafiła się okazja, więc skorzystałem.

- Na szczęście poznałem pana na tyle, że mogę w to uwierzyć, acz z trudem, gdyż jakoś nie słyszałem o nikim, komu przytrafiłby się podobny przypadek. Ale zostawmy to. Pan pewnie głodny?

- Jak wilk. A tymczasem ktoś mi sprzątnął ostatnią kanapkę sprzed nosa.

- To dlatego, że pora śniadaniowa właściwie się skończyła. Ma to jednak swoją dobrą stronę, bo lokal zaraz zacznie się chwilowo wyludniać... O, widzi pan? Zwalnia się dwuosobowy stolik w kącie. Proszę zająć miejsce, a ja przyślę chłopca, by uprzątnął stolik. Wielmożny pan życzy sobie jedną czy dwie kanapki?

- Zdecydowanie dwie i jak zawsze bez majonezu.

- Ma się rozumieć. Nie zapomniałem. A co do tego? Piwo?

- Nie przepadam za piwem, chyba że w upalne lato. Poproszę waszą niezrównaną cejlońską herbatę i pięćdziesiątkę wódki Baczewskiego lub dwie, jeśli zechce się pan do mnie przysiąść na chwilę i wypić za spotkanie po latach.

- Będę zaszczycony. To może malutkiego wyborczego matiaska pod wódeczkę?

- Bardzo dobrze.

Minutę później pikolak zebrał ze stołu kufle i talerze wraz z poplamionym papierowym obrusem i wymienił go na nowy, a po dziesięciu minutach inny kelner przyniósł zamówione kanapki i herbatę w porcelanowym dzbanku i także filiżankę. Dopiero gdy Olgierd zaspokoił głód, ponownie zjawił się właściciel, a za nim kolejny posługacz z flaszką wódki, kieliszkami i dwoma porcjami matiasa. Zastawił stół, napełnił kieliszki, skłonił się i zniknął jak kamfora.

- Smakowało? - spytał gospodarz.

- Jak pan może pytać, panie Franciszku. Nigdzie na świecie nie jadłem nic pyszniejszego.

- Z czasem najmiłsze zdają się smaki zapamiętane z młodości, dopóki ich po latach nie spróbujemy, więc cieszę się, że kanapki od Hawełki nie rozczarowały wielmożnego pana.

- Bynajmniej. Wypijmy zatem za niezmienną dobrotę rzeczy. Niech trwają jak najdłużej.

Wypili.

- Skoro tak, to miło mi pana poinformować, że firmie w mojej skromnej osobie zostało przyznane prawo reklamować się jako „C.K. Dostawca Dworu Austro-Węgier i Królestwa Grecji” oraz zaopatrywać swe reklamy godłem państwowym. Nasze wyroby zdobyły odznaczenia w Paryżu, Atenach, Marsylii, Wiedniu i innych miastach. W ostatnich latach kilkakrotnie bywała u nas sama Lucy na Ćwierciakiewiczowa. Słyszał pan o niej?

- A kto nie słyszał o mistrzyni kuchni polskiej i kulinarnej wyroczni? Odkąd moja matka sprawiła sobie jej 365 obiadów, do gotowania na domowy użytek nie uznaje innych autorytetów. Szczególnie ceni panią Lucynę za wprowadzenie do polskiej kuchni surówek warzywnych.

- Nie tylko surówek. Sądząc z wyglądu, wszystkie opisywane potrawy pani Ćwierciakiewiczowa wypróbowała na sobie rzetelnie, każdą po wielokroć. Za to faktycznie zna się na rzeczy i rąbie prawdę prosto w oczy. Bywała zapraszana na obiady do najświetniejszych krakowskich domów, po czym tak przez wszystkich podziwianą kuchnię hrabostwa Potockich uznawała za kosztowną, lecz bez gustu i smaku, za to wysoko oceniła kuchnię pani Wojciechowej Kossakowej.

- Do Hawełki nie zaglądnęła?

Uśmiechnęła się.

- Nasza znajomość zaczęła się niefortunnie, bowiem wpięć przytępiła mnie na robieniu notatek na jej wykładzie o sztuce kulinarnej i kazała mi kupić swoje książki, zamiast szpiegować. A potem niespodziewanie, tuż przed powrotem do Warszawy, jak burza z gromotami wpadła któregoś dnia do naszego loka-

lu, żeby sprawdzić dania przygotowywane według jej przepisów: pstrąga złocistego na błękitno z migdałami, cielęciny *à la* łosoś garniowaną kawiozem, mózdzek cielęcy zapiekany w kokilkach i polędwicę z truflami na maderze... - zawiesił głos.

- I jak wypadła inspekcja?

- „Całkiem dobre - mruknęła łaskawie. - Da się zjeść”. Po czym zażądała podania dokładnych proporcji użytych ingrediencji. Odtąd jesteśmy w najlepszej komitywie.

- Gratuluję.

- Dziękuję. A skoro mowa o naszych sławnych gościach... Wie pan, że pan Sienkiewicz zawsze chętnie zagląda do Hawełki podczas każdej bytności w Krakowie i że właśnie u nas wpadł na pomysł napisania *Quo vadis*? - ściszył głos konfidencjonalnie. - Widzi pan tych trzech starszych panów siedzących dwa stoliki za nami? To członkowie klubu dyskusyjnego Koło Współczesnych *alias* Zeitgenossen, zrzeszającego profesorów uniwersytetu, w tym księdza-filozofa Stefana Pawlickiego. Jego akurat dziś nie ma, ale jest profesor literatury niemieckiej Wilhelm Creizenach...

- I cóż z nim? - spytał Olgierd, któremu to nazwisko nic nie mówiło, w przeciwieństwie do Pawlickiego, powstańca styczniowego, wielkiego żarłoka, bufona i pieczenia-rza, o którym krążyły w Krakowie legendy.

- To pomysłodawca spotkań profesorów u Hawełki przy dobrym winie. Zaraz po uroczystej krakowskiej premierze *Quo vadis* w dziewięćdziesiątym szóstym roku pan Sienkiewicz też do nas przyszedł, a kiedy swoim zwyczajem wziął do ręki cygaro i zaczął się rozglądać za ogniem, podszedł do niego profesor Creizenach z obcinaczem i zapałkami, mówiąc żartobliwie: „Mistrzu - ogniem i mieczem!”. Odtąd utarło się, że za każdą bytnością sławnego pisarza któryś z naszych kelnerów przypala panu Sienkiewiczowi cygaro z tymi samymi słowami. Ale dość gadania, napijmy się!

Wypili.

- Było miło, jakby czas stanął w miejscu, panie Franciszku. Jednak na mnie już pora. Proszę o rachunek.

- Nie ma mowy. Dziś gościliśmy pana na koszt firmy. Dobrze było znów pana zobaczyć po tylu latach. Ani słowa, bo zepsuje mi pan przyjemność z tak miłego spotkania! Do następnego razu. I proszę pamiętać, że można sobie wcześniej telefonicznie zamówić stolik. Wystarczy zadzwonić, gdyż w tym roku zainstalowano nam telefon! - zakończył z dumą.

- Zauważyłem. Zatem - do rychłego zobaczenia.

\* Za wiedzą i zgodą Autora oraz wydawcy

# Blisko, jak najbliżej

Tekst: Maria Malatyńska Ilustracja: Wikimedia Commons

Są krajobrazy, które mamy w sobie. W pamięci lub w podświadomości, nawet „odłożone na potem” stanowią nasz prywatny film. Niekiedy zjawiają się w snach, a stare zdjęcia w albumie potwierdzają ich istnienie. Są jednak takie chwile, gdy stają się one wyraziste, a nawet natrętne. Dzieje się tak wtedy, gdy zbliżają się wakacje.

W tym roku, gdy tak ostrożnie trzeba wychodzić z izolacji, gdy nawet lekko poluzowany czas ma swoje ograniczenia, potrzeba ucieczki w oswojone krajobrazy może być formą ukojenia wyobraźni lub odpoczynkiem dla oczu.

Proponuję uciec jak najbliżej. W nasyceniu zielenią, jasny pofałdowany teren, z którego gdzieś tam, w sobie tylko wiadomym porządku wyrastają wapienne ostańce

Trudno wymienić wszystkie tytuły, które były realizowane na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej: *Hrabina Cosel*, *Czarne chmury*, *Polonia Restituta*, *Szamanka* czy niedawne *Młyn i Krzyż* i *Demony wojny*. Każdy z tych filmów bodaj jakąś część akcji zahaczył o krajobraz Jury. I każdy się tu sprawdził.

o przedziwnych kształtach, a wśród tych skał, między drzewami i karłowatą roślinnością można odkryć zamki i warownie, ruiny strażnic, tajemnicze siedziby. To nie tak, że skały kształtem przypominają te różne budowle. Nie, owe zamki tam są naprawdę, a raczej były w dawnych czasach, a dziś świecą do słońca dekoracyjnymi ruinami, są historią i legendą, miejscem, gdzie wciąż można doznać zawrotu głowy z zachwytem, bo natura nadała im doskonałość nowych-starych kształtów i siłę tajemnicy. Tak właśnie trwa ta najpiękniejsza scenografia, idealna dla odpoczynku, dla oczu, dla niezmiennej radości.

\*

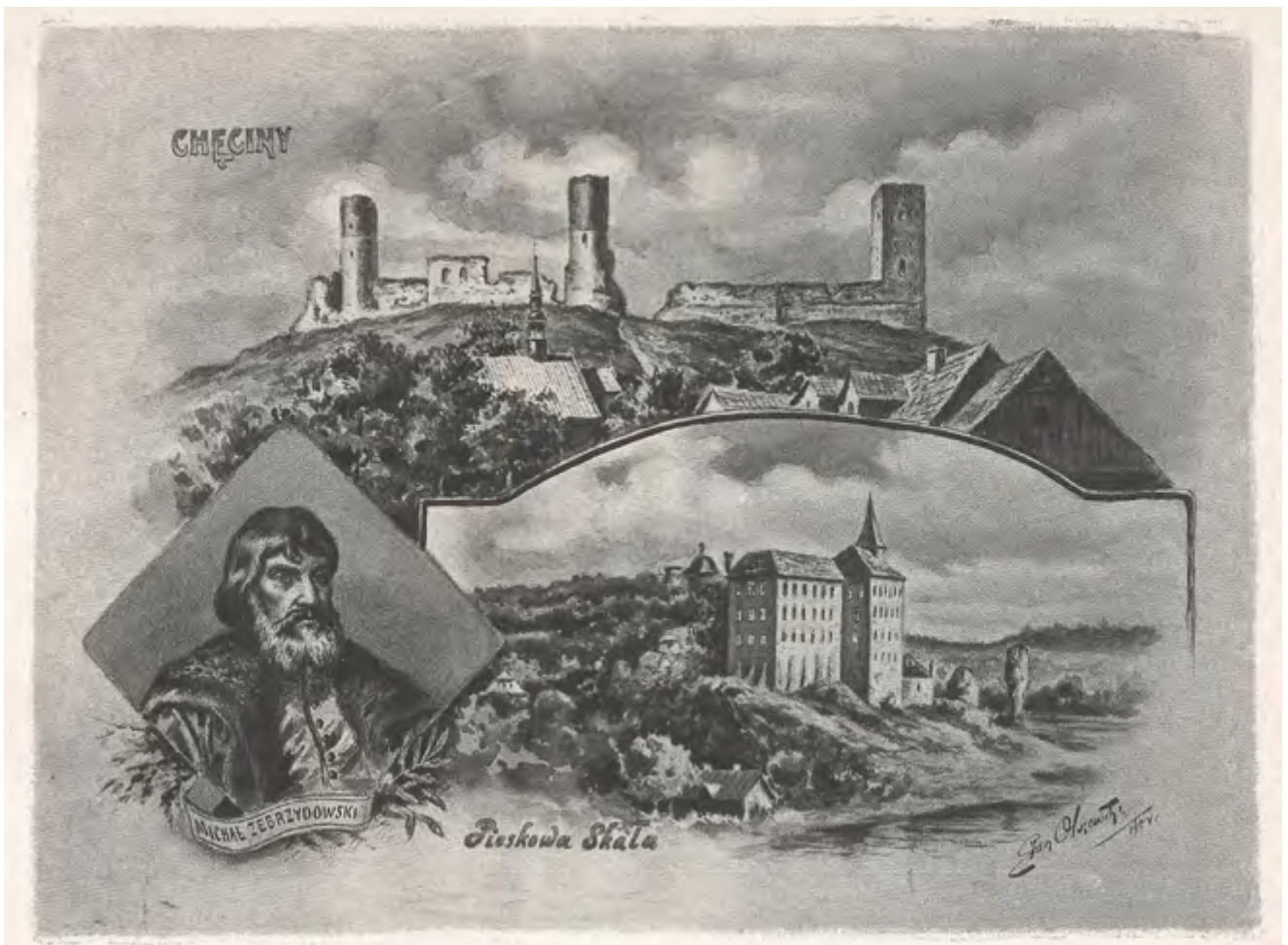
Dobrze Państwo odgadli: jesteśmy na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, a więc bardzo blisko Krakowa. Początek Jury to zaledwie kilka kilometrów od granic miasta, choć cały szlak Orlich Gniazd – bo tak nazywana jest również ta wyżyna – ma długość 165 kilometrów, sięgając pod Częstochowę. W dawnym porządku administracyjnym, jak wyznaczają stare mapy, sięgała jeszcze dalej, nosząc miano Jury Krakowsko-Częstochowsko-Wieluńskiej. Ostańce i skały w każdym są tam, gdzie były.

A ja stoję tu, gdzie najbliżej. Tu można stać i patrzeć lub wędrować, oglądać i zgadywać, jak to się stało, że kamienne mury potrafiły wyrosnąć wprost ze skały i to tak, że do dziś nie widać, co je spaja, i dlaczego trwają – coraz bardziej złączone jednością materii. Można też leżeć na trawie i zastanawiać się, kto tu był, kto mieszkał, kto walczył, kto kochał. Cały wachlarz emocji, tłum postaci, wszystko, co było, jest i będzie na zawsze. A można jeszcze inaczej, czyli zachwycić się różnorodnością: zobaczyć z bliska, a nawet zwiedzić pierwszy odbudowany, ba, z pietyzmem podniesiony z ruiny, z zachowaniem średnio-wiecznej surowości zamek w Bobolicach i podnoszony również z ruin, jego bliźniaczy cud, czyli zamek w Mirowie. Za prywatne pieniądze, ale z dostępem dla wszystkich.

Ta scenografia geograficzno-historyczna wspaniale sprawdzała się i pewnie długo jeszcze będzie się sprawdzać na ekranie. Była ogromnym ułatwieniem dla tych reżyserów, którzy mieli wyobraźnię. Powstawały tu filmy różnych gatunków, zakładające różne miejsca akcji, bo walory krajoobrazowe Jury, niczym plastyczna materia potrafiły dostosować się do każdej wyobraźni. Trudno wymienić wszystkie tytuły, które tu były realizowane: *Hrabina Cosel*, *Czarne chmury*, *Polonia Restituta*, *Szamanka*, niedawny *Młyn i Krzyż*, *Demony wojny*, gdzie Jura zagrała Bośnię w czasie wojny bałkańskiej. Każdy z tych filmów bodaj jakąś część akcji zahaczył o krajobraz Jury. I każdy się tu sprawdził.

Ale zdarzył się taki film, którego akcja i estetyczna formuła idealnie nałożyły się na kształt tego krajoobrazu. A nawet więcej: mogło się wydawać, że dzięki temu filmowi Jura ujawniła widzom swój prawdziwy charakter i wcześniej nieodkryte tajemnice. Ta idealna symbioza zaistniała podczas realizacji arcydzieła, czyli *Rękopisu znalezionego w Saragossie*. Nigdy przedtem i nigdy potem nie było tak idealnego związku filmu z krajoobrazem: w ostańcach, pod skałami, które dzielnie odgrywały hiszpańskie pasmo gór Sierra Morena, *Rękopis...* po prostu zaistniał prawdziwie.

Ten idealny związek trwa do dziś, choć film ma już 56 lat! Pamiętam, jak oprowadzałam po Jurze dwójkę gości ze świata, miłośników *Rękopisu...*, którzy wędrując wśród wapiennych skał, pytali, kiedy dojdziemy do tych



Miłośnikom pamiątek. Z teki Jana Olszewskiego, Warszawa-Kraków 1905: Zamek w Chęcinach i Pieskowej Skale oraz portret Michała Zebrzydowskiego, © Wikimedia Commons

miejsc, gdzie są... czaszki. Pamiętamy oczywiście, że były czaszki na ekranie! Idealnie podobne do skalnych kamieni, ujawniały swój makabryczny charakter, gdy kamera zbliżała się do nich, gdy z bliska okazywało się, że czarne ślady w białych kamieniach to nie resztki ziemi, ale oczodoły i krzyczące bezgłośnie jamy ust. Tak mocna była sugestia obrazowa. Tak naturalne było trwanie tych czaszek i innych śmiertelnych kształtów wśród kamieni. Dobrze, że nikt nie pytał o wisielców. Bo przecież też byli! I też wyglądali naturalnie, choć kruki wydlubowały im oczy i wyciągały wnętrzności.

\*

Gdy polski hrabia Jan Potocki pisał jedyną w swoim rodzaju, słynną potem na cały świat awanturniczą opowieść o losach Alfonsa van Wordena, młodego kapitana gwardii walońskiej króla Filipa V, na pewno nie myślał o Orlich Gniazdach jako o miejscu akcji. Obieżyświat i wędrowiec, błyskotliwy gawędziarz i utalentowany pisarz przedzierał się odważnie ze swoim bohaterem od Saragossy do Madrytu, snując po drodze opowieści, ukryte w innych opowieściach, a te – jeszcze w innych, budując „szuflady” fabuły, drabinki strachów i zdarzeń, gdzie najwięcej było zbójców, upiórów, kabalistów i filozofów. A tacy mogli

znajdować się wszędzie. Taki to był czas. Początek XIX wieku, czyli jeszcze oświecenie, a już zapowiedź romantyzmu. Jeszcze mądre sentencje filozoficzne, a już strachy i widma.

Musiąco upłynąć sporo czasu, by pojawił się taki artysta, który zrozumiał, że te opowieści są genialnym i gotowym materiałem na film. Gotowym scenariuszem. Trzeba wziąć kamerę, stanąć wśród ostańców Orlich Gniazd, a opowieść wysnuje się sama. To Wojciech Jerzy Has, jedyny, który w to wierzył, nawet wbrew malkontentom. Krakowianin o bujnej wyobraźni i odwadze skojarzeń. Przede wszystkim obrazowych. Kraków bardzo tego artystę cenił, ba, szczycił się Hasem, uważał reżysera za swój skarb, za rzeczywisty dowód na to, że nasze miasto może być miastem filmowym.

A wtedy nie było to jeszcze takie pewne. Ale i pod tym względem Has sprawdził się idealnie! To była połowa lat 60. minionego wieku, a więc czas, gdy po wielkiej światowej karierze polskiej szkoły filmowej i jej polityczno-historycznych rozliczeniach trzeba było rodzimą kinematografię wymyśleć na nowo. Dobrze się złożyło, że tym nowym pomysłem okazał się Has. Był malarzem po krakowskiej akademii, skończył ją w nie najlepszym czasie, bo wtedy, gdy nazywała się

Kunstgewerbeschule, ale jej tradycja warsztatowa i umiejętność poznawania prawdziwej sztuki były wtedy takie same jak wcześniej. Tę samą szkołę, w tym samym czasie skończył inny wielki malarz, bardziej tu interesujący jako scenograf, też z Krakowa, Jerzy Skarżyński. Has po Akademii skończył jeszcze Filmowy Warsztat Młodych, czyli pierwszą w Polsce szkołę filmową, która powstała w Krakowie przy ul. Józefitów 16 już w 1945 roku. Skarżyński zajął się teatrem. Spotkali się przy *Rękopisie*. Has – już z pewnym dorobkiem filmowym, zaskoczony znakomitym przeniesieniem do polskiego filmu estetyki ekspresjonizmu, gry światła i cienia (od debiutanckiej *Pętl!*). I Skarżyński z genialnym wyczuciem surrealizmu, który zaowocuje za chwilę we wspólnym dziele obu artystów, czyli w *Sanatorium pod Klepsydrą*.

Ale na razie jest *Rękopis*, czyli niezwykła gra otwartej przestrzeni, zaaranżowanej bajkowo przez scenografa, gra kostiumów

*Rękopis* Hasa dowodzi, że polskie kino było kiedyś wystawne, bogate, niezależne, świadome tego, co to znaczy grać z wyobraźnią, posługiwać się erudycją, odwoływać się do kultury i do fantazji.

i zbioru fabuł rozgrywanych plastycznie, w zmienności różnych stylów. Doskonałe współgranie wszystkich elementów było niezwykłe, a na dodatek lekkość humoru, z jakim Has potraktował dorobek polskiego kina, począwszy od zaangażowania Zbyszka Cybulskiego, tragicznego bohatera polskiej szkoły filmowej, tu, pierwszy raz, w kostiumie historycznym i z całą jego radosną niezdarnością wobec przyrody, wobec stałej obecności przy nim konia, wobec nigdy niekończących się opowieści i baśniowej postaci kapitana van Wordena, którego zagrał. Tylko Has wiedział, że Cybulski może to zrobić brawurowo! I zrobił! Bawili się swoimi rolami wszyscy aktorzy. Bogumił Kobiela, Franciszek Pieczka, Gustaw Holoubek, Kazimierz Opaliński, Adam Pawlikowski, Leon Niemczyk, Krzysztof Litwin i – jak zawsze i jak zwykle – wspaniały Zdzisław Maklakiewicz. A przecież nie można nie wymienić leciutkich jak hiszpańska korona ról damskich: Igi Cembrzyńskiej, Joanny Jędryki, Elżbiety Czyżewskiej, Beaty Tyszkiewicz, Barbary Krafftówny i wielu innych.

Ten film wzbogacił twórczość Hasa i tych artystów, którzy jego pomysł podjęli. Wzbogacił także wizualnie Jurę. Od tamtego momentu stała się ona scenografią Hasa – żyje wielością jego, czyli też swoich opowieści.

Równocześnie *Rękopis* zmienił polskie kino. Stało się lekkie, brawurowe, otwarte na kształt, który przynosi mu świat zewnętrz-

ny. Pamiętam, jak przed laty powiedział mi w wywiadzie Jerzy Skarżyński: „Zobaczyłem i sprawdziłem, jak bardzo procentuje to, gdy twórca jest otwarty na różne wpływy, gdy nie boi się zmian, gdy potrafi je wspaniale wykorzystać. Myślę, że dla każdego z nas ważne jest to wszystko, co nieustannie tworzy i wyostrza naszą wrażliwość”. To właśnie stało się z polskim kinem po *Rękopisie*. To stało się z Jurą po tej realizacji.

\*

Pamiętam „powtórna premierę” tego najbardziej krakowskiego i najbardziej światowego filmu, arcydzieła wszech czasów, jak mówiono. To była połowa lat 90. XX stulecia, w 30. rocznicę rzeczywistej premiery. Udało się ściągnąć do Krakowa Hasa, już rektora Łódzkiej Filmówki, i jego wszystkich, rozproszonych po polskim kinie artystów. To wtedy nowa, młoda widownia odkryła, jak niegdyś ich rodzice, świeżość i nowoczesność tego filmu. Jego ponadczasową doskonałość.

Gdy dziś patrzę na listę realizatorów *Rękopisu*, którzy wówczas przyjechali na ten jubileusz, to żal serce ściska. Był, powtórzmy, Wojciech Jerzy Has, ale byli również: doskonały Jerzy Skarżyński, scenarzysta – pisarz Tadeusz Kwiatkowski, świetny operator Mieczysław Jahoda, a wśród aktorów – Gustaw Holoubek, Leon Niemczyk, Krzysztof Litwin... i „pół Piwnicy pod Baranami”.

Pamiętam, z jakim wzruszeniem patrzyła publiczność na tych zasłużonych artystów, którzy mówili o tym filmie, jakby zachwycali się albumem starych zdjęć z młodości, a więc chyba jednak jako o niezwykłym zdarzeniu z przeszłości. Publiczność tamtego spotkania patrzyła jednak inaczej – z zaskoczeniem. Bo można było zobaczyć, że polskie kino było kiedyś wystawne, bogate, niezależne, świadome tego, co to znaczy grać z wyobraźnią, posługiwać się erudycją, odwoływać się do kultury i do fantazji. Tak było. I ta finezja stała się odkryciem. Aktualną potrzebą.

Warto o tym pamiętać nawet wtedy, gdy będziemy się wygrzewać w słońcu Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Bo to nadal są cenne wartości dla kina.



**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Weronika Świętek, *Post-naturalne*, plastelina i modelina na korze

# Śniegu już nigdy nie będzie

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: Lava Films, Match Factory Productions/za wiedzą i zgodą dystrybutora

**W domach z betonu nie ma wolnej miłości... Piosenka Martyny Jakubowicz była jednym z pokoleniowych hymnów. Tej miłości wciąż nie ma: w domach z betonu i w willach z basenem. Nie ma jej także w kinie, może zwłaszcza w kinie, bo w końcu niemiłość jest bardziej fotogeniczna niż wzajemność. W *Śniegu już nigdy nie będzie* Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta niemiłość pławi się w luksusie. A ten luksus to oczywiście ściema.**



Często tak miałem. Jadąc jako pasażer samochodem, przed wieczorem, przed nocą, zza szyby przyglądałem się innym szybom. Świat zza mijanych domów i okien w tych domach. Zza firanki, zazdrostki, zza fikusa. Nie widać było wiele. W sam raz tyle, żeby zobaczyć ostre światło, zgarbiony cień człowieka, najczęściej włączony telewizor (inny hit pokoleniowy – „szyby niebieskie od telewizorów”), stół, na stole obrus, na obrusie cukiernicę. Nie, teraz zmyślam, cukiernicy nie widziałem nigdy. Nie wiem, kiedy to się skończyło i dlaczego. Nie wiem, w którym momencie przestałem przyglądać się mijanym oknom, mijanym światłom, mijanym ludziom. Zapomniałem, jakie to było ciekawe. Być może świat w swojej emanacji przestał mnie ciekawić na tyle, że bym przyjmował impulsy niejako z wewnątrz, z cudzego udomowienia, skoro tak wiele jałowego często wysiłku kosztuje mnie udomowienie własne. Tymczasem Englert i Szumowska wciąż tam zagląдают, niejako w moim imieniu. Widzą kwiatek, obrus, cukiernicę. Nie bardzo widzą człowieka, trochę szkoda, ale chyba nie do końca o człowieka im chodzi, w tym kinie ważna jest figura, typ charaktero-

logiczny, i to typ potraktowany dosyć radykalnie, bezceremonialnie, nierzadko z dotkliwym humorem, ale bez empatyzowania. Nie jesteśmy wcale fajni – mówią nam od lat Szumowska z Englertem. Nie tylko śniegu już nigdy nie będzie, ale fajnych ludzi również. Może byli kiedyś, ale to było tak dawno temu, że wszyscy o tym zapomnieliśmy. Tak jak ja zapomniałem o patrzeniu w okno.

Filmowiec, w tym przypadku para filmowców, zerka zatem za okno w moim i w naszym imieniu. Co tam widzą? Mniej więcej to samo, co dostrzegali we wcześniejszych filmach. Zmieniają się wnętrza, zmienia scenografia, ale niezależnie, czy – jak w *Twarzy* – bohaterowie filmów Szumowskiej i Englerta gnieździłi się w mieszkanku z wódką łamaną przez zakąskę czy – jak w filmie najnowszym – chronią się w wypasionych loftach, kładąc się na przenośnym łóżku metafizycznego masażysty, reżyserskiej parze przyświeca ta sama idea. Zobacz, zajrzyj, zauważ i pokaż te typy tak, jak nie pokażałyby ich u nas nikt inny. Bez słowiańskiej nuty bławatnej, ale i bez lokalnej pogardy. Bohaterowie kina Małgorzaty Szumowskiej (oraz Michała Englerta) są przedstawiani wnikliwie,



ostro, ale chyba nie można ich polubić, trudno zrozumieć. Doceniam konstrukt, ale jako widz mam z tym problem.

Sypię zresztą głowę popiołem. Ów opór to zapewne przejaw zdekcentrowania. Oglądamy seriale i filmy amerykańskie, duńskie, hiszpańskie. Tam ambiwalencja wobec bohaterów nie przeszkadza tak bardzo jak w filmach Szumowskiej. Dlaczego? Myślę, że – czy tego chcemy czy nie – jesteśmy zarówno w kinie, jak i w literaturze czy w teatrze przyspawani nieomal do ustalonych matryc opowiadania i pokazywania postaci. Romantyzm przetrwał i ma się dobrze, chociaż mało kto chce się do tego przyznać. Bohater nie może czy nie powinien być obojętny, a relacja twórcy z postacią ma być jawna, ustalona, i jednoznaczna. Szumowska tak nie potrafi. Ona nam ucieka. Często kpi ze swoich bohaterów, ironizuje, zdarza się, że kompletnie ich nie rozumie, a ostra publicystyczna scenariuszowa kreska, obecna w niemal wszystkich jej filmach, byłaby zapewne trudna do wytrzymania, gdyby nie równie ostre, imponujące poczucie humoru, dystans do opowiadanej historii, ale i do samej siebie. Przy okazji pandemicznie spóźnionej premiery *Śniegu już nigdy nie będzie* piszę ogólnie o kinie Małgorzaty Szumowskiej, ponieważ w ostatnim jak dotąd filmie widać jak na dłoni najciekawsze i najbardziej irytujące elementy tej twórczości.

Alec Utgoff, urodzony w Kijowie, raczej drugoligowy hollywoodzki aktor, trafnie został obsadzony jako swego rodzaju medium. Żenia jest mistrzem masażu, odwiedza kolejne mieszkania, zna dobrze lokatorów, zna również tajemnice. Żenia przychodzi ze składanym łóżkiem, zestawem do masażu, milczy. Słucha, ale milczy, a poddający się jego zabiegom mieszkańcu osiedla irracjonalnie czują, że rozumie więcej, rozumie wszystko. Słucha, nie ocenia. Psychoterapia dotykiem.

Żenia jest obcy, tajemniczy, ale to jego klienci, a można ich nazwać również pacjentami, poddają się tej obcości i inności, żeby oswoić własną. W domach z betonu nie ma przecież również wolności. Gnuśniejąca w swojej atrakcyjnej kobiecości matka grana przez Maję Ostaszewską, zimnokrwisty wojskowy (Andrzej Chyra), wycieczkowiczka Ewa (Agata Kulesza), nieradzący sobie z chorobą mężczyzna w średnim wieku grany przez Łukasza Simlata czy może najbardziej tragiczna postać w filmie – właścicielka uroczych buldożków grana przez Katarzynę Figurę są beneficjentami narzuconego im i przyswojonego kodu kulturowego, od którego nie ma odstępstw. Kodeksu, w ramach którego wypracowują własną wolność, niezależność, ucieczkowość, nowe gadzety cywilizacyjne, które tak naprawdę są jedynie następnym zniewoleniem. Stać ich na wiele, ale nie potrafią kupić sobie szczęścia. I dlatego potrzebny jest im ktoś taki jak Żenia: duchowy apostoł z innego świata albo zwykły hochsztapler. W *Śniegu już nigdy*

*nie będzie* nie zadaje się takich pytań wprost, w ogóle pyta się niewiele, pytanie wymaga odpowiedzi, usłyszenia odpowiedzi i zareagowania na nią. A bohaterowie tego filmu nie chcą słuchać, wolą mówić, i dlatego Żenia jest wygodny. On prawie wyłącznie słucha. I, rzecz znamienna, wydaje się być zainteresowany, jest także czuły, skupiony, oddany. Kim jest Żenia? Co miałyby nam, widzom, dać?

Bo jeżeli kino jest przekazem, a kino Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta było przecież zawsze czymś o wiele ważniejszym niż prosta konfekcyjna narracja na określony temat, podsumowana pointą i wzmocniona suspensem, to film najnowszy wydaje się dużo bardziej zwodniczy od poprzednich produkcji tandemu. To oczywiście przede wszystkim podszyta ironią satyra – chwilami błaha, konstrukcyjnie jak gdyby wadliwa, ale przecież także z tych samych powodów fascynująca. Alina Szapocznikow, *nota bene* postać warta filmu, nawoływała w *Testamencie*, żeby każdy podziwiający jej czy też cudze dzieła pamiętał o tym, że każdy śmieć, który można podnieść, poczuć, powąchać, jest dziełem sztuki, jest ważny. W *Śniegu już nigdy nie będzie*, co widać zwłaszcza w sekwencjach onirycznych, znakomicie zainscenizowanych plastycznie i kolorystycznie przez Englerta-operatora, dwie rzeczywistości – dosłowna i pozazmysłowa funkcjonują na równych prawach. Jest przedmiot i jest śmieć. Śmieć jest również przedmiotem wnoszącym określoną treść. Trzeba go tylko poczuć. Śnieg w czerwcu.

*Śniegu już nigdy nie będzie*

**Reżyseria:** Małgorzata Szumowska

**Współpraca reżyserska:** Michał Englert

**Scenariusz:** Michał Englert

i Małgorzata Szumowska

**Zdjęcia:** Michał Englert

**Scenografia:** Jagna Janicka

**Produkcja:** Lava Films, Match

Factory Production

**Dystrybucja:** Kino Świat

**Obsada aktorska:** Alec Utgoff, Maja

Ostaszewska, Agata Kulesza, Weronika

Rosati, Katarzyna Figura, Łukasz Simlat,

Andrzej Chyra, Krzysztof Czeczot



**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Edukacja historyczna, rys. Andrzej Zaręba

# Billy spod Babiej Góry

Tekst: Mieczysław Czuma

**O takich jak on mówi się, że to giganci hollywoodzkiego kina. O nim samym mówi się jeszcze i coś więcej. Są głosy, że to najpotężniejszy reżyser filmowy wszechczasów. O tym, że urodził się w Suchej Beskidzkiej, świat dowiedział się z „Przekroju”.**

Billy Wilder. W rzeczywistości miał na imię Samuel. Ale matka, urzeczona modną wtedy postacią Buffalo Billa, od początku wołała na niego Billy. I tak już zostało. Twórca takich obrazów jak *Bulwar zachodzącego słońca*, *Pół żartem, pół serio*, *Garsoniera*, *Fedora* i dziesiątek innych niezapomnianych dzieł. Oskarowy rekordzista (sześć statuetek), kolekcjoner rozlicznych nagród i nominacji. Przyjaciel Alberta Einsteina, Tomasza Manna, Bertolda Brechta, Ericha Marii Remarque’a.

Jego dziadkowie początkowo zamieszkivali w Wiedniu. Znad Dunaju przenieśli się na brzegi Dunajca, do Nowego Targu. Tu prowadzili interes hotelowy, w którym raczyli gości wiedeńskim apfelstrudlem – smacznym wypiekiem z jabłkami, taką szarlotką. W tym czasie karierę zaczęła robić niedaleka Sucha (wtedy jeszcze nie Beskidzka).

W roku 1878, z okazji 600-lecia monarchii habsburskiej, przystąpiono do budowy biegnącej po północnej stronie Karpat tak zwanej kolei Transwersalnej. Była to 750-kilometrowa magistrała biegnąca od położonej przy zachodniej granicy monarchii Czadcy, przez Żywiec – Suchą – Chabówkę – Nowy Sącz – Jasło – Krosno – Sanok – Zagórz – Stryj – Stanisławów – aż do leżącego na granicy rosyjskiej Husiatyna. Kiedy do Suchej doprowadzono tory z Krakowa (1883), miejscowość stała się ważnym węzłem kolejowym. Rodzice przyszłego reżysera (matka z Nowego Targu, ojciec z Krakowa) przenieśli się wtedy znad Dunajca nad Skawę i w tej położonej na północ od Babiej Góry miejscowości prowadzili dworcową restaurację. Karmili podróżnych smakami wiedeńskiej kuchni – w tym oczywiście apfelstrudlem. Tu w roku 1906 przyszedł na świat późniejszy król Hollywood.

W roku 1911 familia opuściła Galicję i przeniosła się do Wiednia. W stolicy cesarstwa Billy ukończył gimnazjum, studiował prawo, parał się dziennikarstwem. Jako młodzieniec odwiedzał dziadków w Nowym Targu, bywał w Zakopanem, zaglądał do Krakowa. Cały czas czuł się wiedeńczykiem. Nigdy nie przeczył, kiedy przypisywano mu pochodzenie z tego właśnie miasta.

I dopiero Zbyszek Rogowski, dziennikarz „Przekroju”, wydobyl od niego słynne publiczne wyznanie, że urodził się w Suchej. W latach 80. i 90. minionego wieku absolutnie ekskluzywnym towarem „Przekroju” były wywiady Rogowskiego z megagwiazdami zza oceanu. Gregory Peck, Kirk Douglas, Marlon Brando, Jack Nicholson, Dustin Hoffman, Pola Negri, Meryl Streep i dziesiątki innych. Podobno Zbysiu wkładał się w łaski fryzjerów poszczególnych postaci i podczas strzyżenia, golenia, ondulowania

przeprowadzał swoje słynne rozmowy. Z Billy Wilderem kilkakrotnie spotykał się w jego prywatnych apartamentach. Wtedy odkrył przed światem, że mistrz ma galicyjskie korzenie.

W Wiedniu chodził do gimnazjum, studiował prawo, parał się dziennikarstwem. Wszyscy zawsze mieli go za wiedeńczyka. Dopiero na łamach „Przekroju” Billy Wilder wyznał światu, że urodził się w Suchej.

Kiedy wywiad znalazł się na łamach, Rogowski podjął zabiegi, aby któreś z suskich ulic nadać imię Wildera. Nazwano tak krótkie, niezamieszkałe, kilkunastometrowe podejście do budynku dworcowego. O wiele za mało jak na światowego giganta. „Przekrój” zaczął wtedy namolnie namawiać Suchą, aby zaczęła robić interes na sławie swojego ziomka, aby wpisać jego nazwisko w strategię kształtowania obrazu miasta. Aby postać wybitnego twórcy pomagała budować markę i rozpoznawalność tej niewielkiej podbeskidzkiej miejscowości. Aby i apfelstrudel stał się słodką wizytówką tego miejsca. Te podchody nie dały żadnego, ale to żadnego rezultatu. Z ust najbardziej prominentnego z dostojników usłyszałem: „Przecież to był Żyd”. I dopiero interwencje samego Jahwe z najwyższych wysokości sprawiły, że sprawy potoczyły się we właściwą stronę. Zmieniły się czasy, zmienili ludzie. Na płycie rynku położono (w roku 2011) upamiętniającą reżysera tablicę, przy głównej arterii (Mickiewicza 27) działa od marca tego roku Centrum Kultury i Filmu im. Billy Wildera. Podobno zamiaruje się nawet postawić ziomkowi pomnik. Tylko po apfelstrudel wciąż jeździć trzeba do Wiednia...



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

# Jeszcze w zielone

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

**Raportuję z Warszawy. Zielonej Warszawy, w której ludzie tęsknią za sobą nawzajem i za tym specyficznym rodzajem piękna, którego nie da się znaleźć w czterech ścianach, choć da się tu znaleźć prawie wszystko.**

Ja też tęsknię. Zasiedziałe miesiące rujną wrażliwość, tak przynajmniej sama to czuję. Odciskają się na mięśniach, powodują obolały kręgosłup i w ogóle obolałe ciało, które w normalnych warunkach latałoby to tu, to tam, przewietrzało się i dawało więcej kreatywności umysłowi. Czuję się czasem, jakbym długo siedziała w szafie, ściśnięta, skulona. Wszystkie te zgniecione miejsca bolą. Boli też głowa. Lubię napięcie jako stan skupienia, emocji, ekscytacji, ale to niewygodne napię-

Jakimś cudem przegapiliśmy *Rośliny i zwierzęta* w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie, bierzmy pendolino i pędźmy do Wilanowa. Wystawa zadomowiła się na całe lato w Muzeum Pałacu Króla Jana III.

cie, które roznosi się po całym ciele i z którym trzeba żyć, jest nie do zniesienia.

Co zatem zrobić? Lekarz? SPA? Las?

Być może jestem strasznie naiwna, ale wciąż głęboko wierzę, że w takich sytuacjach i ciału pomaga sztuka. Nie każda, nie zawsze i nie każde ciało będzie reagować na nią tak samo, ale jej skuteczności nie doceniamy. Dlatego nie jestem optymistką i nie widzę tłumów rzucających się na koncerty, spektakle, festiwale w pierwszej chwili, gdy będzie to w pełni możliwe. Metodą bardzo małych kroków będziemy to raczej odrabiać latami. Ale małe kroki też się liczą. Zarówno w stronę filharmonii, jak i zielonego parku.

Szukam sobie chwil oddechu. I nadal, mimo wielu lat pracy w kulturze, są w tych poszukiwaniach miłe zaskoczenia. A w czasach, kiedy podążamy najczęściej za sławą ludzi lub produktu, mnie uderzyła sława pewnej wystawy, która właśnie zjechała z Krakowa do Warszawy. Podczas krakowskiej ekspozycji mówiło się o niej tak dużo i tak celebrycko, że trudno było tego nie zauważyć. Królowała na Instagramie, była modnym hasztagiem, wszyscy chcieli zobaczyć *Rośliny i zwierzęta*. Naprawdę. Zwykłe i niezwykłe rośliny i zwierzęta, bo z atlasów historii naturalnej w epoce Karola Linneusza. Jeśli jakimś cudem przegapiliśmy to w Międzynarodowym Centrum Kultu-

ry w Krakowie, bierzmy pendolino i pędźmy do Wilanowa.

Wystawa zadomowiła się na całe lato w Muzeum Pałacu Króla Jana III, znakomicie zresztą wypełniając różne jego zakamarki. Kiedyś było to dzikie miejsce zachwytu nad przyrodą. Dzisiaj – środek metropolii, w której wciąż tego zachwytu potrzebujemy. Nie zmieniła się potrzeba uciekania tutaj po rozluźnienie i radość, jaką niosą natura i sztuka. Najlepiej w duecie. Wiedział o tym Sobieski, król-ogrodnik, wspierający ludzi kultury i naukowców. Czujący władca, jak o nim piszą w przebogatych materiałach, towarzyszących wilanowskiej odsłonie *Roślin i zwierząt*.

I teraz najtrudniejsze – jak ubrać w znane słowa to, co można tam zobaczyć. Chyba dobrze, że czasem nam tych słów brakuje. Techniki i kolory, w jakich pokazano naturę, oraz szczegółowość, z jaką ją postanowiono przedstawić, są obłędne. Moje oko jednak najmocniej szukało śladów i dzieł Marii Sibiley Merian, niemiecko-holenderskiej przyrodniczki, podróżniczki, artystki, badaczki flory i fauny, a szczególnie świata owadów, przez wiele lat kompletnie zapomnianej. Kobiety niezwykle nie tylko na swoje, ale i na nasze czasy. Łączą się w jej fascynującej biografii dwie najwspanialsze cechy kobiecości – siła i determinacja w podążaniu własną drogą i łagodność dostrzegania świata w najmniejszych jego elementach, jak na przykład owady, którymi się zajmowała. Na cześć Merian nazwano wiele roślin i zwierząt. Pasję i miłość do przyrody przekazała córkom, a ja mam cichą nadzieję, że trochę z tej mistrzyni sztuki botanicznej może mieć każda dziewczynka, dziewczyna i dorosła pani, która skupi na jej pracach swój wzrok. Właśnie to zrobiłam.

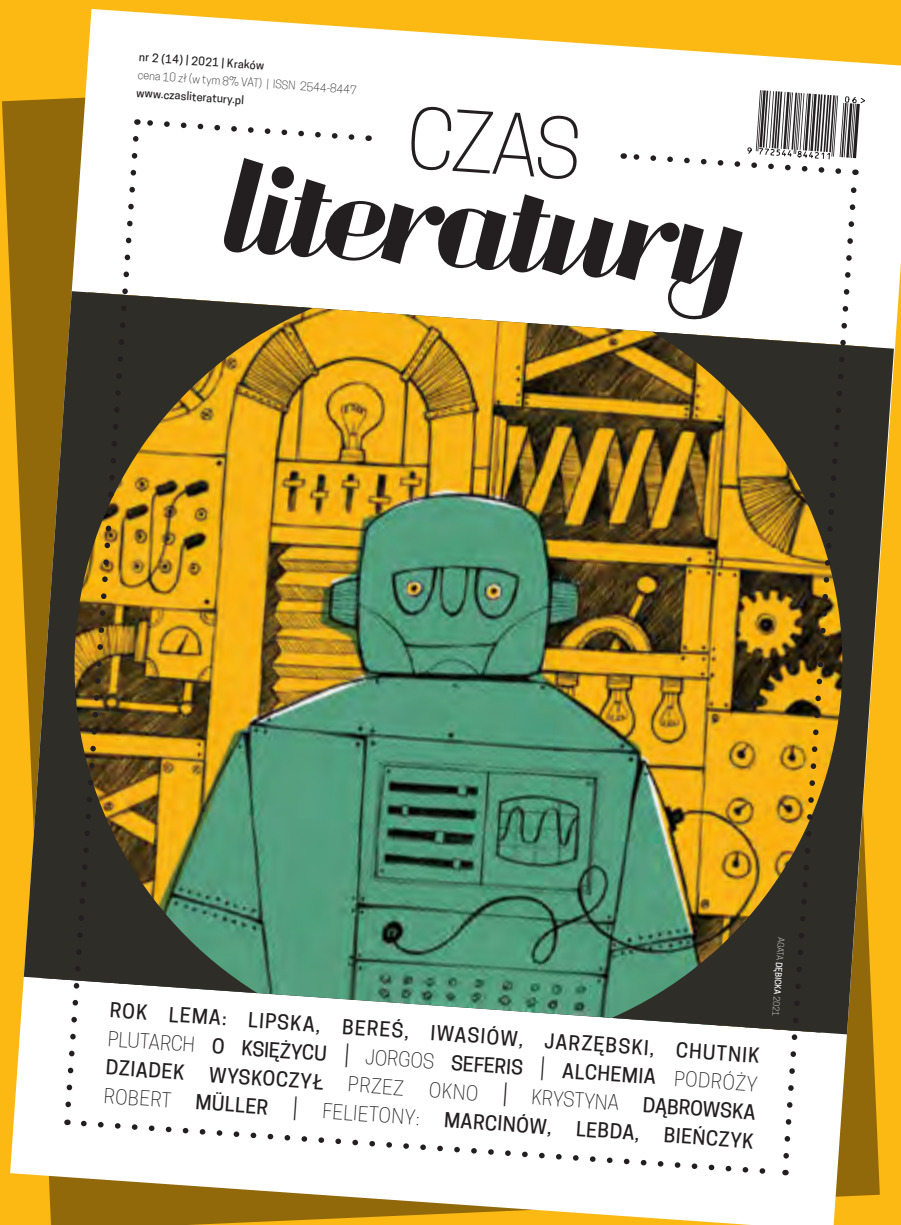
*Rośliny i zwierzęta* pokazują nam dokładnie to, o czym mówi tytuł. Prościej się nie da. Ale piękniej chyba też nie. Tutaj sztuka łączy się z naturą w sposób, który rozrusza i mózg, i ciało. Ta wystawa jest jak lekarz, SPA i las w jednym. Powinna być zapisywana na receptę.



**Magdalena Miśka-Jackowska** – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

# Najnowszy numer „Czasu Literatury” już dostępny

w salonach prasowych,  
w prenumeracie  
oraz na czytnikach.



Kwartalnik wydawany przez Bibliotekę Kraków

[www.czasliteratury.pl](http://www.czasliteratury.pl)  
[www.fb.com/CzasLiteratury](https://www.facebook.com/CzasLiteratury)



Piotr Marecki przy pomocy współautorek Reginy Mynarskiej i Kamili Albin eksperymentuje z formą. Na czym polega eksperyment? Na transkrypcji treści wizualnych na teksty będące zapisem obrazów. Brzmi niezrozumiale? Pozornie. Takie tłumaczenia tekstów, przekładanie ich na język zrozumiały dla osób niedowidzących są zabiegiem znanym i oczywistym. Są to opisy suche, pozbawione emocji, ocen i komentarza.

Na warsztat wzięto tu migawki i klipy z You Tube'a, fragmenty programów i filmów ukazujących różne zdarzenia w Polsce. Eksperyment nosi tytuł *To nie jest Polska*, choć powinien nosić nazwę „A to Polska właśnie”. Autorzy sugerują, że to, co czytamy, może odnosić się zarówno do dnia dzisiejszego, jak i do wczorajszego czy sprzed dekady. Bo to Polska skłócona, rozbita, chora, przerażony kraj Cześniaków i Rejentów, Pawlaka i Kargula, Pawła i Gawła, Konstytucji 3 maja i Targowicy. Polska przełamana na pół sporami, bita przez milicję, ZOMO, policję, zakapturzonych kiboli czy fanatycznych narodowców. Nic się w Polsce nie zmienia z upływem czasu. Tak samo protestujący wylegają na ulice, tak samo są represjonowani, nawet wspólne nieszczęścia nie są w stanie skonsolidować tak rozbitego kraju. Jaka jest wymowa tej książki? Może: „Opamiętajmy się, opamiętajcie się”?  
Elżbieta Wojnarowska

Człowiek od wieków zastanawia się, czym jest szczęście. Bogdan Frymorgen pisze o szczęściu właśnie, choć gdyby go o to zapytać, zaprzeczyłby zdziwiony. A jednak tak się czyta jego opowieść. O szczęściu, które posiadał, a z czego nie do końca zdaje sobie sprawę. A może zdaje, tylko przez skromność zaprzecza? *Okruchy większej całości* są zapisem pamięci. O ludziach, zdarzeniach. O przyjaźni, czułości, tęsknocie, żalu, gniewie, o okrucinach, z których składa się życie. To pamięć fotograficzna. I trudno się dziwić, Frymorgen to wszak znakomity fotografik.

Pisze o sobie, lecz nie jest to autobiografia. Tylko zapis. Jak album ze zdjęciami, który przeglądamy wraz z nim. Pojawiają się obrazy, które dawno powinny mu umknąć. I faktycznie większość umknęła. Ale z tych, które zostały, wyłaniają się zamglone nieco, a potem coraz wyraźniejsze kontury. Dzieciństwo na wsi w czasach PRL-u, młodość, dojrzałość. Spisane w czasie pandemii nostalgiczne wspomnienia świata, którego już nie ma, a który Frymorgen pieczołowicie odtwarza, wręcz na nowo stwarza. Melancholijna subtelność tych zwierzeń urzeka i unosi w świat tyleż nierzeczywisty, ile realny. Istniejący i nie. Frymorgen błądzi po dawnych ścieżkach, próbując odszukać ślady minionego. I znajduje je albo nie. Ale to, co pozostało, to i tak bardzo wiele.  
Elżbieta Wojnarowska

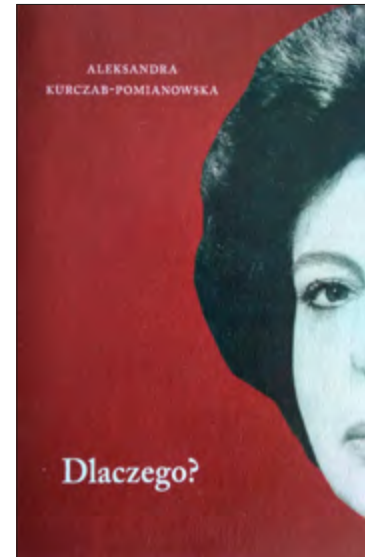
„Muzeum musi mieć »duszę«, jakkolwiek staroświecko by to nie brzmiało, pracować w nim winno się dla siebie i innych, dla sprawy, a nie dla zysku. (...) Najważniejsze zaś to zdawać sobie sprawę z tego, że na muzeum oraz muzealnikach spoczywa wielka odpowiedzialność wobec społeczeństwa – tego dziś i tego jutro. (...) Nie należy się więc poddawać jakimkolwiek ideologiom i bieżącej polityce. Nie wolno pozwalać sobie na manipulowanie widzem, historią, sztuką. Trzeba natomiast starać się właściwie odczytywać przesłanie Izabeli Czartoryskiej: Przeszość przyszłości” – pisze Zofia Gołubiew w eseju poświęconym podsumowaniu swojego dyrektorstwa w krakowskim Muzeum Narodowym. Tekst ważny, ale ta książka-raport ważna jest w całości. Ileż tam się działo! Ot, *Od Maneta do Gauguina. Impresjoniści i postimpresjoniści z Musée d'Orsay* (2001 rok – 141 000 widzów), *Turner. Malarz żywiołów* (2011 i 66 871), *Legiony Polskie 1914–1918* i widzów 52 602. (Mnie najbardziej jednak wzrusza mała wystawa *Zawsze pod ręką. Torebki damskie od średniowiecza do współczesności* w Arsenale Czartoryskich...).

Dobrze, że taki raport powstał, bo pokazuje, jaki jest potencjał kulturalnego Krakowa. I aż żal, że w dobie budowania w sieci całych światów, nie udało się zamieścić tam tych wystaw w wersji wirtualnej.  
(wb)

Zofia Gołubiew, Piotr Wasilewski, *Nasz wspólny dom. Muzeum Narodowe w Krakowie w latach 2000–2015*, Muzeum Narodowe w Krakowie – Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, Kraków–Warszawa 2021.

Piotr Marecki, Regina Mynarska, Kamila Albin, *To nie jest Polska*, Korporacja Ha!art, Kraków 2021.

Bogdan Frymorgen, *Okruchy większej całości*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2021.



„Zostałam sama, jeśli nie liczyć par-trzących z niechęcią zmokłych owiec. Mżawka zmieniała się w deszcz, a ja przymknęłam oczy, odpychając niechciane myśli, które zalewały mnie jak fale wzmagającej się ulewy. Broniłam się przed nimi przez cały wczoraj-szy dzień i całą noc, a teraz wreszcie mnie dopadły”.

Choć niby dzieje się wszystko w le-cie, ale widać to jedno z tych lat, które są mokre i dżdżyste – co chwilę sma-ga twarze bohaterów zimny wiatr tatrzański, a ręce grabieją. Ponura zbrodnia i tajemnica nastoletniego chłopca, który nie miał prawa jej prze-żyć. I główna bohaterka, doświadczona policjantka Lesińska, specjalistka od spraw pokreconych, która ma Zło wyciągnąć na światło dzienne, a która sama niesie swoje cierpienie – niedaw-ną, nagłą śmierć męża.

Tu wszystko zanurzone jest w sosie kłamstwa, tajemnic sprzed lat, mroku i zbrodni. Gdy czytasz kryminały Kań-toch, to niespodziewanie budzisz się w Polsce, o której może słyzałeś, ale w której tak naprawdę nigdy, przenig-dy nie chciałyby się znaleźć.

Kilka tygodni wcześniej pisarka do-stała prestiżową Nagrodę Wielkiego Kalibru 2021 za *Wiosnę zaginionych* – tom pierwszy trylogii sensoryjnej, opi-sującej mroczną, smutną Polskę (*Lato* to tom drugi). A wcześniej napisała genialną *Wiarę*, w której Kościół, re-ligia, zbrodnia i zło niezbyt daleko leżą od siebie.

Czytajcie Kańtoch – to wielki pisar-ski talent. (wb)

Anna Kańtoch, *Lato utraconych*, Mar-ginesy, Warszawa 2021.

„Na kartach tej książki opowiadałem przede wszystkim o Izraelu końca lat 60. i początku 70. (ubiegłego wieku). Od tamtego czasu wiele się zmieniło. (...) Tel Awiw jest miastem tak kosmo-politycznym jak mało które na świecie, Jerozolima znajduje się w rękach reli-gijnych fundamentalistów, pokój stał się ulotnym mirażem. Upiory pozosta-ły” – podsumowuje Włodek Goldkorn, który wyjechał z Polski do Izraela jako szesnastolatek w 1968 roku, tam jed-nak sprzeciwiał się polityce wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brze-gu i w Strefie Gazy, a w końcu został wieloletnim redaktorem działu kul-tury włoskiego „L'Espresso”.

Taka biografia powoduje pewnie, że opowieść ta idzie pod prąd obowiązującej dziś oficjalnie w Izraelu interpre-tacji najnowszej historii i linii politycz-nej państwa. Swoje robi też europejska po części perspektywa. Jest zatem nie-zależnie, ba – buntowniczo, i obiek-tywnie, ba – głęboko.

Pojawiają się też wątki polskie. Choć-by przejmujące wspomnienia z wizyty w Jedwabnem i uroczystości roczni-cowych powstania w getcie warszaw-skim. Ale także z wielkiej warszawskiej manifestacji rodzimych faszystów. I re-fleksja: „Patrzę na widzów, którzy ob-serwują ten pochód – rodziny, ojcowie i matki pozwalają dzieciom słuchoać okrzyków umaczanych w nienawiści i przemocy. Boję się tej normalności bardziej niż prawdziwych faszystów”. A dalej: „Upiory, te same co w Polsce i Europie Środkowej, żyją też w Izra-elu. I także w Izraelu pozostają do dzi-siaj miarą wszechrzeczy”. (kb)

Włodek Goldkorn, *Osioł Mesjasza*, Czarne, Wołowiec 2020.

Jest o przedwojnu: getcie ławkowym na Uniwersytecie Jagiellońskim, uro-kach ślizgawki w parku Krakowskim, więzieniu św. Michała dla komunistów powiązanych z Leninem i o żydowskich przedsiębiorcach. A potem o wywóz-ce dziadków przez Sowietów na Sybir i ukrywaniu się rodziców z malutką córeczką w Krakowie, Michałowicach, Ojcowie i Białym Kościele. O powoj-niu: pierwszym teatrze w budowanej Nowej Hucie, strachu przed donosami i łzach po śmierci Stalina. O Tatrze Rap-sodycznym, fenomenie rodzącego się Programu Trzeciego Polskiego Radia i próbach *Dziadów* w reżyserii Kazimie-rza Dejmka. I o marcu '68 – a w efekcie o wyjeździe do Włoch.

Jest o tym, jak tłumaczony był na polski *Archipelag Gułag* Aleksandra Sołżenicyna. Bo jest też o Jerzym Po-mianowskim, życiowym partnerze (najpierw 23 lata „burzliwego” narze-czeństwa, a potem, dopiero w 1987 roku ślub), oraz wielkim propagatorze rosyjskiej literatury i kultury – zwłasz-cza Babla, Bułhakowa, Mandelsztama i Brodskiego. A także znajomym Wit-kacego i Gombrowicza, współpracow-niku paryskiej „Kultury”, a po 1989 roku twórcy „Nowej Polski”, pisma nieoce-nionego dla relacji polsko-rosyjskich.

Jest wreszcie o współczesnej Polsce – i tym, co dzieje się znowu z mentalno-ścią rodaków. „Gdyby czegoś zdołali nas nauczyć Homer, Szekspir, Camus to by-libyśmy aniołami...” – zauważa w trak-cie prowadzonej ze swadą, ale i ciepłą ironią oraz mądrym dystansem opo-wieści o swoim życiu Aleksandra Re-dlich-Kurczab. (kb)

Aleksandra Kurczab-Pomianowska, *Dlaczego?*, Austeria, Kraków–Buda-peszt–Syraquzy 2021.

# Jarosława Mikołajewskiego wiersze nie tylko czasu epidemii

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Od początku było oczywiste, że czas pandemii stanie się tematem literackim. Od początku też było jasne, jak ryzykowna to sprawa. Jarosław Mikołajewski opisuje jednak człowieka w czasie pandemii mądrze i z wielką wrażliwością. A zatem przejmująco.**

Dochodziły jakieś wieści o epidemii w Chinach. Potem wiadomość, że cudzoziemcy stamtąd wyjeżdżają. I zrobiło się smutno na myśl o Chińczykach, od których świat uciekał jak od umierającego starca – tak brzmi wstęp do wiersza *Opuszczają cudzoziemcy miasto Wuhan* z taką oto obserwacją:

(...) Z miasta Wuhan  
cudzoziemcy odchodzą

mają rację  
i święte prawo do odejścia  
mieszkańcy Wuhanu nie mają pretensji  
a przecież smutno jest temu co patrzy (...).

Na podobnej zasadzie – wierszy poprzedzonych autorskimi minikommentarzami – zbudowana jest spora część tego tomiku. Czasem zresztą owe didaskalia mogłyby być samodzielными utworami. Ot, choćby obserwacja: „Jeździliśmy jeszcze do pracy i nagle zwykłe słowa pożegnania w tunelu metra zabrzmiały inaczej”.

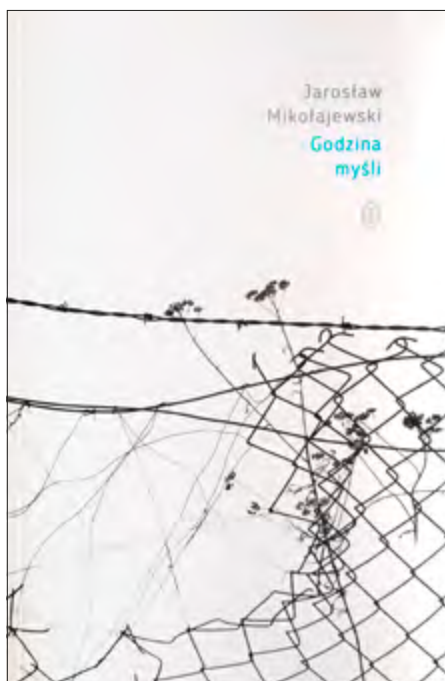
Bynajmniej jednak to nie pandemia jest główną bohaterką. Mikołajewski traktuje ją jedynie jako punkt wyjścia rozważań o człowieczej kondycji i o tym, co okazuje się najważniejsze. A zatem o śmierci i przemijaniu. O miłości i przyjaźni („Przychodzą do mnie zmarli, którym za życia nie spłaciłem długu” – chociażby *Zdzisiek*:

Za którymś razem kiedy do mnie zadzwonił  
A ja nie odebrałem  
Bo byłem w czasie kiedy nie odbieram  
(prócz tego mówił szybko i bardzo nieskładnie)  
Kolega który żył z tego  
że pisał doktoraty dla gorszych od siebie  
wysłał esemesa  
czy myślisz że ty nigdy nie umrzesz  
to nie było pytanie  
to było przekleństwo  
(...)  
po kilku miesiącach on przede mną umarł  
(...).

O relacjach i obowiązkach rodzinnych (czułe *Wspomnienie ojca przy wigilijnym stole* i poświęcona mamie piękna opowieść *Święta panno nad pannami* z uwagą: „Nie mogę przychodzić do mamy, żeby jej nie zarazić. Ma 86 lat. Jeżdżę pod jej dom, stoję pod oknem, rozmawiamy przez telefon, widząc się przez podwójną szybę”). Ale też o literaturze (i czytaniu wciąż tych samych „poetów najbliższych”) oraz aktualnej polskiej (*Faszystowski marsz*) i światowej rzeczywistości (*Wierzchołek niedosięgniętej świętej góry Syzyf*) – w sumie też mocno pandemicznej, choć w przenośnym rozumieniu słowa.

I takie zdanie – zasadne zawsze, tak w czasie zarazy, jak w czasie zwykłym:

będziesz całym sobą przy swej własnej  
śmierci



Jarosław Mikołajewski, *Godzina myśli*. Wiersze czasu epidemii, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.





# Polański, Horowitz i śmiech przez łzy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Robert Służniak/KRK Film.com (za zgodą organizatorów)

Są w życiu sytuacje, kiedy nie pozostaje już nic innego jak śmiech przez łzy. Doświadczyli tego powracający do swojego krakowskiego dzieciństwa dwaj wybitni artyści, których możemy oglądać w filmie *Polański i Horowitz. Hometown*. Jego premiera odbyła się na 61. Krakowskim Festiwalu Filmowym.

Autorom obrazu Mateuszowi Kudle i Annie Kokoszce-Romer udało się doprowadzić do spotkania przyjaciół z dzieciństwa, reżysera Romana Polańskiego i fotografa Ryszarda Horowitza. Obydwaj zrobili światowe kariery, widywali się więc w najróżniejszych miejscach, ale rodzinnego Krakowa nie odwiedzili razem przez 50 lat. Teraz dwóch starszych, ale wciąż pełnych wigoru panów, śledzonych okiem kamery, wyrusza w podróż w czasie, po dobrze znanych ulicach, które były świadkami ich zabaw, ale też tragedii.

Wystarczy tylko przypomnieć, że poznali się za murami getta, na urodzinach trzyletniego wówczas Rysia. Jego rodzice jakimś cudem zdobyli kakao, które udało się ugotować na odrobinie mleka. Roman Polański przypomina sobie teraz, że Rysiu nie chciał go pić, bo mu nie smakowało. Reżyser opowiada o tym, niemal trzymając się za brzuch ze śmiechu, bo bardziej absurdalnej sytuacji w warunkach getta chyba nie można sobie wyobrazić.

Podobnie jest z wyprawą na cmentarz, gdzie jest pochowany ojciec filmowca, i z opowieścią o firmie Bongo, jedynej, która mogła przetransportować do Krakowa zwłoki zmarłego w Paryżu Polańskiego seniora. Do tego dochodzili pijani grabarze, którzy nie chcieli nieść trumny, więc syn z kolegami musiał sam sobie poradzić. Tylko że Romek był od nich niższy. Z tej przyczyny trumna zsuwała się mu z ramion, co groziło katastrofą. Trudno o tym opowie-

dzie spokojnie. Można to zrobić ze łzami w oczach bądź ukryć wzruszenie za salwami śmiechu, co robią bohaterowie obrazu.

A mają jeszcze wiele takich historii. W końcu Ryszard Horowitz jako małe dziecko trafił do obozu w Auschwitz, a Roman Polański do końca wojny ukrywał się najpierw w Krakowie, a potem we wsi Wysoka. Przez lata nie mógł odnaleźć małżeństwa Buchałów, którzy ocalili mu tam życie. Dopiero twórcy filmu trafili na ich wnuka, a reżyser doprowadził do przyznania swoim wybawcom medalu Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata, co także możemy zobaczyć w dokumencie. Występuje w nim również siostra fotografa Niusia Horowitz-Karakulska, z którą bohaterowie obrazu oglądają mieszkanie w Rynku. Po wojnie wspólnie w nim mieszkali. Tu przyszły reżyser i fotografa dokonywali pierwszych prób wywoływania zdjęć, co stało się początkiem ich drogi twórczej. Drogi, która być może potoczyłaby się inaczej, gdyby nie krakowskie doświadczenia i kształtowana w tym czasie wrażliwość. Mają tego świadomość, podobnie jak zdają sobie sprawę, że przeżycia z dzieciństwa wciąż mocno w nich tkwią i że nieustająco muszą sobie z nimi radzić. W filmie znaleźli na to sposób. Śmieją się przez łzy.

*Polański i Horowitz. Hometown*, reż. Mateusz Kudła i Anna Kokoszka-Romer, premiera na 61. Krakowskim Festiwalu Filmowym.



## Kwaśny smak jabłek

Tekst: Janusz M. Paluch Zdjęcie: Ewelina Nowakowska (archiwum rodzinne)

**Ojczyzna jabłek Roberta Nowakowskiego jest opowieścią o powojennym dramacie społeczności Łemków i Bojków żyjących w Bieszczadach. Po zakończeniu II wojny światowej wybuchły tam walki między ukraińskimi partyzantami z UPA a polskim wojskiem i milicją.**

L iteracka wizja Nowakowskiego pochłania czytelnika bezgranicznie, wielu zmusi do weryfikacji spojrzenia na tamte lata utrwalone w literaturze choćby przez głośne swego czasu *Łuny w Bieszczadach* Jana Gerharda. Nie będzie to łatwa lektura.

Autor przywołuje magię bieszczadzkiej krainy, gdzie w Pasice mieszka rodzina Rabików, a w Bereźnicy Niżnej miłość Jelka Rabika – Nina. Opowieść zaczyna się od tragicznej śmierci ostatniego chmarnika – Maksyma Tymczuka, walczącego ze złym duchem – propastnykiem, odpędzającego groźne burzowe nawałnice, aby chronić ojczyznę jabłek, „pagórków, leniwych rzek, cierpkiego wina i miłości”. Zastrzelili go żołnierze idący do Pasiki, prześmiewając się z miejscowych zabobonów. Przed największą burzą, jaka nadciągała nad „ojczyznę jabłek” nie miał ich już kto uchronić.

Najbardziej ucierpiała miejscowa ludność, Łemkowie i Bojkowie wysiedleni w ramach Akcji „Wisła” na tak zwane Ziemie Odzyskane albo zmuszani do przesiedlenia się do ZSRR. Byli bestialsko traktowani zarówno przez ukraińskie oddziały partyzanczyki, jak i zwalczające je oddziały Wojska Polskiego. Podejrzanych o wspieranie UPA więziono w obozach tworzonych na bazie poniemieckich obozów koncentracyjnych. Propaganda państwowa z przesiedleńców bieszczadzkich zrobiła niebezpiecznych bandytów, Ukraińców z czarnym podniebieniem. Nie było to trudne, wszak na Ziemiach Odzyskanych osiedla-

no też Polaków, kresowych ekspatriantów, którzy cudem przeżyli celową eksterminację, ludobójstwo na Polakach dokonane przez OUN i UPA głównie na Wołyniu. Poniżani, osiedlani w najgorszych warunkach, rozrzućani po różnych miejscach Polski nie byli w stanie się zaaklimatyzować, tęsknili do swej magicznej, nieistniejącej już, „ojczyzny jabłek”.

W opowieść nieprzypadkowo włączony jest wątek żydowski. W bieszczadzkiej głuszy, w biednej rodzinie Rabików przez całą wojnę ukrywał się mistyczny Mozesz, syn znanego rabina z Bobowej. Z kryjówek odważył się wyjść dopiero kilka tygodni po opuszczeniu Pasiki przez Rabików, gdy skończyły się wszelkie zapasy żywności i nikt nie pojawiał się w opuszczonej wiosce. Choć docierały do niego informacje o tym, jak potraktowani zostali Żydzi przez Niemców, długo nie był w stanie pojąć ogromu zbrodni dokonanej na jego narodzie.

*Ojczyzna jabłek* to opowieść nie tylko historyczna. Dramat wysiedleńców przecież trwa – Bałkany, Ukraina, Afryka...

Po wioskach Bojków pozostały tylko zdziczałe jabłonie w leśnej głuszy...

Robert Nowakowski, *Ojczyzna jabłek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Książka wyróżniona została nagrodą Krakowska Książka Miesiąca Czerwca

### ■ Cieszymy się razem z Austerią

Ta nagroda szczególnie nas cieszy, bo otrzymała ją zaprzyjaźnione z miesięcznikiem „Kraków” wydawnictwo Austeria. Poza tym to nie byle co dostać prestiżowe wyróżnienie „Literatury na Świecie”. Nie wspominając o tym, że Austeria otrzymała aż dwie nagrody: w kategorii „Inicjatywa wydawnicza” i w kategorii „Literaturoznawstwo, translologia, komparatystyka”.

Jury pod przewodnictwem Jerzego Jarniewicza doceniło publikację *Dzieł zebranych* Josepha Rotha, co jest bez wątpienia osobistą zasługą Wojciecha Ornata. Właściciel Austerii jest zakochany w austriackim pisarzu, a teraz zaraża nim innych. Ci, którzy do tej pory znali jedynie *Marsz Radetzky’ego*, mogą się już rozkoszować tak fantastycznymi pozycjami jak *Hotel Savoy* czy *Historia tysiąca i drugiej nocy*.

Z kolei *Atrapy stworzenia* Piotra Pazińskiego to zbiór esejów, którym także patronuje Joseph Roth i jego wizje rozpadającej się monarchii habsburskiej. Pisarzowi blisko jest też do myśli Brunona Schulza, że „dzieło stworzenia powtarza się tylko jako własna atrapa i tylko w atrapie udaje się przedstawić i uchwycić życie w jego nieskończonych przejawach”. Na dodatek *Atrapy stworzenia* nominowane są do Nagrody Literackiej Gdynia.

Jak wydawać dobre książki to tylko w Austerii.

### ■ Wielki Kaliber w ręku kobiety

Podczas Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, bliskiego nam choćby z tego względu, że niedługo odbywał się w Krakowie, po raz kolejny wręczono Nagrody Wielkiego Kalibru. Tym razem wyróżnienie przypadło jedynej kobiecie wśród nominowanych – Annie Kańtoch za powieść *Wiosna zaginionych*. To opowieść o emerytowanej policjantce, która jako młoda dziewczyna straciła w tajemniczych okolicznościach brata. Zaginął on w 1963 roku podczas studenckiej wyprawy w Tatry. Po ponad pięćdziesięciu latach Krystyna niespodziewanie spotyka w osiedlowym sklepie w katowickim Nikiszowcu mężczyznę, który jako chłopak uczestniczył w tragicznie zakończonej wędrówce. Tylko że on niebawem zostanie zamordowany. Bo tak to w kryminałach bywa.

### ■ Złoty Róg dla młodej reżyserki

Kto obejrzy *Dalekowschodnią golgotę* – film Julii Serginy, 26-letniej reżyserki z Rosji, nie będzie miał wątpliwości, że nagroda Złotego Rogu dla najlepszego dokumentu Krakowskiego Festiwalu Filmowego powinna trafić właśnie w jej ręce. To historia Wiktora Toropcewa, taksówkarza i blogera z Kraju Chabarowskiego, który podejmuje walkę z lokalną korupcją i zastraszaniem niepokornych. Te sytuacje są na porządku dziennym w miejscu, gdzie żyje. Można się im poddać albo przeciwstawiać się wszechogarniającej beznadziei, tak jak robi to bohater filmu. Do walki

wykorzystuje kanał na YouTube, pomagający mu zwracać powszechną uwagę na nieprawidłowości. Amerykańska Akademia Filmowa powinna zwrócić uwagę na reżyserkę *Dalekowschodniej golgoty*, bo Złoty Róg jest przepustką do oscarowych nominacji.

Z kolei Złotego Smoka, czyli główną nagrodę w konkursie filmów krótkometrażowych, otrzymał izraelski duet Michelle Kranot i Uri Kranot za przepiękną animację *Kat w domu*. Twórcy pokazali losy pięciu pozornie niezwiązanych ze sobą postaci z wiersza Carla Sandburga o tym samym tytule, które obserwujemy, kiedy wracają po pracy do domu. Całość prowadzi do przejmującego finału, mającego wymiar wręcz apokaliptyczny.

Wrażenie robi też nagrodzony Złotym Lajkonikiem w konkursie polskim *Spacer z aniołami* Tomasa Wysokińskiego. Reżyser przez wiele lat towarzyszył swojemu bohaterowi, tajemniczemu Jerry’emu, w poszukiwaniu zaginionych w RPA dzieci, czego efekty pokazał na ekranie. Jerry, czyli Jeremiaiah Marobyane był gościem tegorocznego festiwalu, który udało się zorganizować mimo towarzyszącej do końca niepewności związanej z pandemią. Całej ekipie KFF, na czele z Krzysztofem Gieratem, należy się za to również nagroda.

### ■ Tajemniczy Światowid

Ten liczący wieki kamienny słup intryguje do dzisiaj. Rzeźbę odkryto w 1848 roku, kiedy to podczas suszy wyłoniła się z rzeki Zbrucz na Podolu. Potężna statua przedstawia tajemniczą postać o czterech twarzach, patrzących na cztery strony świata. Od razu skojarzono ją ze słowiańskim bóstwem, choć pewności co do jego pochodzenia nie ma do dzisiaj. Mimo to już w XIX wieku staraniem Mieczysława Potockiego Światowid dotarł do Towarzystwa Naukowego w Krakowie i znalazł się na Wystawie Starożytności i Zabytków Sztuki. Teraz jest w posiadaniu Muzeum Archeologicznego, które po remoncie udostępniło obiekt zwiedzającym. Zorganizowało nadto wystawę *Taki inny Światowid* pokazującą, jak wykorzystywano postać bóstwa, którego imieniem nazywa się dziś różne obiekty – kina, statki, a nawet pralki czy radia. Przykłady tego znajdziemy na ekspozycji, która prezentuje też, po raz pierwszy w całości, gipsową formę Światowida wykonaną w 1858 roku przez Walerego Eliasza. By ją zobaczyć, wystarczy wybrać się w lipcu do Muzeum Archeologicznego w Krakowie.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Nadzieja i ułuda

Krzysztof Zajas Kultura – artysta – państwo (Polska po złych czasach)

Kraków i Medal Wolności Mediów

Podróż do Lwowa

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
**KRAKÓW**

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

**Wybierz Kraków!**

**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków

**Adres Redakcji i Wydawcy:**

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

**www.miesiecznik.krakow.pl**

*W przyjaźni i w miłości dwoje ludzi podnosi  
razem ręce, aby schwycić coś, czego nie  
zdołaliby osiągnąć osobno*  
(Khalil Gibran)

## Pamięci Pawła Szweda

twórcy wydawnictwa Wielka Litera  
i wydawcy wielu naszych książek,  
przyjaciela miesięcznika „KraKów”  
od pierwszych naszych chwil w nim i naszego  
Przyjaciela od pierwszej chwili spotkania

*Witek i Krzysiek*

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszcachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzeпа, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

**Layout:** Igor Banaszewski

**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec

**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek  
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,  
tel.12/61 89 120

**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków,  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków  
**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!** (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**  
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczegółły na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

## Re: view.pl

– Przepraszam, jak dojść do centrum miasta? – zapytałam pani w recepcji hotelowej w jednym z bułgarskich kurortów. – Centrum? – zdziwiła się. Tu nie ma żadnego centrum. O jednym z tego typu „tworów turystycznych” pisze serwis Re: view.pl, dorzucając garść fotek z pozasezonowego krajobrazu.

<https://thereview.pl/sloneczny-brzeg-pozza-sezonem/>

„Wygazzone okna w hotelowych blokach, zabite dechami budki z pizzą i lodami. Pejzaż dopełniają kilometry wysłużonej folii, w jaką owinięto szeregowo ustawione wzdłuż wybrzeża plażowe bary. Sznury, którymi skrępowano barowe krzesła. Kłódki na zamaryłych flipperach, maszynach do darta czy jednoręcznych bandytach.

(...) Poza sezonem to ponury, zamknięty poligon, którym nie zajmuje się i którego nie pilnuje niemal nikt. Dachami i blachą zabite jest wszystko, nawet restauracje Burger Kinga czy sezonowo działające markety. Na ulicach żywej duszy, kilka bezpiecznych psów, nieco dalej od morza świeci się jedno kasyno, działa mały sklep z znużoną właścicielką, otwarta jest też skromna restauracja z regionalnymi przysmakami”.

## Culture.pl

Jednym z czynników wpływających na jakość życia w mieście jest architektura, któ-

ra podobno oddziałuje na nasze samopoczucie. Dziwi zatem, że miejskie krajobrazy toną w szarościach, skoro to właśnie kolor w pozytywny sposób pobudza nasze zmysły. O kolorze w architekturze przeczytacie na Culture.pl

<https://culture.pl/pl/artykul/od-szarych-murow-do-pastelozy-kolory-architektury>

„W budownictwie na naszym kontynencie współcześnie prym wiodą właściwie tylko dwa kolory: biały i szary. One pojawiają się odpowiednio w 38 i 36 procentach nowych realizacji. Daleko za nimi, z osmioprocentowym udziałem w budownictwie są kolory czarny i brązowy. Zielony, niebieski, czerwony pojawia się zaledwie w 2–3 procentach budynków. Żółty – to już tylko 0,7 procenta budynków, pomarańczowy – 0,2 procenta.

Skąd więc w Polkach i Polakach przekonanie, że to właśnie w naszej architekturze dominuje szarość, skoro po ten kolor skwapliwie wciąż sięgają architekci w całej Europie?

(...) Stosowanie koloru w architekturze jest ryzykowne – można oczywiście nie przejmować się konwenansami i sięgać po żywe barwy bez ograniczeń, na to jednak odwagi starcza niewielu projektantom. Jak pokazuje przykład malowanych bloków – kolor może zaszkodzić, ale można też za jego pomocą wykreować wyjątkowo przyjazne, radosne, bezpieczne przestrzenie”.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

## Marszruta pewnego łośia

Przyzwyczailiśmy się już do wizyt dzikich zwierząt w mieście. Same dziki są tego najlepszym przykładem, sprawiając tu i ówdzie nieco problemów, o czym i nam zdarzyło się napomknąć. Nie powinien więc zdziwić nas pewien incydent z 8 czerwca, ale... Otóż tego dnia w okolicach Czerwonego Prądnika pojawił się łoś we własnej osobie, który przemierzał, raz spacerowym, to znowu szybszym krokiem pewną trasę. I to ona dała nam do myślenia. Otóż zwierzak był widziany na rondzie Barei... Toż to Bareja w czystej postaci! Mamy pewność, że reżyser *Misia* byłby zachwycony. A tak na marginesie, ciekawe, czy gdyby przyszło mu dziś nakręcić satyrę *Łoś*, to kogo uczyniłby jej bohaterem? Mamy kilka typów, ale na razie to przemilczymy. Szczególnie że ciekawy jest też kierunek, który dalej obrał łoś. Otóż udał się on w stronę ulicy Dobrego Pasterza, bynajmniej nie w poszukiwaniu pasterza dla siebie, lecz zakładu kamieniarskiego przy ulicy Powstańców. Nie wiemy dokładnie, jaką sprawę chciał tam załatwić. Wiemy natomiast, że był to koniec jego wizyty w mieście, gdyż bezpiecznie schwytyany przez straż miejską i weterynarza został odstawiony do swojego naturalnego środowiska.

## Lotna Czytelnia znów nadleciała

Takie wiadomości zawsze dodają otuchy, bo z jednej strony świadczą o tym, że świat po kolejnej fali pandemii odzyskuje dawny blask, z drugiej zaś radują serce potrzebą obcowania z książką. Bądźcie więc czujni, bo na początku czerwca na Planty powróciła Lotna Czytelnia! A właściwie jeżdżąca, bowiem wehikułem z książkami jest w tym wypadku rower cargo, który wyrusza sprzed Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, by następnie niespiesznie jeździć po Plantach. Rower ów jest cały wypchany książkami, które każdy może bez zbędnych formalności wypożyczyć, by po przeczytaniu zwrócić do Biblioteki lub do kosza Lotnej Czytelni, w którym znajduje się zwykle około 90 tomów. Bez karty bibliotecznej i bez terminu zwrotu, książki zawsze do Biblioteki powracają, a nawet wzbogaca się ona o nowe, darowane przez czytelników tytuły.

Rower z książkami wystartował z ulicy Rajskiej już ponad 300 razy. Można go spotkać w każdą pogodną środę w okresie wiosenno-letnim. Za każdym razem Lotna Czytelnia wyrusza na trasę z ofertami tematycznymi. Są więc Lotne Czytelnie z dreszczykiem, biografią, romansem, literaturą dla dzieci czy poezją. I jest to pomysł naprawdę najwyższych lotów.

## Lenin sika na dachu

Dawno, dawno temu, w epoce słusznie minionej krążyło z ust do ust takie zabawne powiedzonko, żarcik niewinny: „Koty w marcu, a Lenin w październiku...”. Zresztą dowcipów o wodzu rewolucji było co nie miara, bo, wiadomo, nic tak dobrze nie robi na odreagowanie jak niezły wic. I oto mamy okazję znów się uśmiechnąć na temat Włodzimierza Iljicza, choć tym razem sprawa ma też głębszy podtekst. Otóż na dachu Domu Utopii, najnowszego dziecka Łaźni Nowej i państwa Szydłowskich, stanęła zielona figura Lenina, która jest rodzajem rzeźby-fontanny. Rzecz w tym, że wodotrysk dobywa się z przyrodzenia wodza, budząc skojarzenia z, na przykład, słynnym brusselskim sikającym chłopczykiem, zwanym Manneken Pis. Krakowianie mogli już podziwiać ten obiekt w 2014 roku na placu Centralnym jako gest artystyczny w ramach festiwalu ArtBoom. Większość przyglądających się wtedy Leninowi przechodniów traktowała to jako żart. Za to oburzona grupa krakowskich radnych PiS okleiła rzeźbę folią. W końcu wstydliva fontanna trafiła do ogrodu Łaźni Nowej, a obecnie wspięła się na dach Domu Utopii. Nam ten pomysł się spodobał, gdyż dostrzegamy jego wieloznaczność interpretacyjną. A jego przeciwnikom radzimy, by odrobinę przymrúżyli oko i nabrali dystansu. Wszak gdzie jeszcze na świecie można ujrzeć sikającego Lenina?

## Rzodkiewka pod oknem prezydenta?

– Oj, kochana, wracam właśnie z Kleparza i jestem zdruzgotana cenami niektórych warzyw i owoców – żaliła nam się pewna pani napotkana na ulicy Długiej w drodze z porannych zakupów. Pani Barbara, bo o niej tu mowa, jest emerytką i mimo trzynastych i kolejnych emerytur hojnie wytrzeptywanych z rządowego rękawa, często staje przed dylematem, co kupić, a czego nie. Mamy jednak dla niej dobrą wiadomość: być może już niedługo będzie współposiadaczką warzywnej grządki i to w najściślejszym centrum miasta. Oto bowiem na dziedzińcu Urzędu Miasta Krakowa powstał, a raczej wyrósł, ogród... społeczny. Idea jest prosta i szlachetna: utworzenie zielonej przestrzeni, którą będą kreować sami mieszkańcy. W ten sposób pojawiło się miejsce nie tylko pełne kwiatów i krzewów, ale także sprzyjające uprawom warzyw. Dzięki temu pani Basia będzie mogła przestać oglądać się na aktualny cennik na placu i wyhodować sobie własną rzodkiewkę. Będzie też mogła wpaść do ogrodu, by uwolnić się od zgiełku panującego za jego murami. I jeśli dodać, że przewiduje się tu również imprezy kulturalne, pożytek z takiego miejsca jest nie do przecenienia. Mamy tylko nadzieję, że odgłosy grabi i innych ogrodniczych narzędzi nie przeszkodzą panu prezydentowi w podejmowaniu tak dobrych jak ta decyzji.



Don Chichot, rys. Janusz Stefaniak

# Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”





## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

---

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków  
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków  
Grzegorz Szymański, Warszawa  
Aleksander Skotnicki, Kraków  
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków  
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków  
Adam Michnik, Warszawa  
Janusz Szerla, Kraków  
Grzegorz Kogut, Kraków  
Józef Palinka, Warszawa  
Marek Braun, Kraków  
Krystyna Zachwatowicz, Kraków  
Aleksander Herzog, Warszawa  
Jacek Purchla, Kraków  
Kazimierz Sumera, Zawoja  
Andrzej Gaworski, Warszawa  
Józef Opalski, Kraków  
Halina i Leszek Domańscy, Kraków  
Katarzyna Janowska, Warszawa  
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice  
Stanisław Bisztyga, Kraków  
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków  
Krzysztof Bień, Kraków  
Teresa Bergier, Kraków  
Antoni Legeżyński, Kraków  
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska  
Elżbieta Motas, Warszawa  
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków  
Iwona Ben, Kraków  
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków  
Józef Grudnik, Kraków  
Teresa Pracz, Warszawa  
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków  
Ewa Rusek, Kraków  
Andrzej Wyrobiec, Kraków  
Jarosław Poczykowski, Białystok  
Jadwiga Falkowska, Białystok  
Marcin Barcz, Piaseczno

Tomasz Langie, Kraków  
Tomasz Majka, Zawada  
Jerzy Zoń, Kraków  
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko  
Anna Kosioriewicz, Kraków  
Jerzy Hausner, Kraków  
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków  
Monika Gierko-Libicka, Warszawa  
Rafał Bubnicki, Wrocław  
Dominika Dudek, Kraków  
Wanda Chmielowska, Kraków  
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków  
Gerhard Gnauck, Sulejówek  
Wacław Marszałek, Warszawa  
Piotr Krzywiec, Warszawa  
Gwidon Dziwoki, Kraków  
Waldemar Zakrzewski, Szczecin  
Renata i Wojciech Michna, Kraków  
Andrzej Kuźma, Kraków  
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna  
Konstanty Gebert, Warszawa  
Agnieszka Odorowicz, Warszawa  
Janusz Fogler, Legionowo  
Anna Tyniec, Kraków  
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki  
Małgorzata Maruszkin, Warszawa  
Anna Anderson, Dobczyce  
Marcin Barcz, Piaseczno  
Wojciech Bergier, Kraków  
Ewa Bielecka, Kraków  
Jacek Górski, Kraków  
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice  
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice  
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski  
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków  
Andrzej Łojewski, Kraków  
Andrzej Pach, Kraków  
Małgorzata Pach, Kraków  
Jerzy Loręcki, Kraków

Jan Sady, Kraków  
Róża Thun, Kraków  
Stanisław Dudzik, Kraków  
Artur Romanowski, Kraków  
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków  
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna  
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa  
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa  
Dariusz Borucki, Łomianki  
Alina Kruk, Zielona Góra  
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków  
Mariusz Landowski, Tczew  
Jadwiga Drąg, Paszczyzna  
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała  
Marta Anna Ronne, Uppsala  
Waldemar Smolski, Kraków  
Andrzej Gawłowski, Kraków  
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra  
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków  
Teresa Stowska, Kraków  
Małwina Kopańska, Olsztyn  
Kazimierz Trybalski, Przybysławice  
Anna Kulak, Krzeszowice  
Jerzy Kicki, Kraków  
Andrzej Pienias, Bełchatów  
Alicja Byszkiewicz, Toronto  
Andrzej Mącznik, Kielce  
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo  
Katarina Hard, Staffanstorp  
Alicja Danecka-Chwals, Boston  
Zofia Maciąga, Łędziny  
Tomasz Wojtas, Kraków  
Hanna Dunin-Łabędzka, Jarosław Minałto, Wrocław  
Józef Iskra, Dankowice  
Irena Krzywiec, Kraków  
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów

---

## Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

### Wpłaty:

Biblioteka Kraków  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528  
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”  
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!  
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

# Stańczyk z twarzą Jokera

Tekst: Agnieszka Kosińska

**Urodzony 24 grudnia, we wschodnim mieście. Ma dobrego patrona, jeszcze lepsze nazwisko i horoskop.**

Jest niewiele rzeczy, których nie umie zrobić, ale, uwaga, nie proście go o nic, bo zrobi po swojemu, przekornie, ryzykownie, albo... nie zrobi. Afekty, adrenalina, alkohol – lubi. Nie lubi amnezji, zbiorowej i indywidualnej. Poznał wiele, poznał wielu. Bardzo kochliwy. Uratowała go Ewa, ale potem się okazało, że sam może się uratować. Myślał, że Kraków nie jest jego miastem. Po co ja to piszę? Cytować trzeba.

\*

Moja osobowość nie zasługuje na jakiegokolwiek zmiany. (336) Kiedy umarł Turowicz, już nie było tak fajnie. (337) Broniłem się rękami i nogami przed wejściem w takie uniwersytecko-mieszczańsko zakłamanie środowisko, które obserwowałem właśnie w „Tygodniku”. Można się było bronić tylko żarcikiem, odcięciem się, ucieczką. (...) Ja cały czas funkcjonowałem jako żartujący chłopczyk. Mimo że dobiegałem czterdziestki. Jestem stary i funkcjonuję tak nadal. (342) Widzę, jak wielu piszących wystrzega się rzeczy, których na angielski nie będzie można przetłumaczyć. Ja jestem tutaj. Piszę teraz. (343) Pijani poeci. Pijani poeci to odrębny rozdział. (537) Jest taki rodzaj szczęścia, które budzi niepokój. (445) Całe życie robiłem oczami i głosem. (447) Są takie wieczory, popołudnia, z których zostaje tylko to, co ktoś powiedział (264). To nie jest Polska, to jest Polsat. (587) Ja ze wszystkich swoich defektów robię wartość. (26) W tych dwóch wyrazach Miłosz był najprecyzyjniejszy w życiu. *Poeta pamięta*. Nie każdy oczywiście. (597) Stasiuk w małych ojczyznach się specjalizuje. Ja nie zamierzam na tym budować swojej kariery. (591) Jak człowiek jest konsekwentny, jak dokonuje wyrazistych wyborów, to zostaje sam. W tej chwili jestem sam z tymi swoimi wierszami, piosenkami, z tym, co ze swoim życiem zrobiłem. Nie czuję, żeby ktoś mnie wspierał, szedł obok mnie.

(...) Wszystko się spolaryzowało, poodcinało. (...) Wyspa się umacnia w swojej wyspowości. (599–600) Urodziłem się jako katolik i inne religie aż tak bardzo mnie nie przekonują. Nie podejrzewam, aby miało się to zmienić. (27) Ale w gruncie rzeczy zadaniem zdań jest sens. I już. Krążenie brzmieniami wokół sensu. (623) Twórca, który z pisania wychodzi cało, świeżutki, jest skłamanym wyrobnikiem. (...) Wiersze są obroną, ale i obnażaniem się, pokazywaniem swoich słabych punktów. Ludzie to wykorzystują. (536) Coś takiego napisałem, że między Starym a Nowym Testamentem jest szczelina i właśnie tam jestem (489).

Mówić publicznie, co się myśli, być w kontakcie ze sobą, poddać swoje przeżycie, małe i duże, myśleniu – tego się już od dawna nigdzie nie spotyka. Taki czas nastał, nie że w Polsce, ale w ogóle. Simone Weil pisała, że nie kłamać mogą jedynie ludzie na dnie poníženia. Jest coś na rzeczy.

I na koniec: Marcin Świetlicki ma więcej wspólnego z Miłoszem, niż myśli. Ale ja myślę, że on o tym wie.

\* Cytaty za: Marcin Świetlicki, *Nieprzysiadalność. Autobiografia. Rozmawia Rafał Książek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwkrakowie.com>

# wystawa

maj - sierpień 2021



*Taki*

*inny*

# ŚWIATOWID



MUZEUM ARCHEOLOGICZNE W KRAKOWIE  
1850

INSTYTUCJA KULTURY  
WOJEWÓDZTWA  
MAŁOPOLSKIEGO

MUZEUM ARCHEOLOGICZNE W KRAKOWIE - UL. POSELSKA 3

PATRONAT HONOROWY

PATRONATY MEDIALNE

Witold Kozłowski  
Marszałek  
Województwa Małopolskiego  
 MAŁOPOLSKA

 6C  
TVP 3  
KRAKÓW

 RADIO  
KRAKÓW

 CzasDzieci

 Zaczynamy się  
w Krakowie  
KRAKÓW  
WYSTAWY I TERENY

ARCHEOLOGIA



Weronika Świętek, Powrót, olej na płótnie